

NR 8  
KWIECIEŃ 2017

# MOKOPOLITAN

FANTASTYKA MADE IN POLAND

ROZMOWA: „PROWINCJA  
RZĄDZI I CHADZA NA POLE”

PAWEŁ MAJKA  
MARTA KRAJEWSKA  
PIOTR GÓRSKI  
RADEK RAK

OPOWIADANIA:

KATARZYNA RUPIEWICZ  
MARIANNA SZYGOŃ  
JUSTYNA LECH  
MEGAN GREY

PUBLICYSTYKA: „FANTASTYCZNE  
SŁOWIAŃSKIE IMPERIUM”

MICHAŁ SZYMAŃSKI



# MOKOPOLITAN

- 1 Elin Kamińska  
**Kwintesencja syntezy**

## TEMAT NUMERU

- 3 Paweł Majka, Marta Krajewska,  
Radek Rak, Piotr „Ziuta” Górski  
**Prowincja rządzi i chadza na pole**



- 11 Michał Szymański  
**Imperium Jakośćobędzie**
- 17 Artur Olchowy  
**Panu Bogu świeczkę,  
a diabłu dwie**
- 23 Beata Mróz **Smoki polskie, jakich  
nie znacie**

## OPOWIADANIA

- 29 Megan Grey  
**Wtorki z Molakeszem  
Niszczycielem**



- 38 Justyna Lech **Blizny**
- 53 Katarzyna Rupiewicz  
**Sprawa Wekmana**

## POWIEŚĆ

- 65 Paweł Majka **Oko Cyklonu**

## R P G

- 71 Krzysztof „Jaxa” Rudek  
**Gry w uniwersum  
Warhammera 40000**

## FANDOM

- 77 Magdalena Stonawska **Fandom  
większy w środku**
- 84 Artur Nowrot, Karolina Fedyk  
**Najlepszy konwent odbędzie się  
na mojej kanapie**

## L A R P



- 89 Karolina „Hypatia” Fido  
**Tam, gdzie zaczyna się magia**

## FILM / SERIAL

- 96 Magdalena Kucenty **Haker nie magik**

## KONWENTY

- 104 Martyna Walerowicz **Przewodnik po  
Morii, czyli Druga Ruda Mithrilu**

## RECENZJE



- 107 Magdalena Kucenty **Dziennik  
pokładowy panny Roźnowski**

# Kwintesencja syntezy

Temat 1: Erupcja czasopism

Temat 2: Fandom jako kultura partycypacji

Temat 3: „Smoko” kwitnie tęczę

(Oto trzy tematy, które chciałabym poruszyć w tekście na cztery tysiące znaków).

Jako doktorantka nauki o mediach średnio trzy razy na cztery dni mam okazję słyszeć, że wszystkie badania niezbitnie dowodzą, iż oto nadchodzi kres tradycyjnie rozumianych mediów. Prasy, radia, telewizji. „Prasy” należałoby napisać dwa razy, bo na gruncie upadania ma najdłuższy staż i najlepsze wyniki. My (to znaczy społeczeństwo) potrzebujemy informacji krótkich, szybkich, a nad ich prawdziwość przedkładamy spektakularność (vide kampania i sukces wyborczy D. Trumpa).

Tymczasem kiedy popatrzeć na statystyki „Smokopolitana”, zanalizować pobieżnie aktywność jego czytelników oraz całego środowiska dookoła, trudno nie mieć wrażenia, że oto My (to znaczy fantastyka) pływamy w specyficznej i całkowicie alternatywnej bańce rzeczywistości. Osobna nitka historii nie wykształciła w nas dominującej potrzeby kochania memów z kotami, otwierania „klikbejtów”, czytania wyłącznie lidów artykułów. Co nam to daje w praktyce? Ano to, że mamy do wyboru cztery magazyny tematyczne poświęcone wyłącznie naszym zainteresowaniom, a w samym tylko ostatnim półroczu pojawiły się kolejne trzy. Chodzą także słuchy o nowym komercyjnym przedsięwzięciu, co pokazuje, że mamy nie tylko czasopisma, ale nawet czytelników.

(1420 znaków za nami).

Wyjaśnien tego stanu rzeczy jest zapewne kilka. Może nawet kilkanaście. Ja pozwałam sobie wierzyć, że miłość do prasy zawdzięczamy kulturze partycypacji. I piszę o tym nie bez przyczyny. Fandom nie istniałby bowiem i nie rozwijałby się, gdyby nie wkład pracy ze strony fanów. Darmowej pracy. Tymczasem nasz ogródek zaczęła drażnić od środka nornica odpłatności. Zwierzątko nawołuje, by „nie być frajerem” i „nie pracować za friko”, podgrzyżając tym samym nasze korzonki.

Jasne – są w fandomie inicjatywy odpłatne. „Odpłatne” nie znaczy jednak „komercyjne”. Szkoła na konwent nie spada z nieba, czasopismo nie wydrukuję się za dobre słowo.

Istnieją też inicjatywy komercyjne. I bardzo dobrze, że istnieją. Oczywiście tylko o tyle, o ile oferują produkt przyzwoitej jakości. Czy się nam to podoba, czy nie, fantastyka w Polsce staje się „mejnstrimem”, a „mejnstrim” daje możliwości.

Dyskusja „o płaceniu” zwróciła jednak uwagę na coś znacznie bardziej istotnego – na uczciwość i jej brak. Na instytucje i jednostki wykorzystujące dawne marki, by budować na ich gruzach produkty, których jedynym celem jest przyniesienie zysku. By eksploatować sentyment do minionych czasów i zbierać fundusze na rzeczy, które nigdy nie miały być dobre. By szukać w fandomie zarobku w sposób, który ociera się o granice nieuczciwości. By żerować na kulturze fanów czy też, jak pisał Diabeł, na „kulturze frajerów”.

A przecież wystarczy, żeby granice zostały jasno określone, a informacja płynąca od organizatorów do uczestników – była klarowna. Oto standard, o który trzeba walczyć.

(960 znaków do końca).

A co ma z tym wspólnego „Smoko”?

Przede wszystkim to, że nie ściga nas nornica z kartą kredytową. Bazujemy na zaangażowaniu twórców i członków redakcji oraz niespożytych pokładach entuzjazmu. Być może, działając w ten sposób, nie wkroczyliśmy w glorię i chwale do Empików oraz innych Kolporterów (choć może jednak?), ale jak pisałam wyżej – prasa tradycyjna jest w odwrocie. Im bardziej tradycyjna, tym bardziej w tyle.

A o tym, że kultura partycypacji ma się dobrze (a może coraz lepiej?), świadczy choćby to, że w „Smokopolitanie” mamy od stycznia cztery nowe korektorki: A. Dudała, A. Grzanek, N. Tron i S. Rakoczy oraz siódmkę nowych grafików: Spella, Graphosa, J. Lewandowską, G. Palicką, M. Filipiak, J. Petruczenko i P. Smagę. Mam nadzieję, że ich wkład jest dla Was widoczny gołym okiem. Zgodnie z obietnicą mamy też opowiadanie zagraniczne autorstwa Megan Grey, co daje nadzieję, że za granicą bezpłatna praca na rzecz fandomu również ma się dobrze.

A teraz można wziąć się za czytanie. Życzę miłej lektury!

(I mamy idealnie 4000!)

Elin Kamińska



# Prowincja rządzi i chadza na pole

Paweł Majka, Marta Krajewska, Radek Rak, Piotr „Ziuta” Górski

**Paweł Majka:** Marta Krajewska i Radek Rak, Piotr Górski – „Ziuta”, cieszę się, że mogę z Wami porozmawiać. Marta i Radek, oboje należycie do najciekawszych, w moim przekonaniu, młodych stażem autorów fantastyki w Polsce. A do tego piszecie nie tylko interesująco, ale też bardzo dobrze. Marta napisała osadzone w słowiańskich klimatach fantasy (co staje się nieco modne), ale zamiast snuć kolejną opowieść o dzielnych wojach toczących wielkie bitwy z prastarym złem, opowiedziała o wydarzeniach w niewielkiej wiosce, leżącej gdzieś na peryferiach. Nawet to nie jest jeszcze nadzwyczajne, bo przecież podobnie zaczynali swoje sagi Tolkien, Jordan czy ostatnio Brett. Ale oni szybko kazali opuszczać swoim bohaterom prowincję i rzucać się w odmęty wielkiego świata. Marta, przynajmniej w pierwszym tomie, oparła się tej pokusie. Ciekawi mnie Twoja chęć opisanego prowincji i pozostania na niej, niezbyt typowa dla fantasy.

**Marta Krajewska:** W pozostałych tomach nadal nie opuścimy Doliny. Podoba mi się założenie, że gdzieś daleko jest świat, którego moi bohaterowie nie znają, nie rozumieją, a to, co stamtąd nadchodzi jest obce, nieznanne i zazwyczaj kłopotliwe. Do pokazania życia

zwykłych ludzi, ich strachów, trosk, trudów codzienności nie jest mi potrzebna podróż. Ba, nawet jest niewskazana. Zawsze lubiłam obserwować ludzi i przełożyło się to na moje pisanie. Lubię pisać o ludziach, ich emocjach, ale takich zwykłych, nie wzniosłych, poetyckich, udręczonych wlotach ku słońcu, tylko tych przyziemnych miłostkach, rozkoszach, smutkach i wkurzeniach dnia codziennego. Tacy ludzie są prawdziwi. Kiedyś kochałam Conana i Kane’a, ale bądźmy szczerzy, trudno było przejąć się ich losem, skoro wiadomo, że wyjdą cało z każdej opresji.

**PM:** Radek pewnie lada moment będzie sprawiał krytykom ten sam problem, który mieli niedawno z Witem Szostakiem. To, co piszesz, to ani fantasy, ani realizm. Ponieważ krytycy lubią zamykać literaturę w kategoriach, będą pewnie szukać określeń typu *New Weird* czy realizm magiczny. Czy jeśli napisałbym o Tobie: „autor fantastyki prowincjonalnej”, poczułbyś się urażony?

**Radek Rak:** Mógłbyś nawet napisać „autor fantastyki prowincjonalny” i dla mnie osobiście byłoby jeszcze fajniej. Lubię opowiadać sobie historie o miejscach, gdzie mieszkam, mitologizować je. Urodziłem się w małym miasteczku na prowincji, w niewiele większym

się wychowałem, nawet przez pewien czas po studiach pracowałem na prowincji i zostawiłem tam wielki kawał serca, więc o tym piszę. To pewnie takie osvajanie przestrzeni. Może w przyszłości napiszę coś o Krakowie, bo tutaj obecnie mieszkam. To jeszcze prowincja, czy już nie?

Nie lubię określenia *New Weird*, bo to odkrywanie rzeczy dawno odkrytych: można napisać fantastyczną powieść przygodową strumieniem świadomości, tylko pytanie, po co. Realizm magiczny też mi nie leży, bo to worek, do którego wrzuca się wszystko, co trudno jest gatunkowo sklasyfikować – od *Mistrza i Małgorzaty*, przez literaturę iberoamerykańską i starych bałkańskich mistrzów jak Ivo Andrić, Miodrag Bulatović czy Danilo Kis, po twórczość Wita Szostaka, Brunona Schulza, Olgi Tokarczuk czy Tadeusza Nowaka; a wszystko to są przecież zupełnie odmienne światy, zupełnie odmienne style, zupełnie inna wrażliwość. Realizm magiczny to taki worek z napisem „Inne”. To ja już wolę być autorem prowincjonalnym.

**MK:** Ja nie czuję się urażona, jeśli o to chodzi. To trochę jak z byciem wieśniakiem. Kiedyś córka zapytała mnie, dlaczego mówię o kimś, że jest wieśniakiem, skoro sami jesteśmy wieśniakami. Tak, bywam niemiła, nie czujecie się chyba zaskoczeni. W każdym razie odpowiedziałam, że my jesteśmy ze wsi. Wieśniakiem może być nawet ktoś mieszkający w mieście. Wieśniactwo to stan umysłu. Z prowincjonalnością jest chyba podobnie. Samo określenie „prowincjonalny” jest nacechowane pejoratywnie, więc jeśli powiesz o nas, że nasze pisanie jest takie prowincjonalne, to się zastanowię, czy mogę to skwitować jakąś ciętą ripostą. Natomiast jeśli mówimy o tym, że piszemy prozę o prowincji, to pewnie tak, właśnie o tym piszemy. Ja to nawet piszę o wieśniakach i o ludziach ze wsi.

**PM:** Marta, poruszyłaś ciekawy wątek. Rzeczywiście, z punktu widzenia mieszkańców wielkich miast „prowincja” oznaczała coś gorszego, a prowincjusz był kimś, na kogo w dobrym towarzystwie reagowano specyficznie:



Elżbieta „Arcmage” Głowacka

marszczono nosy, ale równocześnie wybaczano mu pewną niezgrabność, bo była wręcz do niego przypisana. Nie jestem pewien, czy dziś się to nie zmienia. Odnoszę, prawdę mówiąc, wrażenie, że jedynym nieprowincjonalnym miastem w Polsce jest Warszawa. Jak Wam smakuje, jak się kojarzy słowo: „prowincja”?

**MK:** Może nigdy nie była niczym złym, tylko nie miała szans się bronić? Dopóki nie nadeszła ludomania, powieści pisali bogaci panowie, a wieś znamy z ich punktu widzenia. W tym samym czasie ludzie ze wsi spoglądali na swych panów, tylko nie umieli pisać. Jeśli za prowincję uznamy Shire albo Kraków, to wyższość nad stolicą imperium jest oczywista. Prowincja rządzi i chadza na pole.

**RR:** Lubię jeść i pić, jak zaczniesz pytać o smak galicyjskiej prowincji, to prędko nie skończę, więc uważaj!

A tak na serio – gdy mówię „prowincja”, myślę „dom”. W słowie „dom” zawiera się wszystko, co jest najważniejsze. Może dlatego, że wyrosłem we wspaniałym domu. Mam wrażenie, że w wielkim mieście domy tworzy się trudniej niż w małym.

**PM:** To Ty, Radku, użyłeś pierwszy nazwy Galicja. Pozwolę sobie wykorzystać tę okazję. Galicja! To słowo brzmi trochę jak zakłęcie. Prawdopodobnie każdemu, kto go używa, co innego staje przed oczami. Kiedy myślimy o Polsce podzielonej między zaborców i o tym, jak wyglądały poszczególne jej fragmenty, widzimy często (a w każdym razie ja widzę) bardzo charakterystyczne obrazy, metafory i symbole tego, jak definiujemy nasz kraj.

Na tle pozostałych dwu zaborów Galicja wydaje się jakaś nieokreślona. Z lekcji historii pamiętam, że miała być biedna i że wybrała własną ścieżkę – poszła na współpracę, kierowała własnych posłów do parlamentu, dała nawet Cesarstwu premiera. Kiedy w innych zaborach narzuconych nam władców się nienawidziło, w Krakowie zachował się zaskakujący

sentymet do Franza Josefa. Jeśli wczytywać się w powstającą tu literaturę, wrażenie wyobcowania i nieokreśloności jeszcze się pogłębia. To oczywiście złudzenie, że wyłącznie Galicja wiąże się z niepewnością co do natury świata i niesamowitością, i mistycyzmem. Może siła kulturowa Chasydów sprawia, że nawet Żydów jakoś tak zawłaszczylem do Galicji, choć np. Leśmian pochodził przecież z Warszawy...

**RR:** Ale Leśmian wielką część życia spędził w Hrubieszowie, więc też jest trochę nasz.

**PM:** Do czego zmierzam w tym długim wywodzie? Do dwóch rzeczy. Przypomniała mi się właśnie rozmowa, którą kiedyś odbyłem z Maciejem Parowskim, a który dziwił się fascynacji Schulzem – Twojej, Radku, Wita Szostaka, Jewgienija Olejniczaka, mojej. *Myślny byli z Conrada* – powiedział mi (cytuje z pamięci, więc mógł użyć nieco innych słów), mając na myśli autorów swojego pokolenia, a może szerzej: ze „stajni” miesięcznika „Fantastyka”. *To jego czytaliśmy, to od niego wychodziliśmy, od niego się uczyliśmy. A wy jesteście zafascynowani Schulzem i jest to dla mnie coś zupełnie nowego.*

Wit, Ty, Jewgienij to autorzy „galicyjscy” (nie wiem, czy ktoś określił tę grupę w ten sposób), więc może to nic dziwnego, że dorastaliśmy w fascynacji innym pisarzem z Galicji? Ba, może to nic dziwnego, że dwaj najbardziej rozpoznawalni polscy twórcy grozy (Grabiński i Orbitowski) to też Galicja? Galicja – kraina nieokreśloności, metafizyki, trochę rozleniwienia. Nieco chyba, mam wrażenie, zapomniana. Nie odnosisz czasem wrażenia, że pisanie o Galicji to jak odkrywanie zagubionego świata?

**Piotr Górski:** Ja bym dodał, że Galicja dała jeszcze dwóch polskich ojców SF (Żuławski, Lem) oraz Leopolda von Sacher-Masocha. Dziś pewnie mało kto o nim pamięta, więc w epoce Greya i ogłaszanego szumnie przejścia sadomasochizmu do seksualnego mainstreamu koniecznie należy go przypomnieć.

Inny wielki Galicjanin, Wyspiański, w ogóle nie był prowincjonalny. Mieszkał może w stereotypowo leniwym, zapyziałym Krakowie, ale horyzontami sięgał daleko.

Ale z Twoim pomysłem bym się zgodził. Może nie ma jakiegoś ostrego pokoleniowego podziału (lubił takie kreślić redaktor Parowski i było ich strasznie dużo – Radek z Martą zaliczaliby się pewnie do 15.), ale widać zmianę. Rówieśnicy – znowu ten pokoleniowy podział – Ziemkiewicza i Grzędowicza fascynowali się amerykańską prozą połowy XX wieku. Właściwie każdy autor Klubu Tfurców napisał przynajmniej jedno opowiadanie z bohaterem chandlerowskim. Ziemkiewicz wprost opowiadał, jak to oni pisali o żywych, aktywnych postaciach biorących się za bary ze światem i zajmujących poważnymi sprawami, podczas gdy na półkach w księgarniach kurzem porastają stutysięczne nakłady jakichś wiejskich pijaczków, których na stare lata promował Bereza. Ta współczesna, schulzowska, prowincjonalna fantastyka to zaprzeczenie wszystkiego, co chciała robić fantastyka lat 80. i 90. I fajnie.

**PM:** Dawniej (przede wszystkim w moich czasach nastoletnich i studenckich, ale przecież i wcześniej) fantastyka skupiała się na opowieściach pełnych rozmachu. Albo sięgała w kosmos, albo rozstrzuwała opowieści o wielkich magicznych imperiach. Co więcej, nawet w Polsce panowała przez jakiś czas moda na „zagraniczność”. Bohaterowie nosili albo anglojęzyczne imiona, albo jakieś kosmicznie zmyślane (np. Pirx). Mam wrażenie, że to się zmienia, czego Wasza twórczość może być przykładem. Po pierwsze stawiacie na swojskość. Po drugie chyba nie kuszą Was wielkie imperia. Z lektury Waszych powieści i opowiadań można wysnuć wniosek, że uważacie, że o wielkich i dużych sprawach można mówić przy użyciu kameralnych scenerii.

**MK:** Chyba nawet łatwiej mówić o nich, jeśli skupiamy się na postaci, nie na jej wielkiej

przygodzie. Jeśli spojrzymy na fantastykę jak na baśnie dla dorosłych, to znajdziemy w nich i podstawowe prawdy o ludziach, walce zła i dobra, ratowaniu dam w opałach i zdobywaniu ich serc. Od dziecka lubimy o tym słuchać i dla jednych ukochaną bajką będzie wielka wyprawa na Szklaną Górę przez siedem gór i siedem dolin, a dla innych Czerwony Kapturek wpadający w kłopoty tuż pod nosem mamy i babci. Jedni będą marzyć, że kiedyś podbiją kosmos i dokonają wielkich rzeczy, inni wolą współczuć nękanym pasierbicom i czekać, że za dobre serce nadejdzie obiecana nagroda. Ja lubię pisać o słabych ludziach, którzy muszą sobie radzić z przerastającymi ich często problemami. W życiu to właśnie robimy każdego dnia, jesteście Jasiami i Małgosiami korporacji, dręczonymi codzienną pracą na kasach Kopciuszkami i rodzicami wysyłającymi swoje Kapturki w mroczny las, gdzie z pewnością spotkają kiedyś pierwszego wilka. Nawet jeśli mamy w sobie ducha łowcy przygód i wybierzymy się na Szklaną Górę, i tak po drodze spotkamy ludzi. Jesteśmy częścią ogromnego, ludzkiego stada i musimy sobie w tym stadzie radzić. Bajki, baśnie, a potem książki i filmy uczą nas jak prowadzić relacje z ludźmi, jak unikać kłopotów lub rozwiązywać je. O tym chcę pisać i to jest dla mnie ważne.

**RR:** Nie potrzeba wielkiej i epickiej historii, żeby opowiedzieć o czymś ważnym i uniwersalnym. Moje pisanie jest bardzo osobiste, piszę samym sobą, a mam to ogromne szczęście, że mogę prowadzić „hobbicki” tryb życia, z dala od wielkich spraw. W moich tekstach, tak jak w dziejach mojej rodziny, historia to demon, który przetacza się po zwyczajnych ludziach i wgniała ich w ziemię. Perspektywa lokalna siedzi we mnie zbyt głęboko, bym mógł wyskoczyć w perspektywę globalną. Poza tym te wielkie, „globalne” ujęcia często brzmią mi fałszywie. W ubiegłym roku czytałem zbeletryzowaną biografię Józefiny Szelińskiej, wielkiej

miłości Brunona Schulza. Czytało się dość dobrze, póki w pewnym momencie nie padło stwierdzenie (wprost), że Schulz w swoim opowiadaniu *Republika marzeń* przewidział... Lecha Wałęsę. I w tej książce Józefina, widząc Wałęsę w telewizji, płacze i myśli, jak to by się Bruno cieszył, gdyby dożył tych czasów i też mógł oglądać Wałęsę, bo Wałęsa spełniłby wszystkie marzenia Brunona Schulza. Serio. A to poważna książka była i nawet do jakichś nagród nominowana.

No więc nie, ja dziękuję. Ze wszystkich stron atakują nas wielkie narracje, które nie są naszymi narracjami, ale wmawia się nam, że w którejś z tych narracji musimy się przecież odnaleźć. Jeśli nie idę na czarny marsz, to powinienem pójść na biały, biało-czerwony albo tęczyowy. Ale nie odnajduję się w żadnej z tych narracji, bo wszystkie brzmią dla mnie fałszywie. Są ważniejsze rzeczy.

**PG:** Redaktor Parowski lubi metaforę masek. Tamta literatura „demaskowała”. Przemiany polityczno-społeczno-gospodarcze nazywa „opadnięciem masek”. Mam teorię, że skoro już maski opadły, zadaniem literatury jest nazwanie na nowo tego, co się pod nimi kryje. W tym własnego najbliższego świata (prowincji), bo on też był długo zasłonięty. Patrzenie na Twardocha tłumaczącego uparcie, że jego Śląsk jest czymś innym niż malunek na masce, która go skrywała.

Z takiego punktu widzenia zwrot „prowincjonalny” jest dobry. Pozwala odkryć nieopatrzone terytoria. Odejść od wspomnianych przez Radka globalnych ujęć, które zdają się być na wyczerpaniu. Urozmaicić język (pisanie Radka jest odmienne od niesławnego „przezroczyściego języka”). Skupić się na prywatnym przeżywaniu. Jest też i wada. Siłą polskiej fantastyki było, że nie tylko dotrzymywała kroku anglosaskiej, ale potrafiła samodzielnie wymyślać coś nowego. Prowincjonalność spycha ją do getta środkowoeuropejskiej literatury

regionów. Tak jest od lat w głównym nurcie: jak chcesz czytać o Wielkich Tematach typu Bóg-miłość-śmierć, to czytasz Rosjan, Anglosasów, Francuzów, Niemców. Z kolei pas od Kaszub po Bałkany to literatura rzeczy małych: pasących się owiec, malowanych szyldów, drobnych namiętności i drobnych świństw, które w ostatnim rozdziale zmiata z powierzchni ziemi Wielka Historia.

**PM:** Piotrek, ale możliwe, że literatura rzeczy (pozornie) małych jest tą właśnie, która może nas wyróżnić? Pisanie o Polakach podbijających kosmos brzmi dziś nieco utopijnie. Natomiast Twardoch boksuje się ze swoją śląskością i polskością, Orbitowski miotający się od jednej lokalnej tożsamości do drugiej (i chyba odrzucający je wszystkie, jedynym prawdziwym domem Orbitowskiego byłaby chyba tylko heavymetalowa siłownia dla zamaskowanych filozofów), Szostak budujący wewnętrzne mitologie ludzkie, którymi dopiero opisują sobie świat zewnętrzny – to wszystko może się okazać wściekle uniwersalne.

**PG:** Przecież już wyróżnia: zanim politycy zaczęli w tym grzebać, polską literaturę reprezentowali za granicą Tokarczuk na zmianę ze Stasiukiem.

Oczywiście przesadą byłoby rugować z fantastyki wszelki prowincjonalizm. To, jaką ma moc, pokazał chociażby growy *Wiedźmin* – bardziej słowiański niż oryginalne książki Sapkowskiego (tam mimo wszystko przeważały motywy zachodnie – od mitu arturiańskiego po romańsko-celtycką Starszą Mowę), zawojuwał wyobraźnię na całym świecie. Radek pisze świetne książki, a *Idź i czekaj mroźów* mam za najlepszy zeszłoroczny debiut (oraz rewelacyjny materiał na serial, czekający grzecznie na swojego Netflixa). Grunt, żeby prowincjonalizm nie zamienił się w skansen. Marcie i Radkowi na szczęście to nie grozi.

**PM:** Wróć do „lokalności”, obiecałem naczelnaj, że o niej też porozmawiamy.

„Lokalność” to nie to samo, co „prowincjonalność”. Lokalne mogłyby być na przykład fantastyczne opowiadania o ciekawostkach warszawskich, a przecież nie będą chyba prowincjonalne. Wiem, że Radka kusi owa „lokalność”, miałem przecież szczęście zostać przezeń oprowadzony po Lublinie z *Pustego Nieba*. Kiedyś Łukasz Orbitowski pisał tylko o miastach, w których akurat mieszkał. Wit Szostak długo nie opuszczał literacko Krakowa. To wydaje się naturalne – dobrze jest pisać o tym, na czym człowiek się zna najlepiej, więc naturalne byłoby umieszczanie akcji w miastach, w których mieszka. Ale może najprostsze odpowiedzi wcale nie są najlepsze? Radek mieszka teraz w Krakowie, ale pisze o Lublinie, szerzej o Galicji, o Łemkowszczyźnie. Marta tworzy fantastyczne wiejskie krainy. Czy bardzo się pomyłę, jeśli powiem, że chodzi nie tyle o miejsce zamieszkania ciała, co serca i umysłu? No chyba, że strzeliłem kulą w płot i Marta tak naprawdę nienawidzi wsi, a Radek chciał ukarać Galicję swoją twórczością.

**RR:** A Majka też pisze o Krakowie, bo ten Kraków kocha i to widać.

Ja już powiedziałem, piszę samym sobą i piszę z miłości. Ale też zdarza mi się pisać, aby oswoić i wytłumaczyć sobie świat, w którym mieszkam. Z takiego osvajania wzięło się *Puste niebo*, bo na początku niezbyt za Lublinem przepadałem. Kiedy książka była już dobrze rozpisana, Lublin stał się właściwie moim drugim domem.

Przez pisanie uczę się ludzi i miejsc. Chciałbym jeszcze wrócić literacko do mojej rodzinnej Dębicy – kiedyś napisałem o tym mieście dość długie opowiadanie *Tamdarej w innych światach*, można je przeczytać w „Esensji”. Ale to jest za mało, bo rodzinne miasto to konteksty, sensory i znaczenia, które można rozpracowywać przez całe życie i nie opisać ich jak należy. Schulz na przykład nigdy nie wyszedł poza mitologię rodzinnego Drohobycza, a jego

twórczość to ocean i nie wystarczy życia, żeby odwiedzić wszystkie rozsiane na nim wyspy.

**MK:** Przez siedem lat nie mieszkałam na wsi i choć nie było mi źle, to pewna część mnie wciąż się dusiła. Kiedy wracałam na wieś to nawet powietrze pachniało melancholią. Wróciłam na dobre i jestem na swoim miejscu, więc bez dwóch zdań kocham wieś i jest to również mój stan umysłu. Zresztą, na dzisiejszej wsi niczego nam nie brakuje, a ja nawet tęsknię za brakiem cywilizacji, jaki pamiętam z dzieciństwa. No ale to już chyba po prostu przejaw starości, kiedy to człowiekowi zaczyna się tęsknić do tego, co było, bo było po prostu lepsze i kropka. Tak, myślę też, że jeśli piszemy o tym, na czym się znamy, to książka otrzymuje dodatkowy atut wiarygodności, który czytelnicy lubią, choć nie zawsze zdają sobie sprawę, że ma dla nich znaczenie. W *Idź i czekaj mrozów* istnieje zupełnie poboczna postać krowy, która została oparta na prawdziwym zwierzęciu o imieniu Emilka i choć to wątek marginalny, zapada czytelnikom w pamięć. Czy umiałabym go tak napisać, nie wychowując się w gospodarstwie pełnym zwierząt? Pewnie nie, pewnie w ogóle bym go nie wymyśliła. A to są takie drobnostki, które wzbogacają świat. Gdyby Radek pisał o Lublinie, znając go jedynie z Google Maps, to pewnie nie osiągnąłby tak rewelacyjnego rezultatu.

**PM:** Marta, Twoje pisanie o wsi między innymi dlatego tak mnie cieszy, że dla Ciebie wieś nie jest czymś obcym i to widać. Nie opisujesz modelu wsi stworzonego w umyśle mieszczaucha, który przeczytał parę etnograficznych opracowań (odnoszę wrażenie, że to jest przypadek np. Jordana), ale miejsce żywe i skupione na sobie i swoich konfliktach. Ogromnie cieszy mnie więc deklaracja, że literacko nie zamierzasz tej wsi opuszczać. Tym bardziej, że Twoje wpisanie się w modny nurt słowiański wydaje mi się na tle polskiej fantastyki wyjątkowe. Zamiast odbudowywać

zagubioną mitologię na sposób np. Długosza i budować jakieś wielkie kosmosy, Ty skupiasz się na podstawach: rytuale, obrzędowości, zwyczajnych wiejskich czynnościach zanurzonych jednak w lokalnych wierzeniach. Tworzysz kosmologię rzeczy małych, co mnie wydaje się szalenie oryginalnym i wdzięcznym kierunkiem. Trochę Ci tego zazdroszczę. Ja, choć też wzięłam na warsztat konkretny, mocno, wbrew pozorom, zapomniany rytuał, to od razu wykorzystałam go do opisanego wielkiej awantury. Powiedz, proszę, czy takie Twoje podejście wynika tylko z doświadczenia życia na wsi, czy też czytałaś się dzieł etnografów?

**MK:** Kiedy pisałam *Idź i czekaj mroźów* w 2009 roku nurt słowiański nie był jeszcze tak popularny i odbijałam się od wydawnictw. Widocznie musiałam poczekać, aż nadejdzie ta odpowiednia chwila i ktoś zdecyduje się zaryzykować. Teraz jestem jedną z wielu, częścią nurtu, co czasem pomaga, a czasami przeszkadza. Trochę to gorzkie, ale taka jest sytuacja debiutantów na rynku. A wracając do pytania – są takie rzeczy, których nie da się czytać, trzeba je zobaczyć. Uczyłam się i studiowałam w Krakowie, ale codziennie wracałam do domu na wieś. Wtedy gdy moi koledzy zasiadali do serialu albo gry komputerowej, ja często pomagałam oporządzać zwierzęta. Widziałam narodziny, widziałam śmierć, pracowałam fizycznie w sianokosy i żniwa, szukałam po nocy krów, które nie przyszły z pastwiska. Nie mówię tego, żeby się chwalić, tylko żeby dać do zrozumienia, że to naprawdę jest inny świat, który inaczej kształtuje człowieka niż miasto. Ale też nie wszyscy tak na wsi żyją, niektórzy mają przystrzyżone trawniczki i pukają tym z gospodarką po czołach. Wieś też wsi nierówna. Ale czego się nauczyłam, to że znajdziesz tu zapalonych katolików, agnostyków, buntowników, leni i pracusiów, dobrych, złych, patologię i wzór cnót. Wieś jest kosmosem. Nie wierzę, że w czasach

pierwszych Słowian było inaczej, nie kupując tej sielskości, pobożności i ucieleśnienia dobra w każdym jednym człowieku. Oni musieli być jak my – ludzcy, różni. Taką więc wieś stworzyłam, choć wiem, że dla kilku osób jest ona za mało patologiczna. Jeśli ktoś uważa, że jedyna prawda to wieś Smarzowskiego, to zapewne Wilcza Dolina wyda mu się zbyt sielska. No przepraszam, że taką wieś znam. Natomiast odnośnie samych rytuałów – tu już trzeba się było czytać, a przynajmniej starać składać w jedno te strzępy wiedzy, które są nam dane.

**PM:** Radku, powiedziałeś wcześniej: *gdy mówię „prowincja”, myślę „dom”*. Ja z kolei, gdy słyszę „dom”, myślę „rodzina”. Tak naprawdę to chyba niezbyt pasujące do naszych czasów słowa. „Domy” zastępują nam często „mieszkania”, a „rodziny” – „związki”. Wszystko jest raczej tymczasowe niż wiekiuste. Amerykanie lubują się w zestawianiu takich dwu sposobów postrzegania świata. Kręcą np. seriale o przybyszach z wielkiego świata zagubionych po przyjeździe na prowincję, zdumionych leniwym tempem jej życia i właśnie trwałością związków międzyludzkich i związków człowieka z danym miejscem, rodziną, domem. Czy to możliwe, że coraz popularniejsza w naszej – polskiej literaturze tematyka prowincji, to ucieczka mieszcuchów w fantazję? Może każdy, kto pisze o prowincji staje się pisarzem fantasy? Bo albo pakujemy w te literackie prowincje nasze lęki (Bator), poczucie zagubienia i niepewności (Orbitowski, może trochę Szostak?), albo marzenia o świecie, który byłby trochę lepszy?

**RR:** Nie przepadam za książkami o mieszcuchach przybywających na prowincję, bo to są książki pisane przez takich właśnie „mieszcuchów” i okropnie cały obraz prowincji wypaczają. Mamy wtedy dwie wersje: albo prowincję sielską, bukoliczną, gdzie ludzie są szczerzy i uczciwi, gdzie na łonie natury

bohater/bohaterka odzyskują wiarę w życie i tak dalej, a w tle pasą się krowki i owieczki. Taka romansowa sceneria. Druga opcja jest taka, że bohater/bohaterka przybywa z wielkiego miasta, z prawdziwego życia, na zapadłą prowincję, gdzie wszyscy mają żółte paznokcie, kobiety są zaniedbane i czytają wyłącznie brukowce; mieszkańcy małych miasteczek zajmują się przeważnie piciem, biciem żon i dzieci, chodzeniem do kościoła i byciem obłudnymi hipokrytami (co nieodłącznie wiąże się z mieszkaniem na prowincji). Oba obrazy są bzdurne i z jednej strony śmieszne, a z drugiej krzywdzące, bo jedna z książek „drugiego typu” kilka lat temu otrzymała Nike, z czego wynika, że ktoś taki obraz traktuje poważnie.

Chciałbym w swoim pisaniu przede wszystkim pozostać prawdziwy. Miałem dobry dom rodzinny i słowa „dom” i „rodzina” dla mnie mieszczą się w obrębie tego, co święte (miałem nie używać tego sformułowania, ale niech będzie – lepszego nie znam). Miałbym to zamienić na „mieszkanie” i „związek”? Tyle osób teraz pisze o mieszkaniach i związkach, że ja już nie muszę.

A wiecie – ostatnio wpadł mi w ręce album fotograficzny o Łemkowynie i padło tam stwierdzenie, że Beskid Niski to takie dziwne góry, gdzie nie idzie się wzwyż, tylko w głąb. W dolinach znajduję więcej niż na szczytach. I może zwrot ku prowincji jest takim właśnie zwrotem w głąb siebie, w miejsce, gdzie jesteśmy prawdziwi i nie musimy udawać, w to ostatnie *sacrum*, w które świat nam nie wlezie z butami, choćby bardzo chciał. Na prowincji moim zdaniem łatwiej o tę szczerość i uczciwość wobec siebie. Moi bohaterowie – tak sobie właśnie uświadomiłem – też idą przede wszystkim w głąb. Mają przygody, ciska nimi i miota, a czasem to oni sami ciskają sobą i miotają, ale ostatecznie idą właśnie tam: do źródła.

**PM:** Ogromnie dziękuję Wam wszystkim za cierpliwość i rozmowę.

#### **ROZMAWIALI:**

**MARTA KRAJEWSKA.** Rosjoznawczyni, rozkochana w kulturze dawnych Słowian. Nie umie mieszkać w mieście. Zostałaby delikatnym, eterycznym dzieckiem natury, ale niestety nie jest ani delikatna, ani eteryczna. Dzieckiem też już nie jest. Poza tym wie, że bieganie po rosie grozi katarem i ranami stóp, a po każdym romantycznym spacerze trzeba się porządnie ogłębnić na okoliczność kleszczy. Twórczyni świata Wilczej Doliny, do którego należą zarówno nominowane do nagrody im. Zajdła opowiadanie *Daję życie, biorę śmierć*, jak i debiutancka powieść *Idź i czekaj mrozów*. Czasami wychodzi z Doliny, by skrobnąć coś bardziej współczesnego, lubi wtedy pisać opowieści o ludzkich emocjach, doprawione elementami grozy.

**RADEK RAK.** Lekarz weterynarii, pracuje w zawodzie. Autor powieści: *Kocham cię, Lilith*, *Puste niebo* oraz opowiadań publikowanych w prasie i w antologii *Legends polskie* wydanej przez Powergraph i Allegro. Chodzi po górach. Pije dużo herbaty. Lubi swoje życie. (Notka na podstawie zamieszczonej w *Pustym niebie*.)

**PIOTR GÓRSKI.** Krakowianin i nowohucianin od urodzenia, fantasta odkąd pamięta. Debiutował w 2007 r. szortem w SFFiH. W 2014 r. opublikował opowiadanie w NF. Poza tym pisuje publicystykę dla „Smokopolitana”, NF, „Czasu Fantastyki” (kiedy jeszcze istniał) i paru innych miejsc. W wolnym czasie zajmuje się krytyką serialową.

**PAWEŁ MAJKA.** Ułatwia sobie życie, naciągając znajomych na rozmowy do „Smokopolitana”, zamiast pisać tam teksty samodzielnie. Ponieważ nie udaje mu się stosować podobnego przekrętu w literaturze, powieści (*Pokój Światów*, *Niebiańskie Pastwiska*, *Człowiek Obiecany* i *Dzielnica Obiecana*, *Wojny Przestrzeni*, *Berserk*) i opowiadania pisze sam.

# Imperium Jakośćobędzie

*W Polsce nigdy nie będzie dobrych dróg,  
a w Niemczech dobre drogi będą zawsze.*

*M. Zdziechowski, „Szkice z psychologii narodów słowiańskich”*

Michał Szymański

Pomyślmy prawdziwie polską epopeję fantasy. Taką, w której imperium nie jest wielkie i potężne dlatego, że rządził nim niegdyś mądry król, ani dlatego, że jego mieszkańcy odznaczają się dzielnością i honorem, ani dlatego, że protestancka etyka pracy uczyniła je gospodarczym molochem bez konkurencji w znanym świecie. Pomyślmy opowieść o krainie mlekiem i miodem płynącej dlatego, że jej mieszkańcy instynktownie i bezbłędnie wiedzą, jak skombinować dobry miód.

Najpierw dwa słowa o inspiracji. Od jakiegoś czasu krąży po polskim internecie mem o starożytnym Imperium Lechitów. Mem powoli przeradza się w mit założycielski jakiejś rodującej się w bólach subkultury. Będzie to nieco śmiała teza, ale być może ci, których zawsze interesowało, skąd polska szlachta wyjęła ten swój słynny sarmatyzm, powinni teraz baczenie się przyglądać rozwojowi lechickiej epopei, bo sporo tu podobieństw. Jest jednakże jeden poważny problem z tym tematem: wszystko wskazuje na to, że żadnego imperium nie było.

Fani koncepcji Wielkiej Lechii mają dość wyjątkowy stosunek do definicji prawdy

historycznej, krytycznej lektury źródeł i tym podobnych „dyrdymałów”. Tworzone przez nich analizy pełne są rozważań typu: „(...) brak dokładnych danych na temat lat jego panowania, gdyż żyd wyrwał kartkę, handlując w swym kramie” (Baca, <https://tajnearchiwumwatykan-skie.wordpress.com>; pisownia oryginalna, autor przeprasza wszystkich Żydów); „(...) jeśli ktoś przedstawia to wszystko w jednej książce, oznaczać to może jedno – musi mieć to związek z prawdą” (super user, <http://www.gazetawarszawska.com/historia/2340-czy-polacy-to-najstarszy-lud-europy>). Niestety, jedyna książka, jaką dałoby się na serio napisać na ten temat, to powieść fantasy. Ale jak to zrobić, by rzeczywiście miała związek z prawdą?

Oto przed Państwem kilka alternatywnych pomysłów na epickie fantastyczne powieści o Polsce takiej, jaka mogłaby istnieć z uwzględnieniem odwiecznych cnót i ideałów jej obywateli. Całość należy traktować jako wyjątkowo subiektywne rozważania autora czynione z lekkim przymrużeniem oka. Ale nie na ślepo. Raczej poprzez przejrzenie się w lustrze fikcji.

A nuż coś nam wypadnie w oko.

## Propozycja pierwsza: „Wielka Polska Atomowa”

Co lepszego mogłoby spotkać Polaków niż apokalipsa?

Poważnie, to by były najlepsze warunki do rozwoju polskiej państwowości. Sto bomb atomowych spada na Europę. Chaos, nędza i degrengolada opanowują kontynent. Polacy tymczasem drapią się po głowach i myślą sobie: „W czym to może być gorsze niż stan wojenny i okupacja?”

Pomyślmy na przykład sagę o strukturze zbliżonej do opowieści o Conanie, w której na wyniszczonej europejskiej ziemi wyrastają nowe królestwa. Muszą to być królestwa, bo w trudnych warunkach najlepiej sprawdza się jedynowładztwo – jest gwarancją stabilności. Wśród królestw rządzące imperium samozwańczych szlachciców, pośród których dominuje kilku magnatów obdarzonych wyjątkowym zmysłem politycznym. Takiego magnata można by zrobić głównym bohaterem i pokazać jego trudną drogę do pozycji księcia, a w ewentualnych kontynuacjach – podbój kolejnych rejonów spalonego atomem kraju, na wzór Łokietka jednoczącego Polskę po rozbiściu dzielnicowym. I, oczywiście, bezkompromisowe robienie porządków, kolejne metody radzenia sobie z radiacją i innymi skutkami ubocznymi niedawnej wojny.

W tle – bo czemu by nie? – warto byłoby zarysować wątek społeczny, pokazać ludzi starających się jakoś związać koniec z końcem w nowej rzeczywistości. Ich mitologią – opowieści o poprzednich wojnach i komunie. Przecież każda polska rodzina pamięta takie momenty, kiedy nic nie było, a jeść trzeba było i tak. Dałoby się też nieźle wyzyskać polskie zamięłowanie do prowizorki i postawy „nie wyrzucaj, jeszcze się przyda”. Uwaga, będzie dygresja.

Jeśli wierzyć Andrzejowi Pilipiukowi i jego prelekcji *Obyczaje pogrzebowe naszych*

*przodków*, najstarsze istniejące źródła niepisane portretują słowiańskich praszczurów jako mistrzów spontanicznego recyklingu i radzenia sobie w niesprzyjających warunkach. Przede wszystkim umieli oni doskonale funkcjonować w trudnych czasach epoki brązu, używając wyłącznie narzędzi krzemiennych (Celto wie i Germanie dawno przywykli już do obróbki metali). Mimo to Słowianie sprzed wieków przetrwali na terenach, na które zapędziła ich wędrówka ludów, a po pewnym czasie zbudowali na nich nawet kilka dobrze funkcjonujących państw.

A co z tym recyklingiem? Genialna sprawa. Otóż okazuje się (nadal powtarzam za Pilipiukiem, archeolog w końcu), że grobowce słowiańskich wodzów bardzo często urządzano w miejscach, w których wcześniej chowali swoich przywódców poprzednicy Słowian na tych ziemiach. Po co męczyć się z usypywaniem kurhanu dla kniazia, skoro zupełnie dobry kurhan już stoi kawałek za osadą? I to spory, cała rodzina się zmieści, jak dobrze pokombinować! Przecież i tak już nikt nie pamięta, co za jedni w nim leżą, rozpowie się, że kopiec jest Kraka albo Wandy, i będzie załatwione.

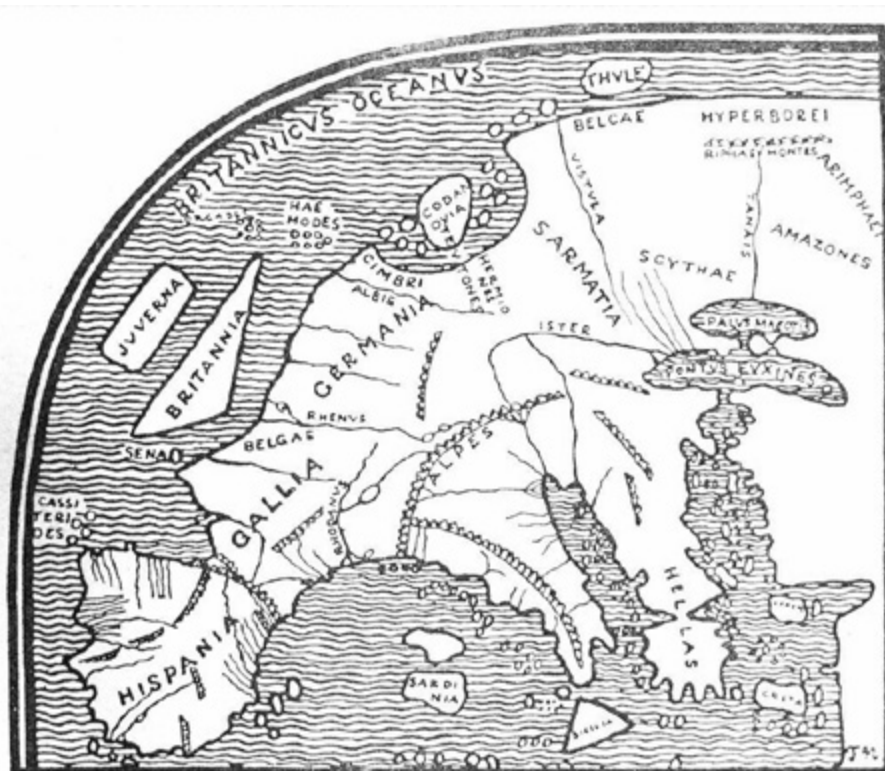
Przejmowane grobowce dokładnie uprzątno z zastanej zawartości i przedawnionych lokatorów. Wyposażenie czasem wracało do obiegu. Znana jest na przykład historia miecza z brązu, który Prasłowianie wydobyli z kurhanu łuzyckiego księcia, przekuli, wyprostowali i na długi czas uczynili z niego najpotężniejszy oręż na okupowanych przez siebie terenach (co nie było trudne, biorąc pod uwagę to, na jakim poziomie stała u nas wówczas obróbka brązu). Takie wczesnośredniowieczne F16. Słowianie byli też jedynym ludem, który do grzebania swoich zmarłych nie używał specjalnych naczyń popielnych, ale wykorzystywał te same, z których wcześniej korzystał „w kuchni”. Na urny najlepsze były te garnki, które z powodu mechanicznych uszkodzeń do gotowania się już nie nadawały...

Pojmujecie mój tok myślenia? Damy sobie radę w postapo, mamy to we krwi.

## Propozycja druga: „Powstanie Polskie”

Albo odbijmy nieco w kierunku space opery, czy po prostu SF. Pewnego pięknego popołudnia okazuje się, że nie jesteśmy sami w kosmosie. Armia potężnych Obcych bierze Ziemię szturmem i zamienia w ciemżoną kolonię. Garnizon kosmicznego wojska w każdym mieście, przymusowa współpraca gospodarcza (a.k.a. niewolnictwo), porwania, eksperymenty, wszystko w świetle prawa ustanowionego przez najeźdźców. Myślicie, że Polacy zniesliby coś takiego ze spokojem? Ja jestem przekonany, że nie ma takiej możliwości.

Lubimy historie o partyzantach, niech więc o nich będzie ta historia. W polskich lasach powstaje najbardziej dokuczliwy ludzki ruch oporu, który postanawia walczyć do ostatniego żołnierza o wolność dla ludzkiej rasy. Wszak dla nas to nie pierwszozna, ginąc choćby w przegranej sprawie. Znowu: są tradycje, jest mit, nie braknie chętnych, by pójść w ślady dawnych bohaterów. Byle było przeciw komu się zjednoczyć i komu pokazać wiadomy gest. Polak zawsze sobie przypomni, że potrafi. I tu ponownie można pociągnąć wielotomową epopeję, zacząć od przygodowej powieści wojennej o losach dzielnych partyzantów, gdzie w trzecim tomie dać im już do rąk konkretne uzbrojenie i możliwości polityczne (np. mini-państwo wolne od obcych wpływów, ale trzymające się na nogach resztką sił), pokazać, jak





Wolność wiodąca lud na barykady – Eugène Delacroix

za kolejnymi sukcesami idą podziały i rodzi się na nowo wielka polityka, bo każdy ma inny pomysł, jak wykorzystać tymczasowe zwycięstwo. Jak ułożyć sobie stosunki z innymi nacjami w takich warunkach? Jak zapanować nad zdobyczną infrastrukturą najeźdźców? Co jeśli w wojsku rozpocznie się bunt albo wróg podejmie wojnę informacyjną?

Pytanie dodatkowe: czy taką serię warto kończyć szczęśliwie? I jaką funkcję mogłoby tu pełnić zakończenie-katastrofa?

Inna jeszcze mutacja tego samego pomysłu: gdyby żadnych Obcych nie było, prawdopodobnie niezłe efekty można by osiągnąć, gdyby po prostu ich wymyślić. Nastraszyć naród krwiożerczymi, nieludzkimi hordami, które zaraz przyjdą odebrać nam naszą ziemię i zabronić nam bycia Polakami. O, taką *political fiction* bym poczytał. Niechby nawet wykonawca tego diabolicznego planu zamówił w Azji armię zupełnie nieszkodliwych, ale groźnie wyglądających robotów – tylko po to, by zmobilizować dzielnych Polaków do walki, ciężkiej pracy i poświęceń dla wspólnego dobra. Bo bądźmy

szczerzy – bez takich bodźców jesteśmy w poświęceniu się raczej słabi...

Pod żadnym pozorem nie sugeruję, że coś podobnego dzieje się właśnie na naszych oczach.

## Propozycja trzecia: „Anarchy in the PL”

Idziemy jeszcze dalej: cyberpunk. Czy może raczej SF bliskiego zasięgu<sup>1</sup>. Powiedzmy, że za kilka lat od teraz, kiedy gogle VR zawitają już pod strzechy i rzeczywistość rozszerzona stanie się normą, kilka globalnych korporacji nagle ogłasza, że są w posiadaniu najemnych armii, które deklasują wojska państwowe, w związku z czym uprasza się rządy narodowe o złoże-

1 Mędrsi ode mnie piszą w szczegółowych analizach, że to, co w latach 80. tuzem cyberpunku wydawało się dystopią przyszłych pokoleń, dla nas powoli staje się rzeczywistością. I na dobrą sprawę nawet tego nie zauważamy. Można toczyć filozoficzne dyskusje na temat tego, w jakim stopniu jesteśmy już cyborgami (spróbujcie zabrać młodszemu nastolatkowi smartfona, jeśli zdążył do niego przywyknąć – reakcje bywają porównywalne do bóli fantomowych) albo czy światem rządzą jeszcze rządy, czy już korporacje (słowo klucz: lobbying). Faktem jest, że zaczyna to wszystko wyglądać bardzo znajomo.

nie broni i opróżnienie parlamentów, a potem wszyscy do fabryk. My wam damy jeszcze więcej lolcontentu i eskapistycznej popkultury przez soczewki naszej własnej produkcji, a wy nam oddacie prawa obywatelskie, swobodę decydowania o własnym losie, może jeszcze parę dodatkowych godzin dziennie w pracy. Wiecie, gdzie ten scenariusz by się nie udał? W Polsce.

Przeżyliśmy rozbicie dzielnicowe, potop, okupację, radziecki but, stan wojenny i niezliczone rządy „kolesi”. Im większa kabała, tym więcej kreatywności się w narodzie budziło. Byle przetrwać do pierwszego. I znowu. I znowu. Władza ludowa zabroniła handlować? Nie ma sprawy, zorganizujemy taki podziemny rynek, że obroty wzrosną o połowę. Ruscy rusyfikują? Żaden problem, momentalnie wyраста znikąd cały nielegalny system szkolnictwa, a dzieciaki z czystej przekory zaczynają uczyć się na pamięć *Pana Tadeusza*. Rodzony dziadek takie historie mi o stanie wojennym i okupacji opowiadał, że z wypiekami na twarzy tego słuchałem. Prawie żałowałem, że sam nie będę takim bohaterem walki z socjalizmem, jak mój wujek podrabiający urzędowe pieczętki monetą pięćdziesięciogroszową. Poza tym Polska stopniowo staje się obecnie zagłębiem najlepszych informatyków w tej części globu. Czy ktoś już się spodziewa, do czego zmierzam?

Powiedzmy, że w wyniku dobrze pomyślanego Blitzkriegu korporacje w jedną noc przejmują całość władzy w kraju. Rano Polacy się budzą, dowiadują się, co zaszło, i wpadają w szal. Z dnia na dzień zakładają nową hakerską organizację, która tuż obok oficjalnej, korporacyjnej AR, buduje jej kopię operującą na nieco innych regułach, po czym stopniowo podłącza do niej kolejnych zaufanych ludzi. Ci „uwolnieni” mają możliwość przeskakiwania w dowolnym momencie z oficjalnego przekazu na przekaz hakerski, co efektywnie rozbraja reżimową propagandę i pozwala na tworzenie struktur państwa podziemnego, zbliżonych

do tych, które funkcjonowały w Kongresówce podczas Powstania Styczniowego. Wszystkie dzieje się na infrastrukturze dostarczonej przez *evil corp*, za ich pieniądze i przy użyciu ich technologii. Kiedy wszystko jest gotowe, zaczyna się prawdziwa wojna.

Do tego wszystkiego dałoby się bez problemu dołożyć demokrację wiecową przez internet, pilnujących nowego porządku nadludzi dopakowanych cyberwszczepkami albo mutantów. *Et voilà*. A żeby jeszcze bardziej skomplikować obraz – w samym sercu hakerskiego „powstania” mogłaby funkcjonować grupa radykałów, której celem byłoby całkowite zniszczenie technologii wykorzystywanych przez korporację do sprawowania władzy nad światem. Jakimi metodami? Za jaką cenę? Czy to rozsądne? Czy moralne? Jak wyglądałaby kontynuacja w świecie po zwycięstwie radykałów?

## **Propozycja czwarta: „Ojczyzna swobód wszelakich”**

Ktoś rozsądny mógłby zauważyć jeden słaby punkt powyższych koncepcji: to już było i upadło. Polska zjednoczona pod piastowskim berłem ostatecznie pogrążyła się w anarchii. Przyszli lepiej zorganizowani Niemcy i Rosjanie, pogasili światła i impreza się skończyła. Leśna partyzantka nie zapobiegła radzieckiej dominacji, a styczniowe państwo podziemne rozpadło się przez zdradę jednego funkcjonariusza. Tak też rzeczywiście mogłyby się zakończyć malowane przeze mnie powyżej wizje. Czy jest zatem jakaś metoda, by zapobiec nieuchronnej zapaści fantastycznego świata, nie urągając przy tym rozsądkowi i inteligencji czytelnika? Oczywiście, że jest, znana przynajmniej od antyku.

Boska interwencja.

Wracamy do fantasy. Kraj zaludniany przez ludek sprytny i odważny, ale przy tym butny, leniwy i niezdolny do samoorganizacji,

pewnego razu wpada w oko bóstwu podrózu-  
 jącemu po ziemskim globie z gospodarską ko-  
 lędą. Może to być jakiś Melkor od chaosu i ro-  
 bienia rzeczy na opak, może być Dionizos od  
 wiecznej imprezy i świętego szału, a może być  
 rzeczona Wolność – ta, co na obrazie Delacroix  
 prowadzi lud na barykady. Ktoś, kto miał-  
 by szansę pokochać Polaków szczerą miłością  
 i raz w końcu naprawdę zrobić z nich Naród  
 Wybrany. Wyobrażacie to sobie? Epopeja na  
 miarę *Władcy pierścieni*, w której polscy ryce-  
 rze z imieniem Wolności na ustach wkraczą  
 w granice kolejnych autorytarnych imperiów,  
 detronizują tyranów i niczym Daenerys Tar-  
 garyen w *Pieśni lodu i ognia* zaprowadzają de-  
 mokrację szlachecką w całym cywilizowanym  
 świecie. Prawie się wzruszyłem.

A jak z tego zrobić nadającą się do czyta-  
 nia powieść? No, przypuśćmy, że owa Wolność  
 działa za pośrednictwem wybrańca, jakiegoś  
 zagrodowego moczymordy, który jest dość by-  
 stry i charyzmatyczny, by zwojować świat, ale  
 mu się nie chce. Szkoda mu czasu na politykę,  
 kiedy wino dojrzewa w piwnicy, a konkury do  
 córki sąsiada zaczynają iść jakby skuteczniej.  
 On ceni swobodę i święty spokój, a nie jakieś  
 tam przygody i wojaczkę. Ostatecznie jednak,  
 najpewniej przy pomocy fortelu, bogini prze-  
 konuje go, by na dziesięć lat opuścił rodzinny  
 majątek i udał się z nią na wyprawę, podczas  
 której dane mu będzie pokazać reszcie świa-  
 ta, co potrafi polski szlachcic i czemu polskie  
 obyczaje są lepsze i bardziej wartościowe od  
 wszystkich innych.

Bohater się zgadza i początkowo nawet mu  
 się podoba, że król robi go hetmanem, wojsko  
 idzie za nim jak w dym, oddział uderzeniowy,  
 którym osobiście dowodzi, bierze z marszu  
 Wiedeń i dekretem przyłącza Rzeszę Niemiec-  
 ką do imperium pełnego swobód i dobrobytu.  
 Ale z czasem zaczyna dostrzegać w tym wszyst-  
 kим sprzeczność, coraz bardziej mu się to nie  
 zgadza. Wolność jako wartość narzucona?

A jak ci Niemcy wolą po swojemu, to kim ja  
 jestem, żeby ich siłą przymuszać do polskości?  
 I co będzie z córką sąsiada, zanim wrócę?

Wątpiącym bohaterem Wolność nie jest już  
 zainteresowana, znajduje sobie innego proroka.  
 I wtedy dopiero szlachciura wpada w tarapaty...

Można by tak godzinami. Co więcej, mimo  
 lekko prześmiewczego tonu tekstu to wszyst-  
 ko jest jak najbardziej wykonalne. Czesi już  
 przetarli szlaki – furorę za południową gra-  
 nicą zrobił serial Kosmo, opowiadający o cze-  
 sko-słowacko-polskim wyścigu kosmicznym.  
 Bynajmniej nie przedstawia on w korzystnym  
 świetle żadnego z trzech narodów, ale dość cel-  
 nie punktuje ich wady, jednocześnie w krzy-  
 wym zwierciadle portretując zalety.

A już poza wszystkim – od jakiegoś czasu  
 w dyskursie publicznym powraca temat braku  
 polskiego mitu narodowego, który byłby nieco  
 bardziej konstruktywny niż dominująca obec-  
 nie martyrologia. Może faktycznie czas już po-  
 grzebać głębiej w stosie naszych narodowych  
 wad, z których przecież doskonale zdajemy  
 sobie sprawę, i zastanowić się, czy gdzieś pod  
 nimi nie leży zagrzebana jakaś bardzo nietypo-  
 wa zaleta? Coś, co pozwoliłoby nam wyrwać  
 się z opozycji: zapatrzenie w Zachód kontra  
 wmawianie sobie, że jesteśmy przedmurzem  
 Europy i Chrystusem narodów? Choćby na-  
 wet miała to być natura warchoła i anarchi-  
 sty, ogrywana od strony bezkompromisowego  
 umiłowania wolności. Ona też czasem może  
 uratować komuś skórę.

Autor niniejszego artykułu nie rości sobie  
 praw do żadnej z wymienionych w nim cho-  
 rych koncepcji. Co więcej, jeśli komuś kiedyś  
 faktycznie przyjdzie do głowy wykorzystanie  
 ich w prawdziwej powieści fantastycznej, będę  
 zaszczycony i chętnie postawię odważnemu  
 pisarzowi... no, powiedzmy, słoik porządne-  
 go, polskiego miodu.

Bezalkoholowego, rzecz jasna.

MICHAŁ SZYMAŃSKI

# Panu Bogu świeczkę, a diabłu dwie

Artur Olchowy

**Piszę ten tekst, gdy na zewnątrz wieje potężny wiatr, a jak mówili kiedyś Mazurzy: gdy wieje, to pewnie diabeł jedzie na wesele.**

Mazurski diabeł to ma ciężkie życie. Nie żeby w ogóle diabły polskie czy słowiańskie miały jakoś dużo łatwiej, ale mazurskie naprawdę musiały się napracować i to w obiektywnie trudnych warunkach, żeby pozyskać chociaż jedną małą duszyczkę. Dodajmy, że było ich niemało, a i nazywały się różnie: diabeł, zły, duch, niedobre, kusy, pękaty, śmierdziuch, kłobuk, szatan i lucyfer, a występowały też diabły lokalne mające własne imiona, jak Rokitka, Gigas czy Tebuss.

Zacznijmy od samego regionu. Mazury to pokryty jeziorami, lasami i rzekami nizinny obszar w północno-wschodniej Polsce. Północną część pofałdował lodowiec (tak zwane „garbate Mazury”), a południowa jest płaska jak patelnia i przy tym bagnista.

Pod powierzchnią tej malarycznej, choć pięknej krainy, znajduje się piekło, które jest takim samym państwem, jak to ludzkie na górze. Żyją tam zatem diabły-robotnicy,

diabły-urzędnicy, no i sam władca piekła, czyli Lucyfer. Ten ostatni wysłał swoich podwładnych na ziemię, żeby zakładali się z Mazurami o ich dusze lub w inny sposób starali się pozyskać ich dla piekła jak najwięcej.

Problem w tym, że czasami chłop mazurski okazywał się mądrzejszy od wysłanego piekielnika, a liczba podań wskazuje, że nie były to rzadkie przypadki.

I tak jeden diabeł założył się z Mazurem, że jak chłop go pokona w trzech konkurencjach, to z piekła dostanie tyle złota, ile zmieści się w skórzaney sakwie. Jeżeli wygra diabeł, wówczas chłop odda mu swoją duszę. Zadania miały odbywać się po jednym w kolejnych dniach.

Najpierw mieli mierzyć się na siłę. Mazur bał się, że zrobi przeciwnikowi krzywdę.

– Mocuj się z moim dziadkiem. Stary jest i już nie tak silny, jak kiedyś – powiedział i wysłał czarta do słońca. Diabeł parł z całej siły, rył kopytami w ziemi, ale nie ruszył ciężkiego zwierzęcia nawet o centymetr. Spocony i zmęczony przyznał, że chłop zwyciężył.

Drugiego dnia mieli się ścigać na drodze od zwalonego dębu aż do biegnącego od uroczyska strumienia. Chłop na starcie ustawił zająca, mówiąc, że to jego syn.

– Młody jeszcze nie za bardzo umie pracować nogami i czasami się potyka, dlatego szanse będą bardziej wyrównane – wytłumaczył diabeł.

Jak pewnie zgadliście, zając Mazura wygrał wyścig, a diabeł uznał swoją porażkę.

Trzeciego dnia mieli gwizdać – wygra głośniejszy. Pierwszy ustawił się diabeł. Wsadził w usta dwa zakończone długimi pazurami palce i jak zadał, to cały las się zatrzęsł, a skrzydła pobliskiego wiatraka tak się rozkręciły, że pogruchoły młyńskie kamienie. Mazur pokiwał głową z uznaniem i podszedł na bok. Odciał kilka gałęzi pobliskiej wierzby, po czym zaczął odrywać korę i splatać z niej sznur.

– To, żeby ci głowa nie pękła, jak zagwizdę. Owiń ją – polecił, podając wierzbowy splot.

Diabeł podarku nie przyjął, tylko przerażony bez słowa czmychnął do piekła przez dziuplę w rosnącej nieopodal topoli.

Ponieważ chłopu żal było głupiego diabła, zgodził się na jeszcze jedną konkurencję, choć już trzy przecież wygrał. Następnego dnia mieli rzucać stalowymi obręczami od beczek: czyja doleci wyżej, ten wygrywa cały zakład. Diabeł, już nie tak pewny siebie, zakręcił swoją obręczą i rzucił, a ta poleciała wysoko w niebo, tnąc chmury jak masło i dopiero pół godziny później spadła na ziemię pod stopy Mazura. Ten wziął ją, nie okazując zdziwienia i krzyknął w górę:

– Kuba, Janek! Trzymajta!

Po czym zaczął kręcić.

– Kogo wołasz? – spytał zdziwiony diabeł.

– A, dwóm kowalom zmarło się niedawno, a że w niebie zawsze żelaza brakuje, to nawet taka obręcz się przyda.

Diabeł nie miał już pytań. Przyznał się do przegranej i obiecał wrócić z worem złota.

Ostatniego dnia ustawili się na dachu stodoły, bo tak sobie Mazur zażyczył. Wystawił

przed siebie skórzaną sakwę, a diabeł zaczął sypać do niej złoto. Wiele razy musiał latać do piekła po kolejne worki, bo złoto w sakwie po prostu znikało. A prawda była taka, że chłop zrobił dziurę w dnie sakwy i w dachu stodoły. Ponieważ to było przed sianokosami, w stodole prawie nie było siana, dlatego diabeł musiał ją całą wypełnić złotem.

\*\*\*

Tak, w całej Europie się zdarzało, że chłop diabła przechytrzył, ale na Mazurach potrafiły to zrobić nawet stare baby. Są przynajmniej dwie takie opowieści.

W pierwszej diabeł zaproponował Mazurowi interes.

– Zasieję u ciebie przy chałupie roślinę. Wypielęgnuj ją i zbiorę, a jest bardzo cenna. Jeżeli w tym czasie uda ci się zgadnąć, co to za uprawa, to plon będzie twój. Jeżeli do zbioru nie zgadniesz, to wtedy (a jakże!) oddasz mi swoją duszę.

Gospodarz był pewny swego, więc się zgodził. Ale roślina wykiełkowała, rosła, liście jej się zazieleniły, a Mazur nadal nie wiedział, co właściwie diabeł wysiał. Dlatego w końcu poszedł do baby prosić o pomoc. Baba wysłuchała uważnie i kazała przynieść smołę i kurze pierze.

Gdy tylko chłop wrócił z zamówionymi sprawunkami, baba natarła się smołą, a potem okleiła pierzem i poszła w diabelską uprawę. Krążyła tak między grządkami, aż pojawił się diabeł.

– A pójdziesz ty, ptaku, z mojej tabaki! – Przepędził ją, krzycząc i wymachując rękami.

Baba, mając odpowiedź, wróciła do chałupy, wyczyściła się z pierza i smoły i powiedziała chłopu, co mu tam diabeł na grządkach wysiał.

W drugiej opowieści kusy przyszedł do baby namawiać ją, żeby razem poszli kraść prosiaki bogatego gospodarza.

– Ty weźmiesz dwa worki – tłumaczył diabeł. – Ja wskoczę do chlewika przez okno i będę ci podawał prosiaki, a ty na przemian jednego wsadzisz do mojego worka,

a drugiego do swojego. W ten sposób będziemy mieć po równo.

Tak też zrobili. Diabeł wskoczył do środka i szybko podawał zwierzęta. Ale baba nie posłuchała polecenia, tylko wszystkie prosiaki pakowała do jednego wora. Zły przekazywał już ostatnie zwierzę, gdy w domu gospodarza zapaliły się światła i złodzieje musieli uciekać. Zatrzymali się dopiero w lesie przy Jeziorze Nidzkim. Wówczas diabeł zauważył, że baba niesie tylko jeden wór. Zawył z wściekłości.

– Jak teraz rozpoznamy, które prosiaki są moje?

– Ja swoim zakręciłam ogonki – powiedziała baba.

Partner w kradzieży zgodził się na takie rozwiązanie.

Jaki musiał być wściekły, gdy przy podziale łupów się okazało, że wszystkie różowe prosiaczki mają zakręcone ogony.

Można by pomyśleć, że to koniec historii, ale nie na Mazurach. Tam bowiem piekło jest takim samym państwem, jak to na powierzchni, dlatego gdy diabeł wrócił do siebie i poskarżył się, jak to został przez babę oszukany, Lucyfer nie tylko go nie pożałował, ale jeszcze wysłał z powrotem na ziemię, żeby za karę tych kradzionych prosiaków doglądał.

\*\*\*

Można takiemu kusemu współczuć lub się z niego śmiać, że niezbyt mądry. A przecież, jak mówili niegdyś Mazurzy, nawet z głupiego wołu da się zrobić pieczeń. I tak też mazurski diabeł był nie tylko niezbyt mądry, ale i wcale nie taki zły. A nawet jeszcze gorzej, znaczy lepiej, bo czasami był całkiem dobry.

Dawno temu nieopodal wsi Krzyże pracowała w gospodzie karczmarka, która oszukiwała na rachunkach. Wiedzieli o tym wszyscy, ale za każdym razem, jak ktoś jej zarzucił oszustwo, dziewczyna się zarzekała: „Niech mnie diabeł porwie, jeśli kłamię”. A że nie porywał, to oskarżenie cofano.

Pewnego razu jednak do gospody wszedł mężczyzna w stroju niemieckim. Usiadł za stołem i krzyknął, że wszystkim obecnym stawia wódkę. Goście ucieszyli się i wzniesli toast na cześć hojnego obcokrajowca. Potem sytuacja powtórzyła się jeszcze dwa razy. Po tych trzech kolejkach mężczyzna poprosił o rachunek. Gdy karczmarka podała sumę, klient wściekły krzyknął, że aż tyle nie wypili, na co dziewczyna: „niech mnie diabeł porwie, jeśli kłamię”. Wtedy Niemiec wstał, wywrócił stolik i pokazał spód blatu, na którym czarnym pazurem wrył kreskę za każdy nalany kieliszek. Zebranych ogłosił, że jest diabłem, choć nie musiał, bo już dostrzegli kopyta zamiast stóp i małe rogi ukryte pod trójrożnym kapeluszem. Kusy chwycił dziewczynę i zniknęli w chmurze cuchnącego siarką dymu. Jakiś czas potem widziano na grobli bardzo podobnego do niego mężczyznę, który ciągnął za sobą konia, trzymając go za uzdę. A to nie był koń, tylko zakłęta w kobyłę karczmarka.

Takie kary, to znaczy zamianę w konia, diabły stosowały na Mazurach raczej często.

Równie wychowawczo postąpił diabeł w stosunku do młynarza o nazwisku Konopka, który zatrudniał tylko jednego parobka, choć roboty mieli obaj ponad siły. Pewnego dnia przyszedł do niego młody chłopak z pytaniem, czy go gospodarz zatrudni. Konopka, skąpy jak mało kto, przegonił niedoszedłego drugiego parobka. Ten poszedł nad brzeg jeziora i czyniąc jakieś piekielne zaklęcia, wywołał ogromną burzę, o jakiej ludzie potem opowiadali przez całe dziesięciolecia. W trakcie tej burzy wiał wiatr tak potężny, że uszkodził młyn Konopki. Młynarz, wiedząc, gdzie chłopak się zatrzymał, posłał po niego, bo potrzebował pomocy przy remoncie. Diabeł zadanie wykonał solidnie i tanio, a Konopka nigdy już nie skąpił na pomocnikach.

Ale diabły na Mazurach to nie tylko ludzie z rogami i kopytami. To także czarne zwierzęta,

które przynosiły do obory, kurnika lub chlewu zarazę. Dlatego szczególnie się ich bano – bardziej niż czartów wyglądających jak ludzie.

Takiego diabła napotkał kiedyś gospodarz, który jechał wozem z targu. Na rozstaju dróg zobaczył czarnego cielaczka. Niewiele myśląc, posadził go na wozie i ruszył w drogę do domu. Po pewnym czasie konie zwolniły, a w końcu stanęły, odmawiając dalszego marszu. Chłop stwierdził, że im pewnie ciężko, dlatego postanowił cielaka postawić na ziemi i przytroczyć liną do wozu. Jak musiał się zdziwić, gdy zwierzę ani drgnęło! Siłował się z piekielnym cielaczkiem bezskutecznie, dopóki sam diabeł, przepędzany modlitwą, nie postanowił zejść z wozu. Konie od razu ruszyły i chłop musiał je jeszcze jakiś czas gonąć. A piekielny cielaczek po prostu zniknął.



Diabeł, jako istota nie z tego świata, kontaktował się również z Panem Bogiem. Pewnego dnia spotkali się na leśnej ścieżce.

– Dzień dobry, Panie Boże – przywitał się kusy.

– Dzień dobry, czarcie, diable – odpowiedział Bóg.

Diabeł spytał, czemu usłyszał taką niegrzeczną odpowiedź.

– Bo ja czynię dobro, a ty broisz i dokuczasz.

Poszli razem i po chwili napotkali krowę. Diabeł starał się do niej podejść, ale ta przestraszyła się, tyle że nie diabła, a boskiej światłości, i z tego strachu wpadła w bagno. Podbiegli chłopci ratować zwierzę.

– Co za diabeł ją tam wepchnął? – pytali.

Diabeł, widząc, że sami sobie nie radzą, podszedł do zwierzęcia i pomógł mu wydostać się z pułapki. Gdy tylko krowa stanęła na ścieżce, chłopci krzyknęli:

– Chwała Bogu!

Diabeł na to podszedł do Boga.

– Panie Boże, ja zwierzę wyciągnąłem, a tobie dziękują, ale wybac im, bo nie wiedzą, co czynią – poprosił z żalem w głosie.

Czyli diabeł mazurski był nie tylko głupi i zapracowany, ale też niesprawiedliwie traktowany.

\*\*\*

Na koniec opowiem jeszcze jedną historię.

Mieszkała nad jeziorem Śniardwy wiedźma, która pysk miała tak okropny, że nazywali ją Koślawa. No i ona zasadniczo nieszkodliwa była, choć pono pyskata. Ale za to leczyła ludzi, i to tanio. Gorzej mieli ci, co jej zaleźli za skórę. O, wtedy to nie odpuściła. Nikomu. Nieważne było, czy to sołtys, burgmajster, ksiądz czy nawet diabeł. Koślawa nie bała się nikogo.

Razu pewnego, jak Koślawa szła skrajem lasu za pruskim cmentarzem, to spotkała urodziwego młodzieńca w porządnym ubraniu i kapeluszu z dużym rondem. Jak tylko ją zobaczył, uklonił się głęboko i uśmiechnięty podszedł bliżej.

– Dzień dobry, babciu – przywitał się grzecznie. – A co babcia taka zatroskana? Wszak słonko świeci i kości grzeje.

Koślawa wiedziała, że to diabeł jest, ale wcale nie dała tego po sobie poznać. Za to twarz ukryła w dłoniach i zapłakała.

– O, my nieszczęśliwi! Taka susza, że na Czarci Ostrów suchą stopą można przejść, ryby się duszą i wypływają brzuchami do góry. Na polach wszystko wypalone, do lasu strach wchodzić. Jagód w tym roku nie było, grzybów też nie będzie. I ja żadnych ziół zebrać nie mogę, bo wszystko się zeschnęło, zanim zakwitło. Co my zrobimy, biedacy? – zawodziła.

Widząc zapłakaną starowinkę, diabeł podał jej białą chustkę. Zielarka przyjęła ją, ale nadal wyła i wygrażała niebu, na którym nie było ani jednej chmurki.

– Babciu, to może ja pomogę? – zaproponował kusy. – Przrzekam ci, że z rana zacznie tak padać, że do wieczora Śniardwy odetną Czarci Ostrów i znów będzie jak dawniej. Ale nic za darmo – zastrzegł.

Koślawa już się uspokoiła i znów podejrzliwie patrzyła na biesa.

– Jeśli uratujesz plony, wioskę i jezioro, to możemy dobić targu.

Diabeł aż podskoczył z zadowolenia.

– Jeżeli spadnie deszcz, tak jak powiedziałem, to wrócę, a ty, babciu, oddasz mi duszę.

Koślawa zaśmiała się głośno, chrypiąc, krztusząc się i klepiąc po udach z tego rozbawienia. Czort nagle poczuł się niepewnie.

– Tylko duszę? – zakpiła. – Chłopcze, co ci po takiej starej duszy? Nie będę się targować, tylko zaproponuję jeszcze coś, bo jestem uczciwa i nie pozwalam, żeby głupki same sobie szkodziły. Jeśli spadnie deszcz, jak powiedziałeś, to przyjdź do mnie. Ale nie w dzień i nie na kolonię, bo cię jeszcze ktoś zobaczy. Przyjdź na Szeroki Ostrów po zmroku, gdy nie ma tam rybaków, a ja ci ugotuję kaszy gryczanej ze skwarkami, grzybami,

ziołami i różnymi różnościami, jakich nigdy nie jadłeś.

Diabeł aż się zaślinił, widząc już w myślach ten kociołek gotowanej miękkiej kaszy z chrupiącymi skwarkami, majerankiem i borowikami i, kto wie, może nawet soczewicą.

– Mamy umowę? – Koślawa wyrwała go z zadumy. Zły energicznie pokiwał głową, aż ochlapał sobie koszulę ciekącą po brodzie śliną. – Czyli sprowadzasz deszcz, zjadasz kaszę i oddaję ci duszę – upewniła się jeszcze.

Podali sobie ręce i diabeł zniknął, rozplywając się w chmurze cuchnącego siarką dymu.

Koślawa za to powoli poszła w stronę swojej kolonii, a dobry humor jej nie opuszczał aż do zmroku.

Następnego dnia obudziła ją ulewa. Deszcz najpierw siekł, zrywając suche liście z drzew, kładąc bladeżółte trzciny i zboża, potem zełżał. Staruszka, jak tylko wstała, szybko się umyła, wyszykowała, wyciągnęła stary, połatany parasol i wyszła z domu. Skoro diabeł dotrzymał swojej części umowy, to ona też musiała przygotować kolację.

We wiosce poszła najpierw do myśliwego, od którego kupiła słoń dziczego smalcu, do połowy wypełniony skwarkami, na widok których żołądek wywijał fikołki. Od jego żony, która uprawiała różne zioła, a miała do tego rękę, Koślawa kupiła trochę pietruszki, wonny majeranek i soczystą kolendrę. Od starego Kani wzięła worek kaszy gryczanej, bo u niego zawsze była zdrowa i bez robaków. A skoro już była w wiosce, to odwiedziła również kowala, a potem zbadala kilka dzieciaków, czy ich nie przełamało. W drodze powrotnej skręciła z polnej drogi w las, poszukać grzybów.

Wieczorem przestało padać, jak gdyby diabeł chciał pokazać zielarce, że to jego piekielne sztuczki były. O zmroku staruszka z kociołkiem wypełnionym różnościami i wiązką suchych sosnowych szczapek dotarła na Szeroki Ostrów. Głodny i znicierpliwiony diabeł już

tam czekał. Przeształ z kopyta na kopyto, gdy kobieta powoli klęknęła, rozgarnęła mokre liście i mchy i zaczęła przygotowywać ognisko pod kociołek. Parskał i zlorzeczył, gdy dokładnie odmierzała wszystkie składniki, co w nocy wcale nie było takie łatwe, bo od płomieni cienie skakały i mamiły wzrok. A już otwarcie protestował, gdy Koślawa rozgrzebała szczapki, żeby na zbyt dużym płomieniu kaszy nie przypalić.

– Strasznie się guzdrzesz, starucho. Ale nic to. Kasza w końcu się ugotuje, a ja zjem ją ze smakiem. Zaraz potem zabiorę ci duszę i wrócę do piekła. A im bardziej będziesz zwlekać, tym dłużej to twoje jezioro deszczu nie uświadczy.

– Kasza miała być dobra, to będzie dobra. Siądź wreszcie na ogniu, gówniarzu, i starszych nie pouczaj! – wrzasnęła stara w końcu na czarciego młokosa, a ten zamilkł i przysiadł na pieńku.

I faktycznie kilka minut później głosem słodszy od miodu Koślawa zaprosiła wygłodniałego czarta do ogniska.

Ten nawet nie czekał, aż mu staruszka nałoży kaszy do miski, tylko od razu z łapami rzucił się do kociołka. Po pierwszym ugryzieniu coś zachrząściło, po drugim rozległ się odgłos, jakby ktoś kości łamał, co by szpik wyssać. Po trzecim diabeł wypluł jedzenie i chwycił się za głowę.

– Moje zęby! – zawył ze złości i bólu tak potężnie, że aż na przeciwnym brzegu Śniardwo go było słychać.

Koślawa stała naprzeciw i uśmiechnięta nakładała mu kolejną porcję.

– Zgodnie z umową kasza jest smaczna i miękka, skwarki chrupiące, zioła świeże i soczyste. No i są tam takie różności, jakich nigdy nie próbowałeś, chyba że tam w piekle jadłeś kaszę z żużlem od kowala, z sarnimi bobkami i trującymi grzybami z uroczyska zdorskiego – żartowała zadowolona, że wykiwała piekielnika. – A teraz żryj do ostatniego ziarenka albo o mojej duszy zapomnij.

Diabeł, który zdążył już połamać prawie wszystkie zęby, tylko patrzył z wściekłością na staruszkę.

– Jeszcze tu wrócę – zapewnił i wskoczył do jeziora.

Od tamtej pory po każdej ulewie na powierzchni jeziora wokół Szerokiego Ostrowia snuje się dym. Ludzie omijają wtedy półwysep, bo mówią, że to Koślawa gotuje kaszę biesowi, który wciąż ma chrapkę na jej duszę.

\*\*\*

Tę ostatnią historię sam wymyśliłem, gdy siedziałem nad brzegiem jeziora Śniardwy i patrzyłem na wyspę, która od przynajmniej pięciu stuleci nazywa się Czarczi Ostrów. Ale pozostałe opowieści są prawdziwe. Nawet dziś, choć ludzie mówią, że diabły już po mazurskiej ziemi nie chodzą, wystarczy pojechać na kolonię za Krutynią albo na południe, do Krzyży lub Zamordejów, i zapytać gospodynię o kłobuka.

– A furał nawet wczora – odpowie i poczęstuje ciastem z rabarbarem.

ARTUR OLCHOWY

Źródła:

Podania mazurskie w XIX i XX wieku zebrali M. Toepfen, J. M. Łapo, E. Sukertowa-Biedrawina, A. Szyfer, O. Kolberg, G. Schiwy, J. Sembrzycki et al. Wykorzystałem anegdotę aut. prof. Anny Szyfer.

ARTUR OLCHOWY – Bezczelny gówniarz z Warszawy, któremu się wydaje, że jest pisarzem. Współtwórca GOREktywu i emerytowany stołeczny konwentorob.

Prywatnie usłużny niewolnik świnek morskich – liczy na dobrą posadę w Nowym Porządku, gdy już przejmą władzę nad światem. Nie lubi pisać o sobie w trzeciej osobie.

SPELL – Rysownik komiksowy z Gdańska.

Zrobił *Ostatni Przystanek* oraz *Przygody Stasia i Złej Nogi*. Poza tym umie stać na rękach. Lubi naleśniki.

# Smoki polskie, jakich nie znacie

Beata Mróz

Jak Polska długa i szeroka, każdy z nas słyszał legendę Smoka Wawelskiego w tej czy innej wersji. Jednak najbardziej znana bestia Krakowa nie jest jedynym skrzydlatym gadem, jaki swego czasu panoszył się po naszym kraju. Wbrew pozorom było ich znacznie więcej. Wśród licznych legend, istniejących wszędzie tam, gdzie pojawiają się ludzie, przy odrobinie pracy i zaangażowania jesteście w stanie odnaleźć takie, które opowiadają tylko o smokach. Co ciekawe, stworzenia te nie zawsze są przedstawiane w roli antagonistów, jak w przypadku łuskowatego Krakusa, ani też nie giną w specyficznie widowiskowy sposób. Poniżej znajduje się mój subiektywny przegląd najciekawszych legend o smokach polskich, które w pewien sposób wyróżniają się swoją fabułą.

Jedną z moich ulubionych opowieści, jako że sama pochodzi ze świętokrzyskiego, jest ta dotycząca powstania miasta Staszowa. W czasach, kiedy ziemia nad rzeką Czarną była jeszcze nieskalana ludzką obecnością, dzielny wódz Staszko prowadził swoich ludzi w poszukiwaniu dobrego miejsca na osadę albo i na gród warowny, jeśli bogowie by sprzyjali. Skąd przybyli? Nie wiadomo, ale gdy dostrzegli urokliwe, białe skały nad wcześniej wspomnianą rzeczułką, postanowili tam pozostać. Pech chciał, że w jednej z okolicznych jaskiń mieszkał smok Strachota – bestia olbrzymia, o ciężkiej i niezwykle potężnej, której wizja łatwego łupu – w postaci wszelkiej trzody prowadzonej przez

ludzi Staszka – bardzo przypadła do gustu. I tak nocami biednym osadnikom zaczęły ginąć zwierzęta, co, jak się można domyśleć, nie spodobało się ich przywódcy. Zaczął się więc po zmroku ze swoimi wojami i dopadł smoka w jego jaskini. Przy czym drużyna poradziła sobie z bestią w dość szczególny sposób, gdyż po prostu jej członkowie zasypali potwora gradem skał w jego własnym leżu. Nie przyczynili się tym samym do jego śmierci, ale za to dość skutecznie go unieruchomili. Kiedy niebezpieczeństwo smoczego ataku zostało zażegnane, Staszko mógł rozpocząć budowę osady, na jego cześć nazwanej Staszowem, a sam Strachota ponoć zmienił dietę na bardziej siarkową i tylko silne wstrząsy, które raz na jakiś czas nawiedzały to miejsce, przypominały, że smok wciąż żyje.



Kamienica Johna, Warszawa, fot. Panek

Innego smoka, również określanego mianem Strachoty można było spotkać nad Odrą, w okolicach Wrocławia. Bestia ta była tak potężna, że ponoć jednym kłapnięciem szczęk potrafiła rozprawić się z rycerzem zakutym w stalową zbroję. Dlatego też po pewnym czasie śmiazków pragnących stawić jej czoła zaczęło ubywać. Któregoś dnia jednak pojawił się młodzieniec imieniem Konrad i chciał ruszyć na potwora tak jak stał – skromnie ubrany, uzbrojony jedynie w miecz. Ludzie próbowali odwieść go od tego czynu, ponieważ szkoda im było chłopaka, który całe życie miał jeszcze przed sobą. Młodzian jednak był uparty i odważny (albo głupi), więc nie porzucił swego zamiaru. Do końca nie wiadomo, czy Konrad był aż tak cnotliwy, bohaterski czy w jakiś inny sposób wyjątkowy, czy może po prostu urodził się pod szczęśliwą gwiazdą, ale w drodze do smoczego leża udało mu się natrafić na magiczną studnię, której wody dodawały sił każdemu, kto się ich napił. Tak pocrzepiony i z niezwykłym poczuciem mocy, natarł w końcu na smoka. Strachota z początku myślał, że Konrad będzie kolejnym łatwym przeciwnikiem, jednak w bardzo bolesny sposób odkrył, iż młodziana nie należy lekceważyć. Obaj stoczyli niezwykle ciężki i wyczerpujący – przynajmniej dla smoka – bój. Jednak kiedy gad spostrzegł, że nie może pokonać chłopaka, a sam otrzymuje liczne rany, szybko wykonał manewr taktycznego odwrotu, tym samym ocalając swe życie. Nie na długo jednak, ponieważ zgryzota, która dopadła go w związku z przegraną, sprawiła, że w sposób dość niekontrolowany zaczął pożerać najróżniejsze grzyby, jakie tylko napotkał na swej drodze. Tak więc prócz zwykłych prawdziwków, rydzów czy kurek, w jego paszczy lądowały muchomory, psiaki i szatany, które dość mocno wpływały na percepcję. Tak otumaniony, zataczając się, szedł przez las i nie spostrzegł, kiedy zabłądził na bagna, które unieruchomiły i w końcu pochłonęły jego wielkie cielsko.

Skoro już mowa o Wrocławiu, należy też wspomnieć o innej szczególnej legendzie, wyjątkowej głównie przez swój mocno propagandowy charakter. Ponoć w jednej z miejskich kamienic, należących do wyznawców reformacji Lutra (co ma bardzo duże znaczenie w tej opowieści), zagnieździł się właśnie smok. Bestia może i dziewic nie zjadała, i bydła nie porywała, ale tak nastraszyła biednych protestantów kłapaniem zębiskami i zianiem ogniem, że ci nie mogli zdzierżyć takiego sąsiedztwa. Wiedząc, że Kościół katolicki nie ma sobie równych w walce ze wszelkim plugastwem, udali się z prośbą o pomoc do znajomego ze Szwabii, biegłego w naukach wiary rzymskokatolickiej. Mężczyzna, słysząc o smoku, uzbroił się dość szczególnie: zabrał ze sobą Najświętszy Sakrament, cudowne relikwie oraz obraz świętego Ignacego Loyoli. Na szczęście starczyło mu też przytomności, by wziąć miecz (wiara wiarą, ale na smoka lepiej bez czegoś ostrego nie chodzić), i tak przygotowany ruszył na siejącą postrach bestię (zaznaczmy, że tak „wielką”, iż bez problemu mieściła się w zwykłej kamienicy). Po przybyciu „egzorcysty”, monstrum oczywiście rzuciło się na Szwaba z kłami i pazurami, ale ten zasłonił się tylko świętymi przedmiotami i rozpoczął żarliwe modlitwy. Kiedy gad pod naporem Słowa Bożego zaczął się cofać, mężczyzna z imieniem Boga na ustach rzucił się na niego z mieczem. Ten zaś momentalnie wyparował, zmieniając się w półprzezroczyste widmo umęczonej duszy proszącej o modlitwę. Szwab więc modlił się tak długo, dopóki zjawa zbawienia nie doznała, a protestanci, widząc potęgę wiary katolickiej, dość szybko zmienili wyznanie.

Podobnie jednoznacznie historię prezentuje legenda o dole zwanym Smoczydłem, znajdującym się u stóp wzgórz we wsi Wójcza w powiecie stopnickim (woj. świętokrzyskie ☺). Głęboki na kilka sążni dół o średnicy około dwudziestu stóp raz na jakiś czas wypełniała cuchnąca woda i błocko, co stało się dla



Smok torunski, fot. Grzegorz Nadolski

tamtejszych mieszkańców natchnieniem do stworzenia kolejnej legendy. Otóż w czasie, gdy budowano kościoły w Biechowie i Świniarach, na tamtejszych łąkach doszło do strasznej potyczki pomiędzy królewskim lwem a przerażającym potworem z północy – siedmiogłowym smokiem. Niestety, król wszystkich zwierząt pojedynek ten zaczął sromotnie przegrywać, dlatego też w chwili największej trwogi zawołał na pomoc cieśli wracających z budowy wspomnianych kościołów. Mężczyźni nic tylko przeżegnali się znakiem krzyża świętego i chwycili w dłonie siekiery uświęcone przy tworzeniu Boskich przybytków, dzięki wierze i wytrwałości rozrąbując smoka. Jego olbrzymie cielsko runęło z taką siłą, że ziemia dookoła zatrzęsała się i zapadła, formując dół, w którym zniknął potwór, dodatkowo zasypany gruzami. Po tym zwycięstwie lew wydał z siebie ryk tryumfu i wielce podziękował cieślom, zdradzając im, że w przypadku wygranej smoka budowane przez nich kościoły nigdy by nie powstały, a biedny lud, pozbawiony Bożej opieki, nie miałby gdzie chrzczyć dzieci i jak grzebać swoich zmarłych.

Polakom nieraz przyszło mierzyć się ze smokami dużo potężniejszymi niż wspomniany wcześniej wrocławski Strachota. Bo czymże jest jeden nienasycony smok w porównaniu do bestii o dwunastu głowach, która swego czasu miała pustoszyć cały obszar Pomorza. Stwór ten tak długo grasował po naszym wybrzeżu, dopóki

zmorzeni głodem chłopci nie stanęli przed wyborem pomiędzy długą i bolesną śmiercią głodową a zakończeniem żywota w paszczy bestii. W sumie więc nie ma się co dziwić, iż ostatecznie zdecydowali się na dość radykalne środki i nie licząc się z niczym, podpalili lasy w okolicy leża potwora. Pożar rozszalał się od tego przegromny, a smok, starając się ukryć przed pożogą, wpadł do Wąwozu Chłapowskiego. Niestety, wiatr zaniósł iskry również i tam, a bezpieczne schronienie okazało się ostatecznie śmiertelną pułapką dla bestii, która spłonęła, wydając ze wszystkich swoich dwunastu gardeł potworny ryk agonii. Krew, która wówczas spłynęła jarem, tak mocno wsiąkła w ziemię, że do tej pory gleba ma tam intensywnie rdzawy kolor.

Jak widać, na smoka każdy sposób dobry. Oprócz tradycyjnego miecza sprawdzają się magiczne napoje, święte obrazy, wypchane barany, poświęcone siekiery (co ma większy sens, niż mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać) czy chociażby mokre sieci, jak było to w przypadku bestii nawiedzającej Pojezierze Iławskie. Na Wielkiej Żuławie znajdowało się wzgórze nazywane Scholtenbergiem, którego zbocza pełne były przepastnych jaskiń. Jedną z nich na swą siedzibę wybrał smok właśnie, charakteryzujący się olbrzymią posturą i płonącymi czerwienią oczami. Jego ulubionym terenem polowań była przestrzeń nad wodami Jezioraka, a zdobyczą – tamtejsi rybacy. Ci, zdjęci obawą o własne życie

i przepełnieni grozą koszmarów, w których ciągle pojawiały się owe pływające oczy, zaniechali połowów. Jak można się łatwo domyśleć, takie rozwiązanie sprawdzało się tylko na krótką metę, ponieważ, podobnie jak w przypadku mieszkańców Pomorza, wkrótce rybakom zaczął doskwierać głód. Wówczas to najodważniejszy z nich upłócił najlepszą sieć, jaką tylko potrafił, i wyruszył na połów, z tą różnicą, że jego celem nie byli spokojni mieszkańcy jeziora. Pełniąc więc równocześnie funkcję przynęty i łowcy, wyglądał, aż od strony Scholtenbergu zamigoczą mu czerwone ślepia bestii. Smok oczywiście nie kazał na siebie czekać zbyt długo i wkrótce wyleciał ze swojego leża. Gdy tylko znalazł się nad rybakiem, ten jednym wprawnym ruchem zarzucił na niego sieć, która skrępowała mu skrzydła. Bestia próbowała się jeszcze wyrwać, ale mokre sploty nie chciały się palić pod wpływem jej oddechu, a zuchwalec, który ją stworzył, za nic nie chciał puścić. W końcu umęczony stwór runął w ton jeziora, a dzielny rybak resztkami sił doholował truchło gada do brzegu, gdzie zostało ono wysuszone i spalone, a popiół rozsypano na cztery strony świata.



Patrząc na powyższe historie, można odnieść wrażenie, że polskie legendy o smokach odnoszą się tylko do ich bestialstwa i bohaterstwa ludzi, którzy ośmielili się z nimi mierzyć, tudzież do specyficznych sposobów zabijania tych mitycznych bestii. Jednak, jak już wspominałam we wstępie, nie każdy polski smok musiał być zaraz drapieżny czy krwiożerczy. Dobrym przykładem istoty o odmiennej naturze może być tutaj Krak zamieszkujący lasy nad rzeką Kamienną w Karkonoszach. Smok ten był równie ogromny, co jego pobratymcy, ale żywił się głównie rybami. Jedynym jego problemem był cuchnący oddech, który sprawiał, że okoliczne rośliny więdły, a zwierzęta dusiły się w konwulsjach. Tym samym był on dla ludzi niemal niegroźny, o ile dostatecznie wcześniej zeszło się mu z drogi, nie wchodząc tym samym w zasięg zabójczego smrodu. Pech chciał, że któregoś pięknego dnia trasę jego zwyczajowych spacerów miała przeciąć dziewczyna, na którą wołano Śklarka, jako że była córką tamtejszego szklarza. Dziewcznę zbłądziło w lesie podczas pogoni za sarenką i bez wątplenia wpadłoby w duszący odór oddechu Kraka, gdyby nie zakochany w niej Duch Gór. Ten, widząc nieuchronną zgubę niewiasty, postanowił zgładzić smoka, rzucając w niego olbrzymim kamieniem. Niestety, wycelował na tyle niefortunnie, że trafił głazem w koryto rzeki, która momentalnie się zarwała, tworząc tym samym nowy wodospad. Bestii nic się nie stało, ale nieszczęsna Śklarka zachwiała się pod wpływem wstrząsu i wpadła prosto w kipiel, w ten sposób kończąc swój żywot.

Innym przykładem smoka, któremu tym razem przypisano ewidentnie pozytywną rolę może być ten z podania *O smoczysku pod zamkiem baranowskim*. O dziwo, wystąpił tam jako strażnik sprawiedliwości ludowej, karzący bogaczy żyjących rozpustnie i wykorzystujących biednych chłopów. Niejaki Antek Ciołak – pastuch koni – pewnej nocy był świadkiem dość



niezwykłego wydarzenia. Wracając z pastwiska, ujrzał w oknach pałacu baranowskiego ucztę obfitującą w hulanki i swawole. Jako że było to na przednówku, w okolicy Zielonych Świątek, miejscowi chłopci cierpieli straszną biedę – zimowe zapasy już się skończyły, a nowych plonów jeszcze nie zebrano. Trudno więc się dziwić zgryzocie Antka, widzącego rozpustę panów. Jednak gdy tylko zegar na zamkowej wieży wybił północ, z lochów zamku wypełzło ogromne smoczyko. Stwór miał dziesięć łokci długości i dwadzieścia szerokości, a do tego płonące niczym „łuczyna smolne” oczy i zwiśający z pyska jęzor rozpalony niczym żelazo. Kiedy bestia wydostała się już na zewnątrz, rozejrzała się tylko i zaczęła rosnać, i nie przestała, dopóki zamku nie przerosła. Potem tylko buchnęła siarką z pyska, pozostawiając w miejscu budowli jedynie kupkę popiołów.

Nieco inny, ponieważ dość baśniowy charakter, prezentuje legenda o smoku ze Słęzy. Jej bohaterem jest enigmatyczny młodzian, który urodził się o określonej godzinie określonego dnia określonego roku, a do tego serce miał czyste i duszę prawą. Znalazł się także we właściwym miejscu o właściwej porze, bo tam

właśnie czekała na niego piękna dziewczyna. Urodziwa niewiasta siedziała na omszałym kamieniu i zalewała się gorzkimi łzami, lecz gdy tylko ujrzała wspomnianego wcześniej młodzieńca, zaraz się rozpogodziła. Szybko nazwała go swoim wybawcą i opowiedziała mu swą nieszczęśliwą historię. Otóż od stuleci miała być więźniem okrutnych czarów potężnego czarnoksiężnika, trzymających ją w tym konkretnym miejscu. Jednak jako że nasz bohater miał spełniać wszystkie niezbędne warunki klątwy, mógł ją w końcu ocalić, a co za tym idzie – stać się jej mężem oraz panem i władcą magicznego zamczyska stojącego na szklanej górze. Był tylko jeszcze jeden warunek, który należało spełnić. Otóż niewiasta miała się mu ukazywać pod różnymi, strasznymi postaciami. Jeśliby się nie uląkł, wówczas zjawiłaby się jako żmija z pękiem kluczy przyczepionym do ogona. Dopiero wtedy czar zostałby przełamany, a on zyskałby w zamian niewyobrażalne bogactwo i kobietę, która już zawsze by go uszczęśliwiła. Zafascynowany urodą niewiasty (oraz bez wątplenia skuszony ofertą władania szklaną górą) przystał na propozycję dziewczyny i zjawił się we skazanym miejscu

już następnego ranka. Jednak gdy tylko słońce zajaśniało na wschodzie, zza góry wyskoczył na niego przerażający smok, ziejąc ogniem z paszczy. Przerażony wędrowiec oczywiście cofnął się na widok bestii i rzucił do ucieczki, a ona tymczasem zapłakała i przemówiła głosem spętanej zakłębionej dziewczyny, rozżalonej z powodu nieudanej próby zdjęcia kławy. Ale młodzian nie słyszał jej utyskiwań, ponieważ był już daleko w drodze do swej ojczyzny. A dziewczyna ponoć po dziś dzień czeka na tym samym kamieniu na bohatera, który tym razem sprosta próbie.

Jednak na tle wszystkich wspomnianych przeze mnie smoków, najbardziej wyróżnia się gad z Torunia, a to dlatego, że jego przypadek został opisany rzeczowym protokołem zawierającym zeznania świadków i rysopis samej bestii. Otóż dnia 13 czerwca 1746 roku, około czwartej nad ranem Johann Georg Hieronim miał dostrzec smoka, a przynajmniej istotę niezmiernie go przypominającą. Bestia, mierząca blisko dwa metry, określona przez niego w zeznaniach mianem „latającego węża”, nadleciała od strony ruin zamku krzyżackiego, a następnie spokojnym lotem zmierzła w kierunku Baszty Prochowej, po czym gwałtownie wzbila się w powietrze, usiadła na murze i zniknęła Johannowi z oczu. Można by to uznać za zwidy, wynikające z nadmiernego spożycia alkoholu, gdyby nie fakt, że identyczną bestię (czarny korpus, jasnobrązowe stopy) widziała tego dnia Katharina Strochin. Smok śmignął jej dosłownie przed nosem, gdy rannikiem wyglądała przez okno, leciał od strony Bramy Kotlarskiej, znajdującej się u wylotu dzisiejszej ulicy Szerokiej na wysokości ulicy Przedzamcze. Przerażona kobieta nie wyszła sprawdzić, w którą też stronę udało się stworzenie, jednak w trakcie przesłuchania przypominała sobie jeszcze jedno, podobne wydarzenie sprzed trzydziestu lat. Widziała wówczas niemal identyczną istotę, tyle że w ogrodzie

należącym wówczas do ówczesnego burmistrza Torunia, Kazimierza Leona Schwerdtmanna. Bestyjka biegła sobie po ziemi, po czym schowała się w znajdującym się tam bajorze. Zeznania obojga spisano w specjalnym protokole i choć zdarzenia te były nietypowe, to jednak świadków uznano za wiarygodnych. Johann był mistrzem cechowym, Katarzyna natomiast szanowaną żoną żołnierza. Niestety, sam protokół z tego „wypadku” nie zachował się do naszych czasów. Pozostał po nim jedynie przedruk w XIX-wiecznym czasopiśmie niemieckim, który ukazał się dzięki kwidzyńskiemu pastorowi von Flansowi. Niemniej jednak ta fantastyczna historia dała Toruniowi własnego smoka, który zyskał nawet swój pomnik.

Już kilka tych przykładów poszerza naszą wiedzę o legendarnych polskich smokach, ale uwierzcie mi, że to jeszcze nie wszystko. Podobnych historii jest więcej, choć przez gros przewija się motyw „złego smoka” i „dzielnego bohatera”, który sprytem zwyciężył bestię, co tak naprawdę można odnieść do motywu z Księgi Daniela. Opisana w niej historia opowiada o proroku, który zabił olbrzymiego węża przy pomocy kołczanu wypełnionego smołą i sadłem oraz obszytego sierścią. Już po tym wstępie widać elementy wspólne z historią naszej krakowskiej bestyi. Jednak nie zmienia to faktu, że naprawdę warto znać nasze polskie smocze legendy, żeby chociaż wiedzieć, iż mieszkaniec jamy pod Wawelem nie był jedynym gadem, którym możemy się pochwalić.

BEATA MRÓZ – Recenzentka i felietonistka współpracująca z portalami takimi jak „Gavran”, „Szortal” czy „Gildia”. Obsesyjna czytatka i kolekcjonerka książek, a przy tym wielka miłośniczka smoków. Jedyna odpowiedzialna za teksty z bloga „Powiało Chłodem”. Kobieta orkiestra, w wolnych chwilach organizująca Jagacon 2017.

# Wtorki z Molakeszem Niszczycielem

Megan Grey

Przełożyła: Katarzyna „Ophelia” Koćma

W wakacje, gdy skończyłam piętnaście lat, do domu obok wprowadził się Molakesz Niszczyciel. Jak można się było spodziewać, towarzyszyły temu plotki. Mama i jej przyjaciółki zamartwiały się, jak obecność demona na naszej ulicy wpłynie na ceny nieruchomości, a jedna dewotka obwiesiła swój dom krzyżami. Po kilku miesiącach wszyscy jednak dali sobie spokój. Może i zwano go Niszczycielem, ale dbał o ogród, a śmieci wynosił nocami, więc Rada Dzielnicy zajęła się sprawami innych mieszkańców.

Jeśli o mnie chodzi, nie przejmowałam się specjalnie, kto mieszka za ogrodzeniem i właściwie zapomniałam o istnieniu demona. Aż do zimy, a dokładniej dwóch dni po pierwszej śnieżnej zamieci.

– Powinnaś odśnieżyć podjazd Molakesza – oznajmiła mama, wyglądając przez żaluzje kuchennego okna.

– Co?! – Spojrzałam znad telefonu.

– Śnieg zalega tam na dobre pół metra.

– Mamo, on jest demonem.

Mama odwróciła się od okna i otworzyła lodówkę. Przedarła się przez szeleszczące opakowania z zakupami i wyciągnęła z nich dwie duże papryki.

– Tak, ale jest stary i sam nie da sobie rady z podjazdem. Na pewno nie ma zimowych opon.

– Serio? Właśnie wróciłam ze szkoły i chcesz, żebym poszła do domu demona, żeby...

– To się nazywa pomoc, Saro Jean. – Położyła papryki na drewnianej desce do krojenia. Podsmąży je z cebulą – tylko tak je przyrządzała. Smakowały paskudnie, ale w kwestii posiłków moje zdanie nigdy nie było brane pod uwagę.

– To się nazywa wariactwo.

Mama uniosła brwi, zastygając z nożem nad papryką. Wiedziałam, co teraz nastąpi.

– Albo pomożesz naszemu sąsiadowi odśnieżyć podjazd, albo spędzisz wieczór na pisaniu eseju pod tytułem: „Dziesięć powodów, dla których powinno się pomagać innym”.

-Dobra – westchnęłam. – Odsnieżę ten głupi podjazd.

Mama uśmiechnęła się i zaczęła kroić papryki.

-Wiedziałam, że pójdziesz po rozum do głowy.

Opatuliłam się grubym płaszczem, włożyłam rękawiczki i kozaki – wciąż mokre po drodze powrotnej ze szkoły. Mama nawet nie zauważyła mojego tęsknego spojrzenia, gdy – ciężko tupiąc – wychodziłam z domu.

Wzięłam szuflę do śniegu i powlokłam się przez podwórko w stronę podjazdu Molakesza, cały czas układając w głowie esej na temat „Dzieśięć powodów, dla których rodzice są do bani”.

Zatrzymałam się przed oknem frontowym. Stale obecne, ciemnozielone zasłony wisiały całkowicie nieruchomo, ale mogłabym przysiąc, że kątem oka zauważyłam ich ruch.

Śnieg na podjeździe był nieskazitelnie biały i syпки, bez ani jednego śladu kół. Nie wiedziałam, czy mama miała rację z tymi zimowymi oponami, ale skoro demon mógł – jak wszyscy – robić zakupy w spożywczym u Hala, nie widziałam powodu, dla którego nie mógłby wybrać się do warsztatu samochodowego. Było jednak oczywiste, że od czasu zamieci nie opuszczał domu.

Szufla drapała o beton, gdy zwałałam śnieg na dużą kupę obok podjazdu. Zdążyłam uporać się z jakąś jedną czwartą roboty, gdy drzwi się otworzyły i Molakesz wystawił swoją pokrytą rogami głowę.

-Co ty wyprawiasz? – zapytał stanowczo.

Ledwie udawało mi się na niego nie gapić. Widziałam go już wcześniej kilka razy na mieście, ale do jego wyglądu raczej nie można było się przyzwyczaić. Twarz miał tak pełną zmarszczek i plam, jak mój osiemdziesięciosiedmioletni dziadek. Do tego równie długie, stalowoszare brwi. Na tym jednak podobieństwo się kończyło. Mniej więcej piętnastocentymetrowe, kręcone rogi wyrastały z ospowatej głowy, upstrzonej rzadkimi, białymi kosmykami. Duże, czerwone

oczy płonęły w głębokich oczodołach pogardą, a obwisłe usta znajdowały się niżej, niż to możliwe u jakiegokolwiek człowieka – co sprawiało, że szczeka wyglądała, jakby miała złamać się przy najlżejszym podmuchu wiatru.

-No? Odpowiadaj!

-Ja... eee... odsnieżam.

Czerwone oczy nawet nie mrugnęły.

- Dla pana. Podjazd – mówiłam teraz wolniej. Nie słyszałam, żeby ów potwór z piekła rodem był kretynem.

Wyszedł za próg. Miał na sobie brązowe spodnie od garnituru, jakie noszą starsi panowie – „gatki”, jak nazywał je dziadek – i wytarty, granatowy sweter z przykrótkimi na jego szpony rękawami. Owe szpony nachodziły na siebie, gdy Molakesz wykonywał coś na kształt zaciskania pięści.

-Myślisz, że nie mam już mocy? Myślisz, że Molakesz Niszczyciel nie potrafi roztopić śniegu na własnym podjeździe? Myślisz, że nie mogę spuścić ognia na całe to nędzne miasto?

Spojrzałam na pokryte śniegiem domy, na zwisające z każdego parapetu grube sople lodu i rozjeżdżone przez samochody kupki brei. Jakiś wątpiłam, żeby sam Szatan mógł doszczętnie spalić Winslow w Minnesocie.

-Nieważne – odparłam i ruszyłam w stronę domu. Perspektywa eseju zaczynała wyglądać coraz lepiej.

Czerwone oczy podążyły za mną w ciszy, gdy obchodziłam usypane przez siebie zaspy. Już prawie przeszłam na nasze podwórko, gdy Molakesz ponownie się odezwał.

-Czekaj! Stój!

Westchnęłam. Oddech zaparował przede mną.

-No co? Chciałam po prostu pomóc. Wie pan, sąsiedzka przysługa.

Molakesz wciąż się gapił. Nagle rzekł:

-Sądzę, że wy, ludzie, częstujecie w takie mroźne dni swoje sługi kubkiem gorącej czekolady.

– Powiedziałaś „przysługa”. To nie znaczy, że jestem pana służącą.

Z gardła Molakesza dobył się warkot przypominający odgłos szkolnego autobusu o poranku.

– Służyłaś mi, więc zrobię ci gorącą czekoladę. Chodź tu.

Spojrzałam w stronę domu. Mamy nie było widać przez żaluzje. Czy bardziej się wkurzy, jeśli wejdę do domu demona, czy jeśli odmówię jego poczęstunku w postaci gorącej czekolady? Tak czy inaczej, może być zła. Teraz, gdy od zrobienia prawa jazdy dzieliło mnie jedynie kilka miesięcy, mama miała w zanadru groźbę o wiele poważniejszą od eseju, by pokazać, kto tu rządzi.

– Dobra – odpowiedziałam po chwili. – Ale na pana ganku, nie w domu. Nie wiem, co pan tam robi, ale nie zamierzam zostać pana nieletnią kochanką, złożoną w ofierze dziewicą, czy coś. Nawet nie jestem dziewicą. – To było kłamstwo, ale uznałam, że nie zaszkodzi.

Zamrugnął i wszedł do domu, zatraskując za sobą drzwi. Śnieg chrzęścił mi pod stopami, gdy przechodziłam z powrotem na taras demona. Czekałam kilka minut, strzepując śnieg z butów i zastanawiając się, czy szczególnie złowrogo wyglądający sople może stać się wystarczającą bronią przeciw demonom.

Drzwi otworzyły się i wychynął z nich Molakesz, trzymający w szponach dwa parujące, zupełnie niepasujące do siebie kubki: na jednym widniało logo Uniwersytetu Minnesoty, na drugim kanarek Tweety. Dostałam ten drugi.

Powąchałam, jednocześnie bacznie obserwując demona znad brzegu kubka, wypatrując gwałtownych ruchów. Napój wyglądał i pachniał jak gorąca czekolada. Na powierzchni unosiła się samotna cukrowa pianka.

– Ze sklepu Hala – rzucił Molakesz.

Spróbowałam. Nie kłamał.

– Um... Dzięki.

Molakesz nie pił swojej.

– I tak nie nadałabyś się na ofiarę.

Zmarszczyłam brwi.

– Czemu nie?

Wskazał szponem na moją twarz.

– Masz skazę. Wolę, gdy moje ofiary są nieskazitelne.

– To znamię – prychnęłam. Na temat ciemnej plamy, ciągnącej się od lewej kości policzkowej do kącika ust, wystarczały mi docinki ludzi ze szkoły. Nie miałam zamiaru wysłuchiwać ich jeszcze od jakiegoś starożytnego demona.

– Miałem na myśli twój trądzik.

– Och. – Poprawiło mi to nieco humor, choć chyba nie o to Molakeszowi chodziło.

– Nie lubisz swojego znamienia?

– Mnie nie przeszkadza. Tylko niektórym w szkole.

– Coś o nim mówią?

Wlepiłam wzrok w czekoladę. Osamotniona pianka dryfowała na powierzchni.

– Nazywają mnie Łajnoryjem.

Molakesz wydał z siebie dziwny dźwięk, który, jak sobie uświadomiłam, był chichotem. Następnie przeszedł w kaszel i demon pochylił się nad drewnianą poręczą werandy, niemal wypływając płuca. Prawie dosłownie. Z ust wyleciało mu coś różowego i obrzydliwego. Wylądowało na śniegu.

– Dobrze się pan czuje? – Już nawet mniejśza o myśli na temat wykorzystywania sopli w charakterze broni, ale mama z pewnością nie pozwoliłaby mi zrobić prawka, gdyby Molakesz umarł z powodu mojego nieobycia w zakresie konwersacji.

– Tak, tak – wyrzęził.

Swój do połowy opróżniony kubek odłożył na poręcz.

– Nie mam już tyle mocy i wigoru, co kiedyś, ale śmiech z czyjegós pecha to za mało, żeby mnie wykończyć.

Miałam co do tego wątpliwości. Najpierw przechwalał się, jak to niby doszczętnie spaliłby całe miasto, a teraz wyglądał krucho jak



mój dziadek, o którym mama mówiła, że nie doczeka wakacji.

A mimo to zawsze doczekał.

– Uważa pan, że to śmieszne? – spytałam.

– Najbardziej bawi mnie oczywisty brak wyobraźni dzisiejszej młodzieży. Ja szydziłbym z ciebie w tak podły, plugawy sposób, że własnoręcznie wydrapałabyś to znamię. – Wyglądał, jakby za czymś tęsknił. – Ale to było dawno temu.

Próbowałam sobie wyobrazić, co mogłoby w kimkolwiek wywołać taką reakcję. Sądziłam, że „Łajnoryj” to nic takiego w porównaniu z tym, co mógłby wymyślić demon.

– Może mógłby pan użyć tej pana wyobraźni na Katelyn Sams. – Ona była najgorsza. Nie miałabym nic przeciwko oskalpowaniu tej jej ślicznej blond główki. Obwisłe wargi demona uformowały się w szyderyczy uśmiech.

– Nie spełniam prósb. Zwłaszcza nastolatków. – Jego ostatnie słowo zabrzmiało jak obelga znacznie gorsza od „Łajnoryja”.

– Przecież nie mówiłam poważnie – odburknęłam. – Chce pan, żebym skończyła ten podjazd czy nie?

Molakesz przyglądał mi się przez chwilę, po czym lekceważąco machnął szponem.

– Jeśli musisz... – Zabrał oba kubki prawie nietkniętej czekolady i wszedł do środka, trzaskając za sobą drzwiami.

Wzięłam szufłę i wróciłam na podjazd, odśnieżając tylko tyle, ile było konieczne, by stary, zardzewiały cadillac mógł wyjechać na ulicę. Gdy pracowałam, zauważyłam, że zasłony znów się poruszyły. Nim wróciłam do domu, pokazałam w ich stronę faka.

\*\*\*

W weekend nad miastem przeszła kolejna zamieć, a we wtorek znów stałam przed domem Molakesza z szufłą do śniegu, przeklinając lodowaty wiatr, gorliwą „uczynność” mamy, no i Katelyn Sams, tak na wszelki wypadek.

Tym razem Molakesz stał na werandzie

i patrzył, jak pracuję. Trzymał w dłoni kubek z herbem Uniwersytetu Minnesoty, a ten z narkiem stał na poręczy, parując pod wpływem powiewów wiatru.

Skończyłam i oparłam szufłę o oblodzone schody tarasu.

– Myślałam, że mówił pan coś o mocach, deszczu ognia i takich tam. Więc dlaczego, do cholery, sam nie zrobi pan porządku z tym podjazdem? – Mama by mnie zabiła, gdyby usłyszała, że zwracam się tak do dorosłego, nawet demona, ale facet sam nie był modelowym przykładem uprzejmości.

– Wątpisz w moje moce?

Wypiłam czekoladę za szybko, parząc sobie przy tym język, ale po gardle rozeszło mi się przyjemne ciepło.

– Tak jakby.

Wpatrywał się w biel dookoła. Wiatr znów nawiał śnieg w miejsce, które już odśnieżyłam, ale prędzej napisałabym dziesięć esejów, niż zamiotła jego podjazd po raz drugi tego samego dnia.

Wtedy Molakesz uniósł prawą rękę o ostrych szponach, które wyglądały jak palce wykrzywione w drugą stronę. Kilka centymetrów nad nimi ukazała się kula ognia. Oczy Molakesza rozblęsnęły barwą równie pomarańczową, jak sam ogień, może same z siebie, a może odbijały jego światło, trudno powiedzieć. Nawet rogi demona wydawały się ostrzejsze i bardziej złowrogie. Cofnęłam się o krok z szeroko otwartymi oczami, gdy Molakesz grzmotnął ogniem ruchem tak płynnym i wyćwiczonym, jakby był zawodowym bejsbolistą. Ogródek przecięła smuga płomieni i kula ognia uderzyła w ziemię. Gdy ogień dogasł, pozostawił po sobie głęboki rów wypalanej ziemi i szerniałą trawę.

– Wow – wydusiłam. – To było...

Molakesz znów się rozkaszała, tym razem jeszcze gorzej. Jego ciało o długich kończynach, które jeszcze pół minuty temu wydawało się nienaturalnie duże i silne, teraz jakby

zapadło się do wewnątrz. Demon opadł na kolana. Instynktownie sięgnęłam jego ramienia, próbując go podtrzymać, ale mnie odepchnął. Gorąca czekolada wylała się z kubka i wsiąknęła w śnieg na werandzie.

– Odejdź ode mnie – warknął. Kolejna obrzydliwa, różowa flegma wydobyła mu się z ust.

– Dobra. – Postawiłam kubek na tarasie i wzięłam szufłę.

Molakesz podciągnął się i oparł na balustradzie, jakby tylko ona była w stanie go podtrzymać. Spojrzał na ślad po wypalonym śniegu. Ogólnie rzecz ujmując, nie szło mi najlepiej interpretowanie wyrazu twarzy ludzi, a co dopiero mówić o demonach, ale sąsiad wydawał się zmęczony. Nie tylko w sensie fizycznym.

– Ale to było całkiem spoko! – zawołałam już z własnego ganka, z urękawiczoną dłonią na klawce.

Nie dał po sobie poznać, że mnie słyszał. Po prostu dalej się gapił.

\*\*\*

Minęły trzy ponure tygodnie. Śnieg na chodnikach i ulicach ubił się, aż wszystko zamieniło się w tafłę zdradliwego lodu. Z kolejnym opadem śniegu wróciła przyczepność. Minęłam dom Molakesza, spoglądając w jego kierunku tylko raz. Śnieg wypełniał teraz wyżłobiony przez ogień rów przy wejściu do ogródka.

Mama kazała mi znowu odśnieżyć podjazd Molakesza, ale wołałam napisać ten głupi esej. A potem popełniłam błąd, a mianowicie zajrzałam do internetu. Katelyn ze swoją świtą założyła mi fałszywy profil, gdzie zamieszczała pełne błędów posty o tym, jaka to jestem brzydka, dodając przerabiane Photoshopem zdjęcia, na których miałam na policzku parującą kupę. Zdaje się, że z połowa szkoły dołączyła do akcji, dodając jeden złośliwy komentarz za drugim. Miałam ochotę podrzeć mój bezsensowny esej na temat pomocy bliźnim. Zamiast tego zrobiłam sobie kubek gorącej

czekolady. W wyobraźni ciepło w mojej dłoni było kulą ognia.

Wyobraziłam sobie twarze ludzi ze szkoły, którzy nazywali mnie „Łajnoryjem” i którzy podkładali mi do szafki torby z psią kupą. Wyobraziłam sobie ich przerażenie na widok płonącej wokół nich szkoły.

\*\*\*

– Więc jest pan jakby na emeryturze, tak? Dlaczego przyjechał pan akurat tutaj? – Usiadłam ze skrzyżowanymi nogami tak wygodnie, jak tylko pozwalało na to wiklinowe krzesło, które Molakesz wyciągnął na werandę, gdy tylko zobaczył, że idę do szkoły.

Miałam się przez to spóźnić, ale przebywanie w towarzystwie przerażającego, starego demona było lepsze od lekcji niemieckiego. No a Frau Witner była tak ślepa, że pewnie nawet nie zauważyłaby mojej nieobecności. Krzesło skrzypnęło pod moim ciężarem, gdy zmieniłam pozycję.

Molakesz rzucił mi groźne spojrzenie.

– Dlaczego nie możesz usiąść jak normalny człowiek?

– Czyli jak? Tak jest normalnie. A dlaczego pan nie może odpowiedzieć na proste pytanie?

Odchylił się na swoim wiklinowym krześle. Sam niemalże z gracją krzyżował nogi na wysokości kostek. Jego rozszczerzone jak u kozła kopyta nie wydawały mi się już takie dziwne, ale, bez względu na wiek, naprawdę powinien dać sobie spokój z tymi obciachowymi, brązowymi spodniami.

– Nie wybrałem tego miejsca. Zostałem tu zesłany. To chyba miał być żart. Zawsze miał wyjątkowo wypaczone poczucie humoru. – Szpony Molakesza brzęknęły o ceramiczny kubek.

Nie zadałam sobie trudu, by zapytać, kim jest „on”. Jakiś demon wyższej rangi czy sam Szatan, bez różnicy.

– Żart?

– Jestem, a raczej byłem, demonem ognia. Pochodzącym z ognistych jam piekieł.

Narodziłem się w płomieniu, by teraz umrzeć... tutaj. – Wskazał gestem ponury, pokryty śniegiem krajobraz. Jego czerwone oczy tliły się niczym żar dogasający pod przykrywającą go stertą węgla.

– Winslow nie jest takie złe.

– I mówi to Łajnoryj.

Miał rację. Nienawidziłam tego miejsca. Wzruszyłam ramionami.

– Jeszcze tylko kilka lat, a potem będę mogła wyjechać do college'u. Może do Arizony. Albo na Florydę, gdzie mieszka mój tata.

– Ten, który wysłał ci kartki na urodziny i Boże Narodzenie, ale poza tym udaje, że nie istniejesz?

– Chwila, teraz już grzebie pan w naszej skrzynce?

Jego obwisłe wargi ułożyły się w uśmiech.

– Nie muszę. Byłem demonem przez wiele stuleci. Niepokoję okresu dojrzewania to dla nas – jak to mówicie wy, ludzie – chleb powszedni..

Upiłam łyk czekolady. Tym razem dodał do niej trochę cynamonu, przez co smakowała dziwnie. Nie chciałam jednak jeszcze iść do szkoły, więc siedziałam i piłam.

– A tak w ogóle, to co robią demony na emeryturze? Chyba musi pan mieć jakieś zajęcia poza robieniem mi gorącej czekolady? I wkurzaniem mnie?

– Niestety nie.

– Serio? Nie sieje pan nigdy, no... zamętu w ludzkich sercach? Może jakaś mała klątwa od czasu do czasu?

Znów wyobraziłam sobie Katelyn Sams, tym razem jak w trakcie treningu cheerleaderek opadają jej te perfekcyjnie wyskubane brwi. Albo może rozrastają się jak krzaki, skręcając się nad jej błękitnymi oczami w dwie tłuste gąsienice. Uśmiechnęłam się do swojej czekolady.

– Niech zgodnę. Chodzą ci po głowie jakieś konkretne osoby?

– Może – odpowiedziałam, starając się brzmieć naturalnie.

– Trudno. Sama będziesz musiała im się zrewanżować, choć pewnie wyjdzie to dość żałośnie. Nie mam już takich mocy, jak kiedyś. Potrafię już tylko to, co ci pokazałem. To ledwie odrobinę mojej uprzedniej siły. Jestem pustą skorupą, skazaną na rozpad. W *Minnesocie*. – Zakręcił kubkiem, aż czekolada zawrowała. Nie wypił dziś wiele. Chyba potrzebował czegoś o wiele mocniejszego niż gorąca czekolada od Hala.

– No nie wiem. Ta kula ognia była wypasiona.

Nie mam pojęcia, dlaczego chciałam pocieszyć Molakesza. Bądź co bądź był demonem. Niszczycielem. Kto wie, jakie okropieństwa wyczyniał w swoim niewątpliwie długim życiu? Nie mogłam jednak przestać myśleć o dziadku. Jak stał się cieniem człowieka, jak wpatrywał się tępo w wyświetlaną na starym, migoczącym telewizorze *Dobrą cenę*, a pielęgniarka wciskała mu do ust jakąś papkę.

– Chciałabyś taką? – Przestał wpatrywać się w trzymany w szponach kubek i odwrócił rogatą głowę. Czerwone oczy uważnie wpatrywały się teraz we mnie.

– Kulę ognia? Co, do diabła, miałabym zrobić z kulą ognia? – Usiłowałam stłumić piekielną satysfakcję, jaką dawało mi wyobrażenie sobie szkoły stojącej w ogniu, mojej umazanej głównym szafki obracającej się w popiół.

– Cokolwiek byś chciała. Zyskałabyś kontrolę nad mocą demonicznego ognia. Jesteś młoda, pełna wigoru. Stałabyś się potężniejsza niż ja za swoich najlepszych czasów. Ale musiałaby to być jednorazowa sprawa. W końcu jesteś człowiekiem. Więcej mocy mogłoby cię zabić.

Spojrzałam w miejsce, gdzie, przykryty śniegiem, znajdował się wypalony przez ogień rów. Wstałam nagle, a wiklinowy fotel znów zaskrzypiał, jakby zadowolony z pozbycia się mojego ciężaru.

– Spóźnię się do szkoły.  
– Miłego dnia, Łajnoryju.

Zacisnęłam pięści.

– Zresztą, dlaczego miałby mi pan dać coś takiego?

Wpatrywał się we mnie bez jednego mrugnięcia.

– Ponieważ nie mam nikogo innego, komu mógłbym coś dać.

Westchnęłam, przypatrując się wydechanej w lodowate powietrze mgiełce przesiąkniętego czekoladą oddechu.

– Ale skąd będę wiedziała, jak jej użyć?

– Będziesz wiedziała.

\*\*\*

Czułam, jak kula ognia Molakesza płonie mi głęboko w piersi. Było to ciepło graniczące z poczuciem dyskomfortu, chyba że byłam na zewnątrz – wtedy nie mogła się z nim równać żadna puchowa kurtka. Ogień płonął we mnie, gdy mijałam Katelyn i jej psiapsiółki ładujące się do swoich nowych aut, którymi wracały ze szkoły. Płonął we mnie, gdy zorientowałam się, że wraz ze swoją siostrą odcięły mi dno plecaka, przez co musiałam dźwigać wszystkie książki w rękach w drodze do domu. Płonął we mnie, gdy poślizgnęłam się i upadłam na lód, rozrzucając książki i notatki w śniegu.

Fantazjując, trzymałam ogień blisko serca.

Gdy skręcałam w kierunku domu, zauważyłam, że drzwi wejściowe Molakesza są otwarte. Wiatr poruszał je w tę i wewtę. Przewrócił też wiklinowe krzesła, które stały tam, gdzie przedwcześniej rozmawialiśmy.

– Molakesz? – zawołałam, wdrapując się po schodkach werandy. Pchnęłam drzwi ramieniem, trzymając w rękach stos mokrych książek. – Wszystko OK?

Nie było odpowiedzi.

Weszłam, zostawiając błoto na paskudnym, szarym, skołtunionym dywanie. Powietrze w środku było równie zimne, co na zewnątrz. Omiotłam wzrokiem lustro wiszące

nad prostym, drewnianym stołem przy wejściu. Moje zamię było bardziej czerwone niż zwykle, jakby się rozzłościło.

Położyłam książki na stoliku i weszłam do salonu. Jedynym meblem w pokoju był wytarty, połatany fotel, stojący naprzeciwko jednego z tych starodawnych, klockowatych telewizorów. Wszystko wyglądało podobnie, jak u mojego dziadka w domu opieki. Była tylko jedna różnica.

Molakesz posiadał świece we wszystkich kształtach i kolorach. Wszędzie. Żadna z nich się nie paliła, ale knoty były przepalone, a zastryżone kałuże wosku znaczyły dywan, obudowę telewizora i kuchenny stół. Może i Molakesz był demonem, ale podświadomie czułam, że świece nie służyły żadnemu satanistycznemu rytuałowi – miały stanowić przypomnienie. Była to żalosna próba czeznącego demona, aby otoczyć się płomieniami w zimowej scenarii północnej Minnesoty.

Na kuchence stał pusty garnek. Na blacie obok leżały dwie saszetki czekolady w proszku ze sklepu Hala – razem z naszymi kubkami. Umytymi i gotowymi.

Nie zamarzałam tylko dzięki tkwiącej w mojej piersi kuli ognia, która migotała niepewnie.

– Molakesz? – zawołałam ponownie, chociaż wiedziałam, że nie doczekam się odpowiedzi, jeszcze zanim znalazłam jego ciało: zimne, leżące bez ruchu w jednoosobowym łóżku na środku pustej sypialni. Pustej, rzecz jasna, za wyjątkiem tuzina niezapalonych, zdobionych ścianek świeczek. Jego otwarte oczy wpatrywały się w biały sufit. Dawna czerwień kompletnie zniknęła.

Molakesz powiedział, że podarowany przez niego prezent jest jednorazowy. Jeszcze raz wyobraziłam sobie chwilę, gdy Katelyn Sams wraz ze swoją siostrą wychodzi ze szkoły, a ich szyderczy śmiech przechodzi w krzyki, gdy z dłoni strzelają mi płomienie, które podpalają odpicowane, nowe auto na parkingu. Myślałam o nich,

jak uciekały z płaczem, nie ośmielając się już więcej na mnie spojrzeć.

Winslow było do kitu, ale pewnego dnia stąd wyjadę. Zostawię za sobą Łajnoryja, pisanie karnych esejów i papryczki na obiad. Zostawię niekończące się zimy.

A teraz robi to również Molakesz.

Ogień pojawił się, gdy tylko tego zaprzagnęłam – tak jak mówił sąsiad.

Nad moją dłońią uniosła się płonąca kula. Nie rzucałam tak dobrze, jak on, ale nie miało to znaczenia. Gdy dosięgnęła go kula ognia, w górę buchnęły płomienie, które następnie osmałyły sufit i rozprzestrzeniły się na dywan.

Twarz omiół mi żar. Zaczęłam się dusić, ale stałam tak długo, aż płomienie całkiem pochłonęły jego ciało. Zanim opuściłam dom, pochwycałam obydwie kubki, stawiając je na swojej stercie książek. Byłam w połowie drogi do domu, gdy usłyszałam potężny łomot zapadającej się sypialni.

Gdy przyszłam do domu, zadzwoniłam pod 911, a potem podgrzałam w mikrofalówce gorącą czekoladę. Mama miała wrócić z pracy za jakąś godzinę, więc przegapi całe widowisko. Lament nadjeżdżających karettek rozbrzmiewał wokół, gdy sadowiłam się na naszym ganku z kubkiem z kanarkiem Tweetyem. Przyglądałam się płomieniom, strzelającym w niebo z domu mojego demonicznego sąsiada – olśniewającym nitkom czerwieni i pomarańcza na szarym zimowym niebie.

Spodobałyby się Molakeszowi.

MEGAN GREY – Mieszka w Utah wraz z mężem, dwójką dzieci i dwoma psami.

Wszyscy wymienieni wspierają ją w jej potrzebie pisania o demonach na emeryturze i innych wyrzutkach o nadprzyrodzonych mocach. W 2016 roku Megan wydała swoją pierwszą antologię opowiadań, zatytułowaną *Tuesdays with Molakesh the Destroyer and Other Tales*.



Gabriela Palicka

# Blizny

Justyna Lech

Na sam widok ich kosmatych ciał poczuł to obmierzłe łaskotanie na skórze: ledwie wyczuwalny dotyk odnóży pnących się w górę, ku ustom, uszom, oczom. Miały grube, czarne, pokryte sterczącymi włoskami kończyny, bulwiaste odwłoki i szczękoczułki jak robaki pełzające wokół otworów gębowych.

Ich małe oczka patrzyły wprost na niego. Zaczął krzyczeć.

\*

Marcin upił łyk kawy o paskudnym, ziemistym posmaku i położył dłonie na gładkiej powierzchni terminala. Uświęcony korporacyjny rytuał – wstępne zalogowanie się do firmowych systemów Hyalens, wycieczka do kuchni, zaparzanie ciemnego napoju w towarzystwie współpracowników, plotki, pogaduszki, pożyczanie mleka – dobiegł nieubłaganego końca i trzeba było wziąć się do roboty. Mężczyzna westchnął, narysował na blacie zegarka klucz dostępu i gestem uruchomił połączoną z wirtualnymi soczewkami wizualizację. Kojące, niebieskie barwy open-space'owych wykładzin i wallnitorów przygasły, przechodząc w neutralną szarość, a pod palcami ukazała się wirtualna klawiatura. Obraz przed oczami

programisty rozmył się nieco, robiąc miejsce dla firmowego interfejsu. Obok komunikatora i paska z najnowszymi informacjami z mediów społecznościowych oraz wynikami meczów Bundesligi pojawiło się pole robocze, a na nim ikonki programów i folderów. Marcin uśmiechnął się krzywo. Lata mijały, technologia szła do przodu, a wciąż podstawą pracy z komputerem był stary, dobry desktop.

Wodząc dłońmi po terminalu, uruchomił listę tasków i wszedł w rozpoczęty poprzedniego dnia projekt. Program rozwinął przed nim linijki kodu. To także się nie zmieniło: pod powierzchnią nawet najbardziej wyrafinowanego interfejsu musiała znajdować się skomplikowana maszyna zmiennych, funkcji i protokołów. Marcin sięgnął po kubek, upił łyk i skrzywiwszy się, zaczął dodawać kolejne linie kodu zgodnie z wytycznymi zaczętego taska. Brakowało mu prawdziwej kawy – ciemnej, aromatycznej siekiery, kofeinowego TGV; produktu coraz trudniej dostępnego na rynku i znajdującego się poza zasięgiem finansowym szeregowego programisty. Zamiast niego miał promowaną przez Unię ekolurę z nieznośnym posmakiem palonej cykorii, do której mógł

połknąć, celem większego pobudzenia, tabletkę syntetycznej kofeiny.

\*

Kiedy pająki ruszyły, instynkt ucieczki przegrał w nim z nagłym paraliżem całego ciała. Nie panując nad zeszytwniałymi członkami, patrzył z przerażeniem, jak patykowate odnóża przebiegają w jego kierunku, ciągnąc za sobą obłe odwłoki. Wydawało mu się, że przez cienki oskórek prześwitują między włoskami gruczoły trawienne, tętniące ciepłą breją wydłużone serce i kiście jaj zawierających zarodki nowych pajaków. Zaczął niepohamowanie dygotać, jednocześnie wciąż nie mogąc ruszyć się z miejsca.

Gdy poczuł pierwsze muśnięcia wiotkich odnóży, wymiotował.

\*

Ocknął się oparty czołem o wallnitor. Gładka powierzchnia była mokra od potu. Marcin słyszał własny świszczący oddech. Czy fobia wracała? Przecież dla pewności rano wyszukał w sieci zdjęcia najróżniejszych pajaków, zmusił się do ich oglądania i... nic. Może trochę obrzydzenia i niechęci, ale bez dreszczy, drgawek i wymiotów.

Rozejrzał się. Duszny open space wypełniała cisza przesycona zapachem kurzu i modnych antyperspirantów. Nikt nie zwrócił uwagi na niedyspozycję Marcina, a przynajmniej nikt nie dał tego po sobie poznać. Programista zażył tabletkę kofeinową i wrócił do pracy.

Jeszcze kilka lat wcześniej był pewien, że te rzędy liter i cyfr są celem jego życia. W obliczu coraz większego postępu technologicznego informatycy zaczęli nieuchronnie dzielić się na ludzi z wizją – świetnie wykształconych i ponadprzeciętnie inteligentnych architektów, czuwających nad całością każdego projektu i podpisujących go swoim nazwiskiem – oraz rzeszę wyrobników dłubiących w urwanych fragmentach kodu bez większego zrozumienia całości. Kiedy Marcin szedł na studia, miał oczywiście

pewność, że trafi do tej pierwszej kategorii; zamiast tego wyłądownął w idealnie sterylnym, dusznym biurowcu, gdzie klepał kod, który pojąłby średnio rozgarnięty dwunastolatek. Teraz najbardziej obiecującą perspektywą zawodową Marcina było przewodzenie drużynie korpuludków takich jak on, żyjących w trybie „byle do piątku”. A kiedyś był złotym dzieckiem, wychwalanym przez nauczycieli i hołubionym przez rodziców.

Skoncentrował się na pracy, starając się nie poddawać złemu nastrojowi i nie myśleć o tym, jak wyobrażał sobie życie jeszcze parę lat wcześniej. Poprawiając pętlę, której przeznaczenia w całości programu nie miał szans zrozumieć, zerknął na pasek przeglądarki po prawej stronie. Od rana migotały tam krzykliwie reklamy leków antydepresyjnych i sesji coachingowych – bolesne przypomnienie, że Marcin znów zapomniał odnowić subskrypcję na Depano, aplikację zapewniającą ciszę marketingową.

Reklamy serwisów randkowych rozpraszają programistę. Używał ustawień tonujących kolorystykę ogłoszeń i spychających je jak najdalej w polu widzenia, ale i tak przyciągały jego uwagę. Siłownia, psychoanalityk, doradca zawodowy, poznaj swoją drugą połówkę. Oczywiście: cholerne boty już wiedziały, że jest samotny, sfrustrowany, jego kariera leży, a do uprawiania sportu zabiera się od lat – bez powodzenia. „Potrafią dobić tymi reklamami”, pomyślał. Jak mógł zapomnieć odnowić subskrypcję? Będzie musiał poprosić swojego lekarza o przepisanie środka wspomagającego pamięć.

Odgarnął ręką włosy. Były wilgotne. W pomieszczeniu zrobiło się niemożliwie duszno. Spróbował odetchnąć głęboko, ale miał wrażenie, że wciąż w płuca muł. Znów się rozejrzał, choć wiedział, że manager mógł obserwować open space ze swojego gabinetu i że ciągłe odrywanie się od pracy nie było mile widziane. Za kratami klimatyzatorów poruszały się

metalowe skrzydła, wdmuchując do pomieszczenia chłodne powietrze. Współpracownicy wpatrywali się w swoje ścianki, muskając palcami wirtualne klawiatury. Wyglądali jak kukły na niewidzialnych sznurkach. Jak bezwolne marionetki.

Delikatne stukanie opuszków w terminale przypominało odległe bicie bębnow.

\*

Marcin dopił kawę, wracając myślami do linijek kodu. Scrollując, próbował przypomnieć sobie, gdzie skończył poprzedniego dnia, ale nie mógł odnaleźć znajomego fragmentu. Kod był dziwnie długi, o wiele dłuższy i bardziej skomplikowany niż to, czym programista zajmował się zazwyczaj, a do tego nieopatrzone komentarzami.

Może pobrał zły plik z repozytorium?

Wrócił do przypisanego do siebie folderu i coraz bardziej zaskoczony przeglądał jego zawartość. Znajdowały się tam dziesiątki katalogów. Ktoś musiał się pomylić, dając mu dostęp do tego wszystkiego. Należałoby to zgłosić. Marcin nie powinien był ruszać tych plików. Musiały stanowić dużą część programu, może nawet całość, a firmowe reguły, ze względu na bezpieczeństwo, dopuszczały do znajomości dużych fragmentów kodu tylko wybrane osoby. Programista doskonale wiedział, że powinien natychmiast wyjść z wirtualu, ale nie mógł się powstrzymać. Najwyżej powie, że się nie zorientował.

Włączywszy Eclipse, zaczął przeglądać moduły – o dziwo nie były opatrzone hasłem. Sam nie wiedział, czego szuka, nie miał szans szybko zrozumieć tak dużej konstrukcji. Odetchnął głęboko i uspokoiwszy się, postanowił natychmiast zamknąć aplikację. Zgłosić problem. Wtedy jego wzrok padł na moduł nazwany „spiders”.

Marcin otworzył go, zaintrygowany nazwą. Wśród plików znalazł szereg funkcji, które niemal na pewno sam napisał – jakieś

interaktywne elementy podpięte pod grafiki, które jego zdaniem (ale co on tam wiedział?) bardziej pasowałyby do gry komputerowej niż do wirtualnej przeglądarki. Nagle poczuł, że bierze udział w czymś zakazanym i niebezpiecznym. Strach mieszał się z podnieceniem, adrenalinowy rausz nie pozwalał Marcinowi wyłączyć soczewek. „Tylko zerknę”, pomyślał programista, koncentrując się na poprzedzających jego własną pracę funkcjach.

Wtedy kod zniknął.

Marcin zobaczył przed oczami migający napis „error”, który niemal natychmiast zastąpiły standardowe przeprosiny i prośba o cierpliwość. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Jego współpracownicy także przestali wpatrywać się niewidzącym wzrokiem przed siebie i odewrawszy dłonie od terminali, zaczęli zagadywać kolegów i formować grupki zmierzające na przerwę. Marcin przeciągnął się, wziął pusty kubek i podążył za Robertem do kuchni.

Kiedy ponownie usiadł przy biurku i zalogował się do systemu, okazało się, że task z katalogiem zniknął z jego kolejki zadań.

\*

Robiło się ciemno. Zalegający nad Krakowem smog tonął w gęstniejącej szarówce, a od Wisły ciągnęło wilgotnym chłodem. Z podcieni bram wypełzali miłośnicy tanich alkoholi i darmowych rozrywek, a wyznawcy bardziej ekskluzywnych uciech wypijali w domach pierwsze drinki.

Marcin szedł Pasażem Karmelickim, lawirując między zakupowiczami. Z pobliskiej piekarni niósł się zapach świeżego pieczywa, zaraz obok klub nocny kusił delikatną nutą perfum i słodkich koktajli. Mężczyzna wiedział, że to tylko rozpylone w powietrzu syntetyczne koncentraty aromatów, doprawione dopuszczalną przez prawo – albo i nie – dawką feromonów oraz wzmacniaczy apetytu, lecz reakcja jego ciała była automatyczna: poczuł się głodny i spragniony zabawy. Codziennie obiecywał

sobie, że ominie pasaż, i codziennie, wyszedłszy zmęczony z pracy, skracał sobie przezeń drogę z biurowca do domu.

Przystanął tuż za piekarnią, czując, że poluzowało mu się sznurowadło. Pochylił się, by je zawiązać, i odruchowo spojrzął w mrok ulicy po prawej stronie. Większość latarni na Rajskiej nie działała – być może był to efekt prac przy budowie metra. Rozproszony miejską łuną mrok wyścielał zaułek; cisza zalegała na wąskiej uliczce, jakby tą od centrum Krakowa oddzielała niewidzialna ściana. Wydawało się, że bije stamtąd dziwny, przejmujący chłód.

Marcin, wiedziony nagłą ciekawością, ruszył nierównym chodnikiem. Gmaszysko biblioteki tonęło w ciemności, a naprzeciwko ział obłożony rusztowaniami otwór nieczynnej jeszcze stacji metra. Programista zbliżył się do placu budowy – wydawało mu się, że słyzy dobiegający stamtąd miarowy huk maszyn, choć prace zostały przerwane dobrych kilka godzin wcześniej. W niezrozumiały sposób kusiło go, by zajrzeć do środka. Miał wrażenie, że to miejsce coś mu przypomina – coś, co powinien bardzo dobrze pamiętać, ale co pozostawało w niezrozumiały sposób zablokowane w jego umyśle.

Na rusztowaniu z desek duży czarny pająk przygotowywał się do rozsnucia nici. Marciniowi wydawało się, że stworzenie przerwało pracę i patrzy na niego. Kiedy stał tak, zahipnotyzowany wzrokiem zwierzęcia, usłyszał cichy trzask. Jakaś deska zachrzęściła nad jego głową i programista poczuł ostry ból w potylicy.

Gdy upadł wprost na brezentową płachtę, owaładnęła nim ciemność.

\*

Zasłany pajęczynami tunel tonął w półmroku. Marcin z obrzydzeniem przedzierał się przez lepkie nici. Próbował je omijać, ale było ich zbyt wiele. Kleiły się do wilgotnej od potu twarzy, do ubrania, do rąk, którymi mężczyzna próbował się osłaniać. Szedł dalej, ku źródłu światła.

Dźwięk, początkowo cichy, narastał z każdym krokiem. Mocne, rytmiczne uderzenia. Marcin oddychał ciężko, w tunelu było ciepło i duszno. Im bardziej zbliżał się do celu, tym większy narastał w nim lęk. Nie potrafił się jednak cofnąć, jakby ciemność za jego plecami tworzyła niemożliwą do sforsowania ścianę.

Bicie w bębny stawało się coraz głośniejsze. Mężczyzna nie wiedział, czy dźwięki dochodziły z tunelu, czy słyszał je tylko we własnej głowie. Miał wrażenie, że pajęczyny poruszają się, wyciągając ku niemu odnóża.

Pomieszczenie na końcu tunelu było niewielkie, o ścianach w kolorze kojącej zieleni. Przy jednej z nich stało łóżko. Śpiący na nim człowiek był błydy, jego dłonie i stopy oplatało coś przypominającego włochate, pajęczne nogi. Marcin podszedł bliżej. Z daleka mężczyzna wyglądał na martwego, ale pochyliwszy się nad nim, programista dostrzegł, że klatka piersiowa śpiącego unosi się. Szybkie, płytkie oddechy wpasowywały się w rytm bębnów.

Szara twarz wydawała się Marcinowi dziwnie znajoma, jednak nie mógł sobie przypomnieć skąd. Wpatrując się w leżącego, czuł, że bicie jego własnego serca przyspiesza, synchronizując się z dochodzącym zewsząd dźwiękiem. Miał wrażenie, że to ogromny młot wali go w głowę. Raz za razem: mocno i głośno, boleśnie i silnie. Ten rytm, łupanie pod czaszką i ból, i ścisk, i pulsowanie doprowadzały go do szaleństwa. Jakby ktoś wyrwał mu mózg kawałeczek po kawałeczek.

Marcin zacisnął powieki. Czuł mdłości. Przylepione do czoła fragmenty pajęczyn wpijały mu się w skórę jak struny.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że leżący na łóżku mężczyzna patrzy na niego.

\*

– Jak tam? – zapytał Andrzej, wskazując Marcinowi miejsce obok siebie w niewielkiej sali konferencyjnej. – Słyszałem, że miałaś mały wypadek.



- W porządku – odparł tamten. – Podsze-  
dłem za blisko budowy i oberwałem obluzowa-  
ną deską. Nic wielkiego, zbadali mnie i wypu-  
ścili do domu.

- Cieszę się. Słuchaj, chciałem z tobą  
porozmawiać... Zauważyłeś może wczoraj  
pewne nieprawidłowości? Nie mam na my-  
śli awarii, o której wszyscy wiemy, ale... Cóż,  
będę z tobą szczerzy. Pewne dokumenty zo-  
stały przez pomyłkę przesłane do nieuprawn-  
ionych osób. Nasi programiści otrzymali...  
dużą część kodu właściwego zamiast kon-  
kretnych fragmentów.

Marcin przełknął ślinę. W duchu wymyślał  
sobie od idiotów – naprawdę sądził, że nicze-  
go nie zauważą? „To się odbije na mojej ocenie  
rocznej”, pomyślał z goryczą. „I na perspekty-  
wach otrzymania podwyżki, rzecz jasna”.

- Nie muszę ci chyba mówić, że to dane  
poufne – ciągnął Andrzej. – Oczywiście nikt,  
kto otwierał pliki, nie mógł o tym wiedzieć.  
Pracownicy myśleli, że dostają przypisane so-  
bie taski. Nie mamy zamiaru wyciągać wobec  
nich żadnych konsekwencji. Ale potrzebujemy  
wiedzieć, jaka była skala problemu. Dlatego  
chciałbym cię zapytać: czy dostałeś wczoraj  
plik z dużą ilością kodu? Taki, który na pewno  
nie był przeznaczony dla ciebie?

- Tak – odpowiedział od razu Marcin,  
uznając, że nie było sensu iść w zaparte. An-  
drzej na pewno wiedział, co dostał każdy pra-  
cownik, i tylko ich testował.

- Rozumiem. – Manager kiwnął głową.  
- A czy czytałeś te dane? Poza... pobieżnym  
przejrzeniem?

- Nie – odparł natychmiast programista. –  
Zorientowałem się, że to coś innego niż mój  
przedwczorajszy task i...

- Rozumiem – powtórzył Andrzej i położył  
rękę na stole tak, jakby chciał dotknąć nią dło-  
ni podwładnego. – Marcin, posłuchaj. Jesteśmy  
częścią tego samego organizmu, my Hyal-ma-  
ni, prawda? Wiem, że czasami jest ciężko, ale

bądź świadom, że firma chce, żebyś rósł razem  
z nią. Grasz z nami w jednej drużynie i z two-  
im potencjałem czeka cię tu wielka przyszłość.  
Jesteś gotowy wziąć odpowiedzialność za swoją  
karierę, prawda?

Marcin zmarszczył brwi. Usiłował dociec,  
czego od niego chciał Andrzej. Uwali go za  
to zaglądnienie w nie swój kod czy będzie tylko  
gadka pouczająca? Miał nadzieję, że jednak  
to drugie.

- Tak – wybełkotał w końcu.

- Świetnie – ucieszył się Andrzej. – Nie-  
długo skończymy ten projekt, nad którym mo-  
ziliśmy się wszyscy przez ostatnich kilkana-  
ście miesięcy, i zaczynamy zupełnie nowy. To  
będzie wielka szansa. Ale najpierw musimy  
rozwiązać sprawę tego... kodu.

Marcin znowu przełknął ślinę.

- Aha? – jęknął.

- Musisz być ze mną szczerzy. Tu, w Hy-  
alens, szczerść i zaufanie to podstawy, na któ-  
rych budujemy naszą tożsamość. Chciałbym,  
żebyś teraz spróbował sobie przypomnieć, co  
odczytałeś z tego zapisu, który ktoś ci przez  
pomyłkę przypisał. Muszę wiedzieć, do jakiej  
klauzuli tajności miałeś dostęp.

- Ja... niewiele, naprawdę. Tylko te funkcje,  
które sam pisałem... Wiesz, szukałem swojego  
tasku, ale nie zobaczyłem za wiele.

„Zdażyłem tylko wszystko przescrollować”,  
dodał w myślach. Nie powiedział tego jednak  
na głos.

Andrzej przez chwilę wpatrywał się w niego  
intensywnie, po czym odprężył się wyraźnie.

- Doskonale – powiedział z uśmiechem. –  
Dzięki za rozmowę.

\*

Nie wiedział, czemu znów skręcił w Rajską  
i poszedł w stronę nieczynnej stacji. Robert  
namówił go na piątkowe piwo w jednej  
z knajpek w pasażu – Marcin nie wypił wiele,  
ale wystarczająco, by poczuć działanie alkoho-  
lu. Jego zmysł równowagi zdawał się unosić na

niewidocznej fali, a myśli były miękkie i gąbczaste, jakby mózg mężczyzny zarósł mchem. Programista mógł wziąć tabletkę neutralizującą działanie etanolu, ale nie chciał tego robić. Jeszcze nie. Odpędził od siebie niemilą myśl, że wciąż nie istniały pastylki całkowicie usuwające objawy kaca, i poddał się błogiemu uczuciu otępienia.

Ulica Rajska była pusta. Na przysadzistym budynku biblioteki kładły się cienie powyginanych gałęzi. Mężczyzna zbliżył się do połączonych żółtą taśmą barierek, za którymi ziało zakryte brezentem wejście do nieczynnej stacji. Wydawało mu się, że słyszy delikatny, rytmiczny dźwięk, taki sam jak huk maszyn wiertniczych rozlegający się za dnia, ale teraz dobiegający z oddali i cichy jak szept. Znał to miejsce, choć nie mógł sobie przypomnieć skąd.

Dlaczego słyszał maszynę?

Przekroczył barierkę i podszedłszy do prowidzorycznego rusztowania, uchylił brezentową płachtę. Dźwięk zdecydowanie pochodził z wnętrza stacji: pulsował gdzieś w głębi ciemnego szybu. Mężczyzna uruchomił latarkę w zegarku i ostrożnie zaczął schodzić po ubitej ziemi tworzącej pochyłą rampę. Oblepiła go piwniczna ciemność, rozpraszana przez ostre, punktowe światło, które kierował przed siebie. Szedł ostrożnie, uważając na drobne kamyczki pokrywające ścieżkę. Dotarłszy do obszernej sali o półokrągłym stropie, zatrzymał się. Peron był częściowo wyłożony ozdobnymi płytami, za którymi ziało szeroki tunel.

Gęsty chłód zalegał między gładkimi ścianami, a podziemna ciemność wywoływała duszne, klaustrofobiczne wrażenie. Marcin przystanął na krawędzi peronu i odetchnął głęboko. Nasłuchiwał. Rytmiczny dźwięk wydobywał się wyraźnie z mroku po prawej stronie. Mężczyzna ruszył wzdłuż żelbetowej ściany, czując narastające wibrowanie podłoża. Wciągał głęboko powietrze, usiłując opanać ściskające gardło duszności. „To tylko

psychika”, powtarzał sobie. „To siedzi w mojej głowie”. Miał wrażenie, że ściany zwężają się, choć kiedy nerwowo przesuwał po nich punktowym światłem latarki, okazywały się solidne i proste.

„To złudzenie, przesadna reakcja organizmu”, myślał. Miał za sobą terapię ostrej arachnofobii i wiedział, jak działa ten mechanizm, ale nie potrafił go opanować.

Miarowe dudnienie narastało, kiedy posuwał się wzdłuż korytarza. Ciemność rozrzedzała się, powoli przechodząc w żółtawy półmrok. Marcin nie mógł pozbyć się uczucia *déjà vu*. Brakowało tylko rozpiętych między ścianami pajęczyn, by ziściła się wizja z poprzedniego dnia. Nie widział jednak pokoju o zielonych ścianach na końcu przejścia – w ogóle nie mógł dostrzec ujścia tunelu. Usłyszał głos, coś jakby stłumiony chichot. Przeszedł go dreszcz. Dźwięki bębna narastały, a korytarz się nie kończył.

Marcin wpadł w dziwny trans. Był zmęczony, kręciło mu się w głowie, ale jednocześnie nie mógł przestać iść do przodu. Znowu czuł przyklepiające się do twarzy niewidoczne pajęczyny. Zatrzymał się wreszcie i przyłożył dłoń do skroni.

Przed oczami widział nieregularne kształty i węzowate linie, jego powieki opadały i unosiły się powoli. Zobaczył cienie pajaków wyciągających długie odnóża. Oparł się o ścianę. Nie potrafił z tym walczyć.

Dźwięk bębna urwał się gwałtownie. Marcin podniósł ciężkie powieki. Od nagłej ciszy głowa pęczniała mu boleśnie. W głębi korytarza zobaczył cień mężczyzny. Jego ruchy były nieludzko szybkie i zwinne, chude kończyny rzucały patykowate cienie.

Marcin zamarł z przerażenia. Serce podeszło mu do gardła.

Drobna twarz obcego o okrągłych, czarnych oczach była pomalowana lub wytatuowana: precyzyjny, delikatny rysunek. Pajęczyna.

Zbliżywszy się do programisty, nieznajomy podniósł kościstą, pokrytą czarnymi włoskami rękę i dotknął jego twarzy. Muśnięcie chłodnej dłoni wywoływało w Marcinie jakiś niezrozumiały, atawistyczny lęk. Mężczyzna wciąż nie mógł się ruszyć. Pająk pogładził go po policzku i uśmiechnął się. Wreszcie programista zajął w czarne oczy, doliczył się aż czterech źrenic...

Zemdlał.

\*

Obudziły go ogrzewające twarz promienie słońca. Złote ciepło wślizgiwało się pod powieki.

Marcin otworzył oczy.

Zobaczył dużą, ukośną szybę i poczuł miękką plusz pod dłońią: siedział na niebieskiej kanapie z biomateriału. Jasne ściany i udająca drewno wykładzina miały tworzyć komfortową, przytulną atmosferę, ale ich anonimowy, masowy charakter przypominał raczej typowy wystrój nowoczesnego biura: miły dla oka, domowy rys maskujący całkowitą bezduszną powielanych w nieskończoność wzorów wystrój wnętrza. Znajome biuro, siedziba korporacji Hyalens.

Zamrugał i rozejrzał się wokół. Był w jednym z tak zwanych pokoi socjalnych, przeznaczonych teoretycznie do odpoczynku, a w praktyce do spotkań zespołów, kiedy wszystkie sale konferencyjne zostały już zajęte. Zemdlał? Usnął? Nie mógł sobie przypomnieć momentu przyścia do pracy. Ba, nie pamiętał nawet powrotu do domu poprzedniego dnia. Tylko dotyk człowieka-pajaka.

Wzdrygnął się na samo wspomnienie. Czyżby aż tyle wczoraj wypił? Tylko dlaczego fobia wracała?

Wyszedł z pomieszczenia i powiódł wzrokiem po biurze. Programiści siedzieli karnie przy swoich biurkach i wpatrywali się wzrokiem w wallnitory, pisząc na wirtualnych klawiaturach. Skołowany Marcin uruchomił zegarek i włączył własne soczewki. Był zalogowany

do firmowych systemów, ale odcięty od zewnętrznej sieci – pasek wyświetlał serię błędów. Programista ruszył w stronę swojego biurka, łowiąc wzrokiem Roberta, którego chciał przy najbliższej okazji wyciągnąć do kuchni i wypytać o szczegóły poprzedniego wieczoru.

Wydawało mu się, że rzeczywistość wokół zaczyna blednąć i śnieżyć jak obraz w starym, gubiącym sygnał antenowy telewizorze. Miał wrażenie, że dochodzące z zewnątrz bodźce rozpadają się na serię pojedynczych klatek filmowych. „To tylko efekt kaca”, pocieszał się.

Open space nie pachniał kurzem i środkiem do czyszczenia wallnitorów. Nie pachniał w ogóle, jakby do świadomości Marcina docierały wyłącznie dźwięk i obraz rzeczywistości.

Mijając jedną z sal konferencyjnych, mężczyzna usłyszał znajomy głos.

– Był naszym sztandarowym obiektem. Jako pierwszy przeszedł całą procedurę.

Programista zbliżył się do sali i stanął w uchylonych drzwiach. Zobaczył Andrzeja. Manager nie patrzył w jego stronę; siedząc na stole wyjaśniał coś mężczyźnie odwróconemu plecami do drzwi.

– Był idealnym kandydatem na początek: wcześniej leczony z powodu zaburzeń psychicznych, już miał dla nas pewną, że tak się wyrażę, lukę. Nękania ostrymi napadami arachnofobii zawalił studia, spędził dwa lata na terapii. Wystarczyło na powrót obudzić w nim fobię, odwrócić proces leczenia i podsycać emocje. Nazwaliśmy to „odbliznianiem”.

– Na czym dokładnie polega ten wynalazek? – zapytał nieznajomy.

– Wirtualna rzeczywistość dostarczana przez soczewki miała do tej pory mocno ograniczony zakres. Mózg to bardzo skomplikowane urządzenie i nie jest łatwo na niego wpływać. Tworzyliśmy piękne gry i bardzo dobre wyświetlacze soczewkowe, ale aż do teraz nie mieliśmy szans wykreować rzeczywistości totalnej. Nasza firma stworzyła jednak coś zupełnie nowego.

Zbudowaliśmy soczewki, które przekazują odpowiednio spreparowany obraz do mózgu z pominięciem jego „racjonalnych” obszarów, tworząc wrażenie rzeczywistości totalnej. Zdziałałoby nawet na niewidomego z uszkodzonym płatem potylicznym. Innymi słowy, udało nam się wykorzystać wiraal do i wywołania częściowo kontrolowanych halucynacji.

– Jak gra komputerowa – dopowiedział głos.  
– Lepiej – poprawił Andrzej. – Rozszerzona rzeczywistość w sensie niemal totalnym. Złudzenie idealne, interaktywny spektakl, którego część kreuje, nieświadomie, sam pacjent. Uczestnicy działali w świecie, który odpowiednio dla nich zmodyfikowano. To przełom nie tylko na rynku gier i w neurologii, ale także w psychoterapii. To był eksperymentalny projekt, duży, międzynarodowy grant, który trafił do polskich naukowców, a my... My się po prostu do niego podłączyliśmy. Tak jakby.

– Czy to nie jest... groźne z prawnego punktu widzenia? – zapytał głos.

Marcinowi wydawało się, że skądś go zna, że słyszał go wiele razy, ale nie mógł sobie przypomnieć, do kogo należy.

– To mógłby być problem – przyznał Andrzej. – Oczywiście, zakładając scenariusz wybudzenia.

Marcin próbował wycofać się, ale wtedy padł na niego wzrok managera. Po kręgosłupie przebiegł mu zimny dreszcz. Andrzej przez chwilę patrzył na podwładnego w milczeniu, jakby nie wiedział, co ma dalej robić.

– Przepraszam na chwilę – rzekł w końcu do swojego gościa i ruszył w stronę drzwi. Ujął Marcina pod ramię i poprowadził do sąsiadującego z salą, niewielkiego biura z wielką ścianą ekranową, terminalem i kilkoma stylizowanymi ramkami. Na zdjęciach Andrzej uśmiechał się radośnie, mając za tło wodospad, tropikalny las i szczyt jakiejś góry.

– Siadaj – rzekł krótko, wskazując podwładnemu krzesło.

– Ja... – wybąkał Marcin.

– Nic nie mów.

– ...jestem częścią eksperymentu?

Andrzej wzruszył ramionami.

– Znam dużo Marcinów – rzucił.

Programista odetchnął głęboko. Czuł jakiś trudny do określenia lęk przed naciskaniem na managera – głęboko wdrukowany latami edukacji, wyuczony instynkt człowieka ustawionego nisko w hierarchii. Zwalczył go w sobie.

– Jestem czy nie?

– Tak. Przykro mi, że muszę cię o tym informować w takich okolicznościach. – Andrzej popatrzył mu głęboko w oczy. Marcinowi cisnęło się na usta pytanie, czy przełożony w ogóle zamierzał go poinformować. – Potraktuj to... jak szansę.

– Szansę? – zdumiał się programista.

– Oczywiście! – potwierdził manager, odzyskując rezon. – Jesteś w wyselekcjonowanej grupie, która pomogła firmie stworzyć przełomowy wynalazek. Oczywiście, że to się odbije pozytywnie na twojej karierze. Wiesz, zostałeś wybrany. Każdy pracownik mógł być poddany eksperymentowi, wasze umowy umożliwiają nam takie rzeczy, ale tylko najlepsi zostali wyselekcjonowani do tego zadania.

Marcin patrzył na niego badawczo. „Najlepsi w czym? Grzebaliście mi w głowie”, chciał krzyknąć. „Wy pieprzone sukinsyny!” Ale zmusił się do spokoju.

– W takim razie co to znaczy: „zakładając scenariusz wybudzenia”? Słyszałem...

– Słyszysz i widzisz ostatnio dużo rzeczy, których nie powinieneś – wycedził Andrzej.

– To pewnego rodzaju szyfr, oznaczający zakończenie eksperymentu. Oczywiście już skończyliśmy... jego najdłuższą część. Ale jeszcze nie zdecydowaliśmy się całkowicie usunąć ci aplikacji. Może nie powinienem ci tego mówić, Marcin, ale nie wybraliśmy cię bez powodu. Twoja choroba... zostałeś poddany długotrwałej terapii. Byłeś w ciężkim

stanie, pamiętasz, prawda? Takich rzeczy nie leczy się łatwo.

- Macie mnie za czubka, co?
- Monitorujemy twój stan. Pomagamy ci.

Wiem, że to dla ciebie szok, ale dzięki temu nie tylko poszybujecie twoja kariera, unikniecie też nawrotów swojej choroby. Musisz mi uwierzyć na słowo.

- Mogę zobaczyć ten kod? – wypalił, patrząc przełożonemu prosto w oczy.

Andrzej zamrugał, zaskoczony.

- Jaki kod?
- Ten, który przez przypadek otworzyłem.

Algorytmy nowego oprogramowania soczewek. Mam chyba do tego prawo jako... część eksperymentu.

Zadał pytanie spontanicznie, pod wpływem impulsu. Nie liczył na powodzenie, jednak ku jego zdumieniu odpowiedź brzmiała:

- Dobrze.

Manager wstukał na zegarku hasło, usiadł przy terminalu i wykonał kilka szybkich gestów, po czym skinieniem głowy dał znać podwładnemu, że ma on już dostęp do odpowiednich plików. Marcin zamrugał. Znów miał wrażenie, że rzeczywistość wokół niego rozplywa się i zamazuje. Ruchy Andrzeja miały w sobie coś sztucznego, on sam stał się nagle dziwnie wyglądający, jakby jego postać była pospieszonym, pozbawionym szczegółów szkicem.

- A teraz zostań tu. Nie wychodź, dopóki nie wrócę – powiedział manager.

Opuściwszy biuro, zamknął za sobą drzwi. Marcin uruchomił soczewki i wyświetlił na wallnitorze firmowy pulpit. Wszedł w listę tasków i zobaczył priorytetową wiadomość od Andrzeja. Szybko, mruknął do siebie. Otworzył Eclipse i zaczął chaotycznie wchodzić w kolejne moduły. Algorytmy były długie i bardzo skomplikowane, a foldery zawierały setki, może tysiące plików. Marcin przeklął pod nosem. Co niby sobie myślał? Że porwie się na „przeczytanie” ze zrozumieniem całego

programu? On? Przypomniał sobie czasy studenckie, kiedy jeszcze wydawało mu się, że jest inteligentnym, zdolnym programistą i że wszystko może osiągnąć. Kiedy to było?

Jeszcze nie otrząsnął się z szoku. Rzeczywistość totalna. Eksperyment.

Arachnofobia, oczywiście. Dostali się do lęków, o których myślał, że są już wyleczone. Serio miał uwierzyć, że to ma zapobiec nawrotom choroby?

Coś mu w tym wszystkim nie grało. Dlaczego Andrzej tak łatwo mu się wypowiedział? Twierdził, że to wszystko jest legalne i że ich celem jest podbicie rynku gamerów. Ale jeśli chcą robić w ten sposób gry, to dlaczego testują swój sprzęt na niczego nieświadomych użytkownikach?

Ziewnął przeciągle. Żałował, że nie ma pod ręką tabletek kofeinowych albo chociaż tej obrzydliwej ekokawy. Zawsze to jakiś substytut. Zmusił się do skoncentrowania na algorytmach. Przecież nie był taki głupi, przecież to lubił. Program nie mógł być całkowicie niezrozumiały, to te same języki, jakich uczył się dawno temu, jakich używał na co dzień.

Po chwili linijki kodu zaczęły układać się w sensowne całości. Marcin poczuł, że budzi się w nim dawno zapomniana, dziecięca ekscytacja. Radość z bycia pod podszewką wirtualnej rzeczywistości. Skoncentrowany, patrzył w wallnitor z uśmiechem na twarzy. *Wirus* szepnął sam do siebie, szczęśliwy, że rozwiązał łamigłówkę. *Wirus* – powtórzył i kiedy dotarł do niego sens tego słowa, radość ustąpiła miejsca przerażeniu. Uśmiech znikł z twarzy programisty.

Spojrzał za szybę. Przez open space szedł właśnie gość Andrzeja, ten o znajomym głosie.

Marcin ujrzał twarz mężczyzny i z trudem powstrzymał krzyk.

\*

Przyłożył identyfikator do czytnika przy drzwiach na klatkę schodową, ale zanim zdołał

się tam dostać, drogę zastąpił mu ochroniarz. Marcin przez chwilę stał przed barczystym mężczyzną, niezdolny do poruszenia. Instynkt podpowiadał ucieczkę na oslepek w drugą stronę – gdzie zapewne wpadłby wprost na Andrzeja – albo poddanie się, położenie na plecy i pokazanie brzucha w poddańczym geście. Ochroniarz był naprawdę roslim mężczyzną. Programista zdusił w sobie lęk i wziął głęboki oddech, wiedząc, że może nie mieć kolejnej szansy. Jeśli naprawią program...

Zadał najmocniejszy cios, na jaki było go stać. Pięść zabolala przeszywająco, trafiając w kwadratową szczękę mężczyzny. Tamten zachwiał się, ale z wyszkolonym refleksem oddał uderzenie. Marcin to przewidział. Wykonał unik, jednak nie był wystarczająco szybki. Osiągnął tyle, że pięść ochroniarza zeslizgnęła się po jego skroni, a głowę przeszył nieznośny ból. Programista poczuł, że traci równowagę, i przytrzymał się ściany. Udawał jednak bardziej zamroczonego, niż był w rzeczywistości. Chciał zaskoczyć przeciwnika.

Ochroniarz zawahał się z zadaniem kolejnego ciosu. Marcin nie miał takich skrupułów. Obróciwszy się chwiejnie, uderzył od dołu. Jego przeciwnik padł na lśniący parkiet. Zanim zdążył się podnieść, programista rzucił się do ucieczki, biegnąc tak szybko, jak tylko pozwalało mu obolałe ciało.

Zbiegł ze schodów przeciwpożarowych i wypadł na łączący dwie części budynku korytarz. W głębi usłyszał głosy. Podejrzewał, że odcięli mu drogę ucieczki i teraz zmiierzają w jego stronę. Nie przejął się tym. Biegł najszybciej, jak potrafił, próbując oddychać spokojnie i głęboko. Przed oczami przelatywały mu te wszystkie niewykorzystane karnety na siłownię. Odganiając je, spróbował skoncentrować się na ruchu.

Wyczerpany, rzucił się z impetem do pierwszego z brzegu otwartego pomieszczenia, by znaleźć się w wypełnionej sprzętem

czyszczącym ciemnej komórce. Zamknął za sobą drzwi. Brak światła, mała powierzchnia – tego było mu trzeba.

Nie miał pojęcia, czy jego plan się powiedzie. Jeśli rzeczywiście znajdował się w krakowskim budynku, nie miał szans uciec – dopadliby go, zanim zdołałby pokonać automatyczne drzwi, zresztą pewnie zablokowali mu przepustkę. Założył jednak, że biurowiec znajduje się w miejscu, z którego będzie miał możliwość wyjść.

W jego własnej głowie.

Z jakiego innego powodu Andrzej miałby poinformować go o wszystkim? Dlaczego wyjaśniał działanie programu w niezamkniętej sali wykładowej? Przecież nie mógłby tak po prostu udostępnić kodu podwładnemu. Marcin musiał go sobie przypomnieć, znaleźć w podświadomości.

No i ten znajomy głos. Ta twarz.

Jego twarz.

Mężczyzną, któremu Andrzej tłumaczył szczegóły eksperymentu, był sam Marcin.

Wciąż jestem w wirealu, przekonywał się. W wykreowanym przez Hyalens złudzeniu totalnym.

Ich oprogramowanie miało dziury, a on właśnie dostał się do danych, które nie były przeznaczone dla użytkownika. Te wszystkie nieprawdopodobne sytuacje i wyjaśnienia stanowiły po prostu projekcję mózgu Marcina; przetworzone dane, które dostały się do jego świadomości i zostały wplecione w kreowaną przez soczewki halucynację.

Przeraziła go ta myśl. Jeśli wciąż leżał w jakiejś wynajętej przez firmę klinice, jeśli wirealowy scenariusz napisany dla niego był bardziej rozbudowany niż spektakl w metrze, to znaczyło, że nie mógł być pewien, ile z jego wspomnień jest prawdziwych. W którym momencie stracił kontakt z rzeczywistością? Czy naprawdę pracował dla Hyalens? Kiedy pierwszy raz w życiu nałożył soczewki?

Na studiach, a raczej w przerwie studiów, podczas eksperymentalnej terapii. Nie pamiętał, o co w niej chodziło, ale tak, to było wtedy. Dawno temu...

„Musiałem dla nich pracować”, myślał. „Inaczej nie rozpoznałbym tych fragmentów kodu, które sam stworzyłem”.

A może stworzył je, pozostając w wierealu? Albo o wiele wcześniej, w życiu, którego już nie pamiętał? Niczego nie mógł być pewien. W końcu część z tego, co widział na stacji metra, musiała zostać wytworzona przez zainfekowany mózg, a nie oprogramowanie Hyalens. Przez wirusa.

To właśnie Marcin zobaczył w kodzie: programy były tak naprawdę dwa. Oryginalny i drugi, stworzony przez Hyalens, wykorzystujący dziurę w tym pierwszym. Przejmujący kontrolę nad komputerem. A raczej nad mózgiem użytkownika. Mózgiem, który już wcześniej znajdował się w wirtualnej rzeczywistości. Pierwsza aplikacja była, o ile zdążył się zorientować, swego rodzaju grą komputerową. Wirtualną rzeczywistością, ale kontrolowaną przez użytkownika. To ona „wyciekała” przez dziury w programie Hyalens. Kreowała wizje podziemnego tunelu. Oryginalnie powinien móc nimi manipulować, nawet z nich wyjść.

Wirus zrobił z niego niewolnika własnego umysłu.

\*

Musiał wydostać się do zwykłego wierealu, żeby odzyskać władzę nad ciałem i pozbyć się wszelkich zmieniających rzeczywistość urządzeń. Wyjść z transu. Jedyń pomysł, jaki przyszedł mu do głowy, wydawał się dość głupi, ale Marcin i tak postanowił spróbować. Przypomniał sobie, że to przez podziemny rytm bębnowy wpadł w amok, po którym Hyalens musiało go ewakuować z tamtego scenariusza. Jeśli znowu uda mu się wywołać ten stan, jeśli trans się pogłębi i dojdzie do przesilenia – powinien być w stanie wrócić.

Albo zapadnie się w sobie jeszcze bardziej.

Czując się jak skończony idiota, krążył we frenetycznym tańcu, wywołując z pamięci dźwięk dudniący w tunelu metra. Powoli dopasowywał do niego kroki, poruszając się coraz bardziej rytmicznie. Jego ciało zaczęło drgać – najpierw kontrolował mięśnie i dostosowywał się do przywoływanego w pamięci bębnienia, później konwulsje stały się mimowolne, coraz bardziej gwałtowne i chaotyczne. Boleśnie uderzył o coś ramieniem, zatoczył się i zderzył z drzwiami. W pomieszczeniu nie było okien, całkowita ciemność potęgowała uczucie dezorientacji. Objając się o ściany, czuł, że po skroniach ścieka mu pot. Przestał kontrolować swoje ciało, poddawał się hipnotyzującemu rytmowi. Jego puls przyspieszał wraz z oddechem, myśli gęstniały. Koncentrował się tylko na dźwięku i ruchu, słyszał tylko bębny i wydychane ze świstem powietrze.

Uderzywszy po raz kolejny o którąś ze ścian, padł na podłogę i stracił przytomność.

\*

Widzi zapach palonych kości i słyszy smak popiołu w kolorze ognistej czerwieni, jego zmysły zlewają się w jedno, zamyka oczy i spada, spada w głąb piekielnego leja; nieznośny ból rwie jego ciało, wstrząsają nim agonalne konwulsje, jego krzyk pachnie siarką, a na skórze czuje palący dźwięk bębnowy.

Ciało jest pokawałkowane: oko, stopa, wątroba, język. Przeżute i spalone.

Pająki tańczą na porozrzucanych kościach.

Ciemność.

Cisza.

Nic.

Dusi się, kaszle i kopie, i pluje, wstaje i pada, i znowu zmartwychwstaje. Kształty, linie, z ich chaosu wyłania się ład. Układają się koncentrycznie, dośrodkowo.

Pajęczyna.

\*

Głosy dochodziły zewsząd.

- Kolejny, który zapadł w śpiączkę.
- To oprogramowanie miało być bezpieczne. Miało leczyć, a pogłębia chorobę.
- Mamy na oddziale dziesięciu pacjentów, którzy nie wyszli z wirealu.
- Niestety, diagnoza jest jednoznaczna, proszę pana. Arachnofobia to tylko jeden z objawów. Napady lękowe są elementem epizodów psychotycznych. Ma pan...

- Powinniśmy trzymać ich w śpiączce. Kto wie, co się stanie, jak się obudzą.

- Wirus? Twierdzi, że to wirus? Powiedziałbym, że facet zwariował, ale w tej sytuacji to kiepski żart. Niby jak ten wirus miał się tam dostać? Mamy oryginalne soczewki Hyalens i gwarancję firmy. Nie podłączaliśmy ich do Internetu ani nawet do systemów szpitala.

- Nie będziemy ich budzić i nie będziemy im wyjmować soczewek, żeby je zbadać. To niebezpieczne. Teorie spiskowe mnie nie interesują, musimy poczekać, aż pacjenci obudzą się sami.

- Nikt się nie zorientuje. Będziemy mieli pracowników doskonałych. Wiesz, ile niesamowitych umysłów marnuje się na oddziałach? Większość geniuszy to czubki.

- Podobno eksperymentalna terapia wirealowa nie powiodła się. Co się stało z pacjentami? Dlaczego szpital nie wystosował żadnego oświadczenia? Czy to prawda, że dedykowany program został zaatakowany przez wirusa? Czy udzieli pan komentarza?

- Myślą, że soczewki są odcięte od Internetu, ale prawda jest taka, że podłączyliśmy je do naszej wewnętrznej sieci. Mamy pełną kontrolę.

- To brzmi jak coś z durnego filmu. Poinstruuj personel. Jeśli ktoś jeszcze będzie opowiadać prasie o wirusach, wyleci na zbity pysk.

- Będą dla nas pracować i sami udoskonalać oprogramowanie, które ich kontroluje. Bez własnej wiedzy.

- Czy on się kiedyś obudzi?
- Najprawdopodobniej nigdy.

\*

Poczuł chłód i wilgoć na skórze. Znow leżał przed nieczynną stacją Biblioteka na brezentowej płachcie zabezpieczającej wejście na budowę. Padało. Drżąc lekko w mokrym ubraniu, podniósł się z ziemi. Czuł ból w prawym barku. W tym, którym po raz pierwszy uderzył o ścianę. Złudzenie? Mózg odtworzył w rzeczywistości to, co stało się w halucynacji?

„To niemożliwe”, pomyślał Marcin. „Nie mogłem cały czas po prostu leżeć na ulicy. To wciąż jest projekcja”.

Zadrżał na myśl, że może nigdy już nie wyjść z labiryntu wizji. A nawet jeśli wyjdzie, to jak się upewni, czy naprawdę uciekł? Potrząsnął głową, starając się nie poddawać panice. Nie rozumiał, czym była transowa wizja, ale czuł, że jego świadomość została w jakiś sposób przeprogramowana. Ciało zdawało mu się zbyt lekkie, półprzezroczyste, tak jakby uświadamiało sobie fakt przebywania w wirtualnej rzeczywistości. Może to był klucz – poczucie własnego ciała? A może teraz to on sam – choć jeszcze nie do końca świadomie – kontrolował trans?

Wciąż widział wejście do nieczynnej stacji, choć nie słyszał już żadnych wydobywających się ze środka dźwięków. Zawahał się. Co miał do stracenia? Najwyżej znow nie zdoła wybudzić się całkowicie, jeśli to rzeczywiście był sen, wizja albo zaprogramowana halucynacja. Może kiedyś oni – czyli kto, Hyalens? – go wybudzą. Jeżeli w ogóle można to zrobić.

Powoli wszedł do środka. Trzymając się ściany, szedł w całkowitej ciemności tak długo, aż dotarł do końca prowadzącej w dół platformy. Na stacji panował nieprzenikniony mrok. Marcin nie wiedział, czego tam szukał – bez latarki, bez jakiegokolwiek wskazówki, dokąd iść. Usiadł na ziemi i przyłożył dłonie do skroni. Głowa znowu bolała.

Nagle ujrzał światło. Delikatne, sączyło się gdzieś z prawej strony. Wstał i ostrożnie poszedł w tamtym kierunku, coraz wyraźniej dostrzegając wyjście z tunelu. Daleko w głębi widać było ciemną, szczupłą sylwetkę. Programista ostrożnie ruszył w tamtą stronę. Miał zawroty głowy, a grunt pod stopami wydawał mu się miękki i niepewny. Wydawało mu się, że zaczął słyszeć rytmiczny szmer, choć próbował złożyć to na karb przemęczenia i ubocznych skutków niedawnych halucynacji.

Naprzeciwko zobaczył wysokiego człowieka ubranego w przemoczoną koszulę. Mężczyznę o blisko osadzonych oczach, wąskich ustach i bujnych, ciemnych włosach. Tego samego, którego widok tak przeraził go w biurze.

Siebie.

Uczynił krok do przodu, ale postać pozostała w miejscu. Nie była lustrzanym odbiciem, więc czym? Kolejną iluzją?

- Kim jesteś? – zapytał niepewnie.
- Granicą – odpowiedziała jego kopia.

Marcin podszedł bliżej. Patrzenie w swoje oczy wywoływało u niego niepokój – pozbawiona jednolitego oparcia propriocepcja nie funkcjonowała prawidłowo. Efektem były zawroty głowy. Cieszył się, że postać nie wykonuje zbyt wielu ruchów.

- Granicą czego?

Odpowiedział mu śmiech. Marcin kątem oka dostrzegł na ścianach tunelu wydłużone, poruszające się wolno cienie. Wstrząsnął nim dreszcz.

- Jestem chorobą i wyzwoleniem.

Postać odwróciła się na pięcie i zaczęła uciekać w głąb tunelu. Marcin rzucił się w po-goń, co chwilę potykając się i obijając o ściany. Chichot niósł się po nieczynnej stacji, zwielokrotniany echem. Brzmiał jak złośliwy chór.

W końcu programista upadł na ziemię. Nie mógł złapać oddechu – choć był pewien, że znajduje się we wnętrzu własnej wizji, symulacja ciała reagowała tak jak prawdziwy organizm. Marcin rozejrzał się. Cienie pelzły

ostrożnie w jego stronę: pająkowate kształty obwążujące potencjalną ofiarę.

- Jestem pająkiem.

Marcin walczył z narastającą paniką. Śmiech pająka nagle ucichł i mężczyzna słyszał dobiegające ze wszystkich stron szelesty. Przyłożył dłoń do skroni, próbując się skoncentrować. Za wiele rzeczy działo się naraz, zbyt dużo zmieniło się w jego postrzeganiu rzeczywistości w ciągu ostatniej doby. Jeśli to w ogóle była doba, jeśli czas płynął tu tak samo, jak na zewnątrz.

„Właściwie „tu”, czyli gdzie? I co znaczą „na zewnątrz”?”

- Jestem zniewoleniem i wyzwoleniem.

Czy on nie mógł przestać mówić takich dziwnych bzdur? „To siedzi w mojej głowie”, przekonywał się Marcin. „Sam do siebie gadam bzdury. A może to efekt wirusa?”

Postać znów pojawiła się w polu widzenia. Stała nad programistą i patrzyła z nieodgadzionym wyrazem twarzy. Leżący spojrzął jej prosto w oczy.

- No więc jesteś pająkiem, wyzwoleniem, chorobą i czym tam jeszcze. Możesz mnie stąd wydestać? Mam już dosyć tej zabawy. Chciałbym wreszcie wrócić do rzeczywistości.

Pająk nerwowo pociągnął nosem. „Ja faktycznie mam taki tik”, pomyślał Marcin. Paskudnie to wyglądało. Chciał jeszcze o coś zapytać, ale rozmówca powstrzymał go gestem.

- Rzeczywistość to nie jest dobre miejsce.

- A tu jest dobrze? – Zabawne. Jako że mógł porozmawiać ze swoim sobowtórem, odzyskał nieco pewności siebie. Nawet pełnzące po ścianach cienie zatrzymały się jakby w oczekiwaniu. – Nie można się stąd wydestać?

- Można. Wirus zamykał przejście, ale on już zjada sam siebie. Pokonał go.

- My?

Pająk znowu się rozpromienił. *Hm, jestem całkiem przystojny*, pomyślał Marcin i mimo-wolnie odwzajemnił uśmiech.

- Ty. Ja.

- Czyli wirus trzymał mnie we wnętrzu własnej głowy, a teraz mogę wrócić do rzeczywistości. A to tu, teraz? Gdzie jesteście? I właściwie dlaczego nic o tym nie wiem?

- Program psychiatryczny – powiedział pająk. – To ja stanowię naszą pamięć.

- Super – mruknął Marcin. „Program psychiatryczny. Czyli jednak jestem czubkiem”. – A więc leczymy się. A na co?

Pająk pokręcił głową.

- Uciekamy – rzucił i znów pobiegł w głąb korytarza.

- Zaczekaj! – krzyknął Marcin, próbując dogonić sobowtóra. Cienie ruszyły za nim, w ciszy tunelu znów rozległ się rytmiczny dźwięk. Programista biegł najszybciej, jak mógł, jednak sylwetka pająka szybko znikła mu z oczu. Nie miał szans go dogonić.

Korytarz urwał się nagle. Marcin znalazł się w znajomym pomieszczeniu o zielonych ścianach. Na łóżku leżał blady, chudy mężczyzna. Programista spojrzał na jego twarz i zobaczył, że leży tam pająk-sobowtór.

Że pogrążonym w śpiączce człowiekiem jest on sam.

\*

- Budzi się... doktorze, on chyba się budzi!

\*

Spróbował wstać, ale nie był w stanie się poruszyć.

- Spokojnie – powiedział pająk. Już nie miał jego twarzy, teraz był otyłym mężczyzną w średnim wieku. Uśmiechał się łagodnie.

- Gdzie jesteś? To tu miałaś mnie zabrać? – Marcin rozejrzał się zdziwiony. Sala była

niewielka, o ścianach w kolorze kojącej zieleni. Brakowało w niej wallnitorów i ani pająk, ani on nie nosili na nadgarstkach wirtualnych zegarków. Wszystko było takie samo jak w wizji.

- Tak, to tutaj – zgodził się mężczyzna. Mówił spokojnie i powoli, jakby zwracał się do dziecka.

- I co teraz? – spytał Marcin. – Przeszliśmy z tunelu metra w takie miejsce? Dlaczego?

Na twarzy pająka malowało się zaskoczenie. By je ukryć, podsunął Marcinowi kubek z kawą i uśmiechnął się zachęcająco. Programista nie dał się jednak zbyć.

- To nie tu mieliśmy trafić, prawda? Wciąż mam soczewki, chociaż wydaje mi się, że tak nie jest. To manipulacja Hyalens, część oryginalnego programu czy po prostu twoje kłamstwo?

Pająk położył rękę na dłoni Marcina w uspokajającym geście.

- Nikt nie miał tu trafić – oznajmił. – Po prostu czasem tak się już zdarza. Nie przejmuj się tym na razie, będziemy rozmawiać o tych soczewkach i o czym jeszcze będziesz chciał. Na razie odpoczywaj.

Marcin nie patrzył już na niego. Zdezorientowany, wlepił wzrok w róg pokoju, gdzie łagodnie kołysała się pajęczyna. Musiał stąd wyjść. To jakiś ślepy zaulek umysłu, żart, nieporozumienie. Musiał znowu wpaść w trans, przejść na kolejny poziom wizji.

Programista upił łyk kawy o paskudnym, ziemistym posmaku i położył dłonie na gładkim oparciu łóżka.

Jego palce wystukiwały znajomy rytm.

REKLAMA



KONWENT FANTASTYKI

16-18.06.2017

OSTRÓDA EXPO MAZURY

[www.fantasmazuria.pl](http://www.fantasmazuria.pl)

# Sprawa Wekmana

Katarzyna Rupiewicz

– Rikard Nowak – przeczytała rekruterka, przesuając pulchnymi palcami po papertonie.

Skinąłem głową. Pamiętałem czasy, gdy na początku rozmowy o pracę starałem się nawiązać kontakt wzrokowy, a moje usta rozciągały się w sympatycznym uśmiechu. Dawno temu, kiedy najsłabszym punktem CV było to dziwne imię.

– Ostatni etap studiów ukończony przed czasem już w wieku dwudziestu siedmiu lat, potem roczny staż w Stanach i kariera w Segati Corporation... – czytała dalej kobieta.

Trzymała papertona pod takim kątem, że nie widziałem, z której bazy ściągnęła moje dane. Nie miało to jednak znaczenia.

Po drugiej stronie biurka siedzieli jeszcze dwaj mężczyźni, ale chyba nie słuchali monotonnie recytowanej listy stanowisk i certyfikatów. Podobnie jak większość osób, starali się na mnie nie gapić, więc ich wzrok błędził po całym pomieszczeniu, omijając wychudzoną postać na tle wielkiego fotela.

– Trzy lata temu awansowałeś na managera obszaru Środkowej Europy i wkrótce po tym odszedłeś z firmy – powiedziała kobieta, po raz pierwszy patrząc mi w oczy.

Nie musiałem się tłumaczyć, bo żadne pytanie nie zawisło w powietrzu. Wystarczył im jeden rzut oka na kościste palce i sztruksową marynarkę, nieudolnie skrywającą wyniszczoną chorobą ciało. Doskonale wiedzieli, co się ze mną działo przez te trzy lata. Chociaż nie. Biorąc pod uwagę ich pulchne policzki i z trudem maskowaną odrazę, nawet nie potrafili sobie wyobrazić jednego dnia z TFH.

– Obawiam się, że oferowane przez nas stanowisko wymaga niższych kompetencji niż twoje – powiedziała rekruterka.

– Uważam, że ta praca pozwoli mi lepiej poznać firmę i udowodnić swoją przydatność – odpowiedziałem automatycznie jak interaktywna zabawka, której zaprogramowano gotowe kwestie.

– W takim razie witamy w zespole. Możesz zacząć w poniedziałek o ósmej? – Kobieta uśmiechnęła się sztucznie.

Otworzyłem usta i przez dłuższą chwilę szukałem dawno zapomnianych słów. Na tę okoliczność nie przygotowałem żadnej odpowiedzi, bo sytuacja nie miała prawa się wydarzyć. Miałem wrażenie, że podłoga pod moimi stopami zaczyna się rozpadać, jakby

całe to biuro zbudowane było z konwencjonalnych zdań, które powinny następować jedno po drugim.

Brałem udział w rekrutacjach, bo taki był warunek otrzymywania rządowego zasiłku. Na szczęście, nikt mi nie kazał wierzyć w znalezienie pracy.

– Dziękuję – wyjąkałem.

Nie pamiętam, czy się pożegnałem i kiedy wyszedłem z biura. Widok szerokiego korytarza, zaaranżowanego na poczekalnję, był pierwszym obrazem, jaki przebił się do świadomości.

Siedzący pod ścianą ludzie nerwowo zerkali na moje buty, jakby patrzenie na chorego było nietaktem. Ci bardziej ambitni udawali, że czytają coś na kindle'ach, inni grali na multifonach. Kobiety poprawiały bluzki opinające wałeczki tłuszczu, a mężczyźni próbowali połuznić kołnierzyki koszul boleśnie wrzynające się w nalanę szyję. Byli zdrowi. Bez względu na to, ile punktów udało im się zgromadzić w systemach rekrutacyjnych, nie miałem z nimi szans.

Nie powinienem mieć.

Pracowałem w korporacjach dostatecznie długo, by odróżniać losowe zdarzenia od starannie skalkulowanych decyzji. Zatrudnienie osoby z TFH nie mogło być przypadkiem.

\*

– Rikard Nowak?

Stałem przy ladzie recepcji, nerwowo mnąc rękaw koszuli. Niemal z niecierpliwością czekałem, aż ktoś mi powie, że chyba się przesłyszałem i wcale nie zaczynam tu dzisiaj pracy. Tymczasem elegancka sekretarka patrzyła na mnie spokojnie. No właśnie: „na mnie”, a nie przeze mnie albo gdzieś nade mną.

Drukarka bezgłośnie wypuła naklejkę na identyfikator i już po chwili zjawiła się moja nowa managerka. Kobieta nie mogła mnie niczym zaskoczyć. W podartych dzinsach i białej bluzeczce zaprasowanej na kant wyglądała jak wzór team leadera na zdjęciu w e-booku. Przywitała mnie tym charakterystycznym

uśmiechem, który jednocześnie potrafił wyglądać na szczery i sztuczny.

W dawnym życiu spotkałem setki takich jak ona, a jednak nie potrafiłem ukryć zdziwienia, bo managerka wyciągnęła do mnie rękę na powitanie. Kiedy z ociąganiem podałem jej dłoń, uściśnęła ją lekko, ale pewnie. Zupełnie tak jak uczyły tego korporacyjne filmiki.

Zdrowi ludzie zwykle nie chcieli mnie dotykać. Nawet jeśli niektórzy się do tego zmuszali, to wstręt, niepewność albo strach malowały się na ich twarzach. Tymczasem młodziotka przełożona zachowywała się tak, jakby nie dostrzegała żadnej różnicy pomiędzy mną a normalną osobą.

– Monika Romankowa – przedstawiła się.

Potem obróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku windy dynamicznym krokiem osoby, która zawsze się spieszy lub przynajmniej próbuje sprawiać takie wrażenie. Zdążyłem ją dogonić w samą porę, by zobaczyć, że dziewczyna wybiera dwudzieste trzecie piętro i przykłada identyfikator do skanera.

W ostatniej chwili weszły za nami do windy dwie osoby z aktywnymi projektorami, które wyświetlały slajdy prezentacji jakieś trzydzieści centymetrów od ich oczu. W większości firm obowiązywał zakaz włączania urządzeń po odejściu od biurka. Oficjalnie ze względu na przepisy BHP, które słusznie przewidywały, że wpatrzeni w projekcje pracownicy potkną się o wszystko, co stanie na ich drodze, lub rozwałą nos na pierwszych szklanych drzwiach. Nieoficjalnie chodziło o to, że półprzezroczyste dane wciąż były czytelne dla każdego postronnego obserwatora.

To jednak była druga refleksja, która pojawiła się w moim umyśle, odgrzebana gdzieś z dawnych czasów. Pierwsze, o czym pomyślałem to to, że ludzie ci nie zdziwili się ani nie cofnęli na widok chorego. Pewnie mnie nie zauważyli. W przeciwnym razie zdecydowałiby się poczekać na następną windę.

Gdy tylko tamci wysiedli, Monika uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Nie musisz się zastanawiać, kiedy ktoś wsiądzie za tobą do windy – powiedziała. – Na każdym piętrze są dodatkowe zabezpieczenia. Dopiero przez tamte drzwi nie powinieneś nigogo przepuszczać.

– Wolno im chodzić z włączonym projekto-rem? – spytałem, jakbym bał się, że dziewczyna zgadnie, o czym naprawdę pomyślałem.

– Aaa... – Zrozumiała po dłuższej chwili. – Ta aktualizacja weszła dwa lata temu. Autopilot skanuje twoje otoczenie, kiedy się przemieszczasz, i informuje o zbliżających się przeszkodach.

Z trudem ukryła zaskoczenie, jakbym wyglądał na osobę, która jest na bieżąco z podobnymi nowinkami. Myślałem, że wystarczy jeden rzut oka na moje ciuchy, by stało się jasne, że brakuje mi pieniędzy na bardziej podstawowe produkty niż drogie gadżety.

Wyszliśmy z windy i zgodnie z zapowiedzią Moniki musieliśmy potwierdzić swoją tożsamość przy następnych drzwiach. Do ostatniej chwili podejrzewałem, że tutaj system już mnie nie wpuści, a cała ta farsa okaże się kiepskim dowcipem. Ledwie zapanowałem nad odruchem, by odwrócić się, nim skaner zamrugał zielonym światłem na widok mojego identyfikatora, a szklane drzwi rozsunęły się bezgłośnie.

– Witamy na pokładzie – powiedziała z uśmiechem Romankowa.

Najwyraźniej uznała moje wahanie za objaw „stresu dnia pierwszego”, jak psycholodzy zwykli określać początek nowej pracy. Wiedziałem, że dziewczyna niewiele mówi, bo „nowy” nie zapamięta osiemdziesięciu procent przekazanych mu dzisiaj informacji. Wcześniej natomiast nie zastanawiałem się, na ile ta teoria odnosi się do chorych na TFH – ludzi, którzy pogodzili się z tym, że pierwszego dnia już nigdy nie będzie.

– Kuchnia – rzuciła krótko Monika, prowadząc mnie do pierwszego pomieszczenia.

Choć nie podejrzewałem jej o podobną złośliwość, brzmiało to jak wyjątkowo okrutny żart.

– Gdy już zsynchronizujesz swojego multifona z lodówką, pamiętaj, żeby odznaczać wszystkie rzeczy, które tam wkładasz i stamtąd wyciągasz – dodała.

Zupełnie jakby nie wiedziała, że nie przyniosę żadnego jedzenia do pracy. Na koniec jeszcze otworzyła lodówkę. Widocznie uznała to za niezbędny element oprowadzania osoby dotkniętej ciężką nietolerancją pokarmową.

Chciałem ostentacyjnie odwrócić wzrok, nim spostrzegłem, że na jednej z półek stoi kilka koktajli. Nie wiedziałem, czy bardziej zaskoczyła mnie obecność specyfiku w korporacyjnej lodówce, czy wstyd, jaki poczułem. Chyba nawet nie zdawałem sobie sprawy, że uważam koktajl za coś intymnego, czego nie powinno się pokazywać zdrowym ludziom. Maż wprawdzie była bezbarwna, ale śmierdziała padliną tak, że trudno było nie pomyśleć o zielonej pożywce. Koncerny farmaceutyczne dorobiły się fortuny na produkcji substancji, bez której miliony osób na całym świecie nie przeżyłyby kolejnego dnia, więc dużo inwestowały w zmianę tego wizerunku. Sam miałem okazję zwiedzać ich fabrykę i zobaczyć, że była to absolutnie czysta – nie skażona jakąkolwiek domieszką substancji organicznych – chemia. Zapach wzbudzał jednak określone skojarzenia, idealnie pasujące do stereotypowego obrazu cierpiących na TFH.

Młoda team leaderka nie tłumaczyła niczego więcej. Minęła mnie i wyszła z kuchni, nie wymuszając kontaktu wzrokowego. Najwyraźniej w firmie pracowało więcej chorych osób, a ona nie robiła podobnej prezentacji po raz pierwszy.

Podeszła do kolejnych szklanych drzwi.

– Monika Romankowa i gość – powiedziała do systemu rozpoznawania mowy. – Kod jeden siedem osiem dziewięć.

Przeście otworzyło się bezgłośnie. Nie było nawet zwyczajowego potwierdzenia wypowiedzianego przesadnie mechanicznym głosem.



Dołączyłem szybko do dziewczyny, a moim oczom ukazały się niekończące rzędy biur. Tak jak przypuszczałem, przy większości z nich siedziały osoby dotknięte TFH. W zasadzie bardziej zaskoczył mnie teraz widok zdrowych, którzy musieli pracować z nimi w jednym pomieszczeniu.

Gdybym otrzymał zadanie utworzenia podobnej struktury, umieściłbym tu wyłącznie chorych i przydzielił im normalnego team leadera jako pośrednika pomiędzy uporządkowanym światem korporacji a odciętym podwójnymi zabezpieczeniami piętrem dwudziestym trzecim. Oczywiście zrobiłbym tak kiedyś, w dawnym życiu, bo dzisiaj nikt by mnie nie poprosił o podjęcie decyzji.

– To będzie twoje biurko – oświadczyła niemal uroczyście Monika. – Sandra wszystko ci wytłumaczy.

Wskazała kobietę koło pięćdziesiątki z wyraźnie zarysowanym drugim podbródkiem. Następnie wymamrotała urywane przeprosiny, które miały pokazać, że już poświęciła nowemu pracownikowi zbyt wiele cennego dla firmy czasu.

Ucieszyłem się, że wreszcie mogę usiąść. Musiałem oszczędzać siły, bo straciłem ich już zdecydowanie za dużo. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio spędziłem cały dzień poza domem lub szpitalem albo kiedy nosiłem o tej godzinie coś innego niż piżamę.

– Sandra – powiedziała kobieta, wyciągając dłoń.

– Rikard – odparłem dopiero po dłuższej chwili.

– Nie patrz tak na mnie. – Sandra roześmiała się. – Moja córka też jest chora. Nienawidzę, kiedy ludzie starają się za wszelką cenę uniknąć dotknięcia jej.

Nawet ci, którzy nie obawiali się zakażenia, nie lubili kontaktów z nami. Niedożywienie to nie tylko wystające kości, ale też niedobory witamin, obniżona odporność, a w konsekwencji wirusy i choroby skóry. W pakiecie

do nietolerancji pokarmowej wielu z nas doświadczało łojotok, grzybicę, szkorbut, a czasem także gruźlicę. Nie miałem potrzeby zgadzać się z Sandrą. Bardziej interesowała mnie informacja, że zdrowi są tak naprawdę rodzinami osób dotkniętych TFH. To miało sens.

– Czym się tu zajmujemy? – spytałem.

Dawno nieużywane trybiki w mojej głowie zaczęły się powoli kręcić, choć myślałem, że już dawno się rozpadły.

Nie bez powodu w poprzednim życiu zaszedłem całkiem wysoko. Miałem dar dostrzegania cieniutkich sznureczków, które kryły się za każdą decyzją – od wyboru modelu filiżanek do biura po planowanie strategii na najbliższy rok. Podobnie jak zakaz poruszania się z włączonym projektorem – wszystko miało jakiś powód. Co zatem mogło się kryć za utworzeniem zespołu z TFH?

– Avisem – odparła Sandra, jakby to słowo miało mi wszystko wytłumaczyć. – Nowy system badania opinii konsumentów. Zdania nagrane przez systemy monitoringu, multifony i laptopy są oceniane przez algorytm jako pozytywny lub negatywny stosunek do tematu. Program dopiero się dociera, więc odsłuchujemy dwadzieścia procent zarejestrowanych wypowiedzi i oznaczamy ich nacechowanie emocjonalne. Komputer porównuje to potem z wyborem Avisy i rejestruje odsetek błędów, w celu wyeliminowania ich w przyszłości – bez zajknięcia wyrecytowała definicję z jakiegoś szkolenia albo oferty dla klientów.

Włączyłem swój desktop i odczekałem kilka sekund, aż niskobudżetowy model raczy się uruchomić. Na środku biurka pojawiły się trzy dotykowe ikony: zielona uśmiechnięta buzia, czerwona smutna i biała z ustami w kształcie poziomej kreski. Nieco poniżej przyciski jak w odtwarzaczu audio: „poprzedni”, „następny”, „start”, „stop”, „powtórz”.

Sandra przyglądała mi się uważnie, jakby czekała na możliwość kontynuowania

szkolenia. Nie potrzebowalem jednak dalszych wskazówek. Właściwie nie wyobrażalem sobie osoby, która nie domyśliłaby się, jak obsługiwać ten system. Aktywowałem implanty słuchawek wszczepione jeszcze w czasach, gdy było mnie na nie stać. Automatycznie podłączyły się do desktopu. Nacisnąłem „Next”.

„Zajebioza, stary! Lepsze niż prawdziwa dupa” – wykrzyknął jakiś mężczyzna.

Może to i dobrze, że nie wiedziałem, o co chodzi.

Uśmiechnięta buzia. Next.

Słuchanie przez wiele godzin pojedynczych zdań – wyrwanych z kontekstu rozmowy, wypowiedzianych z różnym akcentem, zagłuszanych hałasem ulicy lub gwarem galerii handlowych – musiało być pracą, która młodym ludziom śniła się w koszmarach.

Już po kilku dniach zauważyłem, że zdaniem moich nowych kolegów, firma zatrudnia chorych, bo nikt inny by tu za długo nie wytrzymał. My nie mogliśmy wybrzydząć. Jako wyrzutki społeczne nie mieliśmy też komu opowiedzieć o swoich obowiązkach. Prywatność wprawdzie była mitem, ale takim, którego nie wypadało oficjalnie obalać.

Czułem jednak, że nie dlatego nas zatrudnili. Korporacja nie zatrzymywała się na powierzchniowych kalkulacjach, a przynajmniej nie w tak kluczowych kwestiach. Musiała dostrzegać trendy, które dla innych jeszcze nie były widoczne. Pierwsza firma zatrudniająca chorych na TFH miała widocznie powody, by przypuszczać, że dyskryminacja niedługo się skończy. Fakt, że jeden z produktów tego przedsiębiorstwa badał siedemdziesiąt procent wszystkich – wypowiedzianych na głos – opinii, dawał nadzieję na odmianę, w którą dotychczas nie wierzyłem.

\*

– Rikard Nowak – powiedziałem powoli do systemu rozpoznawania mowy. – Kod jeden, siedem, osiem, dziewięć.

Szklane drzwi rozsunęły się, wpuszczając mnie do niemal pustego o świecie open space’u. Dolczyłem się raptem trzech osób odciętych od świata staromodnymi modelami zewnętrznych słuchawek.

Usiadłem przy swoim biurku i również zamknąłem się w brzęczeniu roju urywanych komentarzy. Nie wiem na jak długo, bo zajęcie było tak głupie, że nawet czas nie płynął ani wolno, ani szybko, tylko raz się włókł niemiłosiernie, by innym razem niespodziewanie przeskoczyć kilka godzin.

Drgnąłem, gdy ktoś położył mi rękę na ramieniu. Spojrzałem zaskoczony na kolegę z biurka za moimi plecami. Chłopak już wcześniej zwrócił moją uwagę, bo wyraźnie nie pasował do innych. Zadbany, jeśli można tak powiedzieć o kimś z TFH, dobrze ubrany, używał najnowszych modeli modnych gadżetów. Wyglądał bardzo młodo i chociaż już był naturalnie chudy, jego skóra i włosy zachowały jeszcze zdrowy blask. Musiał być w pierwszym stadium, dziecko dobrze postawionych rodziców, którzy wierzą, że lada chwila nowatorska terapia pozwoli im ocalić syna.

Rozumiałem, dlaczego tacy jak on wyglądają na początku, jakby choroba była tymczasową niegodnością, wyzwaniem, któremu powinni stawiać czoła. Widziałem też już, jak gasną ich oczy, gdy zaczynają rozumieć, że nie powstał żaden cudowny lek. Choćby nie wiem jak się starali i ile byli w stanie zapłacić, TFH równało wszystkich do poziomu dna.

Jedno, czego do tej pory nie mogłem rozgryźć, to, co młody robił w takim miejscu. Nie potrzebował rządowego zasiłku, żeby opłacić czynsz w komunalnym mieszkaniu. Czyżby chciał zdobyć pierwsze doświadczenie zawodowe? Aż tak mocno wierzył, że istnieje jakieś „później”?

– Słyszałeś? – spytał szeptem. – Podobno chorzy znikają.

– Taaa, z każdym dniem – rzuciłem z przekąsem. TFH przyciągało różne plotki

i absurdalne historie. Tak jakby prawda nie była dostatecznie przerażająca.

– Mój ojciec ma kontakty – zachnął się. – Na razie to ukrywają, bo relacje ze zdrowymi i tak są już zbyt napięte.

Zmierzyłem go wzrokiem, bo takiego absurdu nie spodziewałbym się usłyszeć. Cokolwiek by nie mówić o naszej chorobie, fundowała wszystkim przyspieszony kurs dorastania. Tymczasem mój kolega jakoś dał radę się uchować. Jego oczy błyszczały młodzieńczym zapalem i przez krótką chwilę bardzo mu zazdrościłem tego blasku.

– Więc to zdrowi polują na chorych? – spytałem, a apatia pomogła ukryć kpinę w moim głosie.

– No tak, to znaczy nie wiem. – Zmieszał się. – Chorzy na chorych by przecież nie polowali, bo po co? No i ja w ogóle nie powiedziałem, że polują...

– Tak, jasne – mruknąłem. – Czemu mieliby to ukrywać?

– Nie chcą powtórki – wyjaśnił konspiracyjnym szeptem. – No wiesz, takiej sprawy Wekmana, tylko że na odwrót.

– Aaaa, to wszystko tłumaczy – podsumowałem i odwróciłem się plecami do dzieciaka.

– Poważnie mówię. Nawet tutaj był taki jeden, co... – Zdążyłem jeszcze usłyszeć, nim aktywowałem implanty słuchawek.

„No i? Apple’owski multifon miał już te funkcje dwa lata temu” – smutna buzia. Next.

„Rozumiem, że te kolory są modne w sezonie, ale naprawdę potrzebuję zieloną!” – smutna buzia. Next.

„Dobre, poza tym, że smakuje jak kurczak, dobre” – wesoła buzia. Next.

„Widziałeś ją?! Normalnie żywy trup. Powinni ich gdzieś zamykać, gdy już zaczynają tak wyglądać” – Zamknąłem oczy, jakbym nie mógł znieść widoku własnej dłoni na infantylnej ikonce – smutna buzia – jedyny komentarz, na jaki było mnie stać.

Z opóźnieniem zauważyłem, że ktoś stoi

obok mnie. Monika zatrzymała się przy moim biurku i wyraz niepewności wciąż malował się na jej twarzy, jakby jeszcze nie zdecydowała, czy to właśnie chciała zrobić.

– Rikard, mogę cię prosić na chwilę? – Skinąłem głową i poczłapałem za nią do biura ze szklanymi ścianami na końcu sali.

Szła jeszcze szybciej niż zwykle i tym razem nie byłem w stanie za nią nadążyć. Opuściłem. Jedną z wielu rzeczy, do których musisz się przyzwyczaić na początku choroby, to poruszanie się swoim tempem.

– Jak się czujesz? – spytała, nim zdążyłem usiąść naprzeciw niej.

– Od dwóch lat nie najlepiej – odparłem.

Zaśmiała się. Nie spodziewałem się tego po zdrowej osobie.

– Dobrze ci się u nas pracuje? – kontynuowała schematyczną konwersację z „nowym”.

– Dobrze mi się pracuje – powiedziałem. – Mogę zadać ci osobiste pytanie?

Czułem, że to będzie krótka rozmowa i gdy tylko Monika uzna ją za zakończoną, zacznie śpieszyć się w innym kierunku albo do innego celu. Dziewczyna nie okazała zresztą zdziwienia, choć przez krótką chwilę zarumieniła się. Pamiętałem, że kiedyś, w czasach, gdy jeszcze obecność kobiety mogła przyspieszyć mój puls, nazwałbym ten gest uroczym.

– Jasne, wal śmiało. – Sprawnie wróciła do przyjętej roli luzackiego menedżera.

– Ktoś z twojej rodziny jest chory?

– Nie – odparła, uśmiechając się z lekkim zakłopotaniem.

– Więc dlaczego ten dział? – spytałem wprost.

– Nikt tutaj nie miał wyboru – przyznała smutno ze szczerością, której nigdy bym się po niej nie spodziewał.

\*

– Wekman! – krzyknął jeden z wyrostków.

Przyspieszyłem kroku. Latem nie musiałem się obawiać powrotów z pracy, ale pod koniec jesieni godzina siedemnasta migrowała

z wczesnego popołudnia na niezbyt późny wieczór. Chociaż szedłem w obszernym płaszczu i kapturze, grupa gówniarzy rozpoznała, z kim ma do czynienia.

– Stój szkielecie! – pisał dzieciak w trakcie mutacji.

Usłyszałem własny świszczący oddech. Nie miałem tyle siły, by biec. Ciało już zaczynało się buntować przeciwko szybkiemu marszowi.

Dźwięk rzuconego kamienia ma w sobie coś niezwykłego. Nawet osoba, która nigdy wcześniej go nie słyszała, wie, kiedy coś leci w jej kierunku. Pierwszy spadł tuż obok moich stóp. Drugi trafił gdzieś pod łopatką. Ani fala bólu, ani wywołane wysiłkiem mroczone przed oczami nie sprawiły, że zwolniłem. Dopadłem do swojej klatki i przyłożyłem multifon do czytelnika. Choć nie słyszałem, żeby chłopcy za mną biegli, wpadłem do środka, jakby gonił mnie cały tłum bezwzględnych nastolatków.

Dopiero na schodach zawroty głowy rzuciły mnie na barierkę. Objąłem ją mocno – chociaż kręciła się jak wszystko wokół – i opadłem ciężko na pierwszy stopień.

Serce wciąż pędziło jak oszalałe, gdy drzwi otworzyły się z cichym buczeniem. Na szczęście, to nie byli oni. Do środka weszła sąsiadka z naprzeciwka i objęła mnie przerażonym spojrzeniem – tak krótkim, że ledwie zdołałem je pochwycić, nim uciekło.

Przysiągłbym, że kobieta w ogóle mnie nie zauważyła, gdyby nie starała się ominąć miejsca, w którym siedziałem, jak najszerszym łukiem. Czy ja sam postąpiłbym inaczej w poprzednim życiu, kiedy świat zdawał się leżeć u moich stóp?

Tak.

Gdybym znalazł się w jednym pomieszczeniu z chorym dyszącym ciężko na podłodze, wezwałbym odpowiednie służby, żeby go usunęli.

Siedziałem na schodach jakieś dwadzieścia minut. Szare ściany dookoła ograniczyły swoje chaotyczne ruchy do łagodnego falowania. Nie

jadłem od rana, więc uznałem, że lepiej i tak już nie będzie. Trzymając się kurczowo poręczy, wspiąłem się do mieszkania.

Zamknąłem za sobą drzwi i nie ściągając butów, dowlokłem się do aneksu wlepionego w ścianę niebieskimi płytkami jak kleks, nieodpasowany do reszty pomieszczenia.

Tak naprawdę nie potrzebowałem kuchni, ale musiałoby mi się chcieć ją usunąć. Wyjąłem koktajl z lodówki. Nigdy nie zabierałem go do pracy, choć wielu kolegów nie miało z tym problemu. Czasem nawet siadali razem w ramach jakiegoś żalosego odpowiednika lunchu.

Ku mojemu zdziwieniu Monika przychodziła wtedy do nich, nie zważając na odór substancji. Musiałem przyznać, że była naprawdę dobra w nawiązywaniu relacji z chorymi. Nigdy nie przytapałem jej na chłapięciu czegoś nieodpowiedniego. Większość zdrowych pacjentów, żeby nie mówić o jedzeniu, ale niewielu rozumie, jak bardzo nasze życie różni się od ich rzeczywistości. Zwyczajne – zdawałoby się – uwagi o uprawianiu sportu, chodzeniu na randki albo planach na przyszłość kończyły się zwykle krępującą ciszą.

Otworzyłem jednorazowy kubeczek i starałem się pić jak najmniejszymi łykami. Prawie już nie czułem smrodu, którego zdrowi ludzie nie mogli wytrzymać. Być może też bym nie potrafił, gdybym nie musiał się przyzwyczaić jak każdy chory. Koktajl był jedyną substancją, którą mój organizm przyswajał.

Ból pleców rozlał się nową falą, gdy pochyliłem się, by wyrzucić puste opakowanie. Jak mogłem pomyśleć, że cokolwiek się zmieni za mojego życia? Zawsze znajdzie się ktoś, kto rzuci we mnie kamieniem albo nazwie Wekmanem. Zawsze takim jak ja będzie trudniej dostać pracę, kupić ubranie, znaleźć... kogośkolwiek, kto zechce z nimi rozmawiać.

Czasami zastanawiałem się, jakby to wyglądało, gdyby więcej osób chorowało, a zdrowi i silni ludzie musieli liczyć się z tym, że kiedyś

znajdą się na naszym miejscu. Czy wtedy częściej zastanawialiby się nad tym, jak nas traktują? A może nienawidziliby nas jeszcze bardziej?

Zdjąłem buty i ostrożnie położyłem się na brzuchu w rozgrzebanym łóżku. Miałem nadzieję, że żadna kość nie pękła. Ciała chorych były słabsze. Koktajl przedłużał naszą egzystencję, ale nie mógł dostarczać wszystkich składników odżywczych. Substancja przyswajalna dla osób z całkowitą nietolerancją pokarmową i tak była największym sukcesem współczesnej nauki.

Pamiętałem z dzieciństwa niekończące się kampanie na rzecz walki z głodem na świecie. Wszyscy zawsze podejrzewali, że przy tym tempie rozwoju ludzkość będzie zbyt liczna, by ją wyżywić, i pewnie dlatego nikt się nie zdziwił, gdy do tego doszło. Temat głodu bardzo szybko stał się naturalną częścią europejskiej kultury, podobnie jak kiedyś ekologia. Problem, który istniał gdzieś na świecie, i walczyliśmy z nim w trosce o przyszłe pokolenia.

Nie przypominałem sobie oczywiście ani jednej sytuacji, kiedy w domu zabrakło jedzenia. Wprost przeciwnie, matka wiecznie kupowała za dużo. Nieustannie wyrzucaliśmy jakieś rzeczy, które, pomimo rocznego terminu ważności, zapadziały się na dnie szafki.

Jako dorosły człowiek na ogół jadałem na mieście, więc marnotrawstwo żywności ograniczyłem do oddawania niedojedzonych porcji w knajpach. Ludziom wokół mnie i tak zbywało jedzenia. Głodnych widywałem tylko w Internecie.

Pojawienie się TFH zdawało się być najokrutniejszą ironią w dziejach współczesnej cywilizacji. *Total Food Hypersensitivity* lub, jak mówili chorzy, „This Fucking Horror” rozwiązało problem głodu, wykluczając coraz większą część ludzkości z konkurencji o żywność. Skutkiem ubocznym rozprzestrzeniania się choroby była również moda na otyłość i drastyczny spadek zachorowalności na anoreksję. Natura

wygrała z cywilizacją za cenę, której wcale nie chcieliśmy zapłacić.

W przeludnionej Azji i Afryce odnotowano najmniejszy odsetek zachorowań. W przeciwieństwie do wielkich epidemii ostatnich lat, całkowita nietolerancja pokarmowa wkroczyła od razu do bezpiecznego świata europejskich i amerykańskich miast. Ekolodzy krzyczeli, że to wina chemii w pożywieniu, niektórzy mówili o zanieczyszczeniu wody, nadmiarze antybiotyków, a nawet o wirusie uwolnionym z wojskowego laboratorium. Nauka nie potwierdziła żadnej wersji.

Pamiętałem jeszcze z czasów młodości eleganckich lekarzy, którzy spoglądali z niepokojeniem ze ściennego ekranu w salonie matki. Pierwsze przypadki TFH były śmiertelne. Próbowano różnych pokarmów, leków, żywienia dożylnego. Ludzie, z każdej strony otoczeni przez jedzenie, odkrywali nagle, że ich organizm nie przyswaja żadnej substancji. Większość żywności zwracali, a część niestrawionych cząsteczek dostawała się do ich krwiobiegu. Dopiero koktajl przyniósł jakiś przełom w sprawie, pozwalał przetrwać kilka lat więcej. Słowo „przeżyć” byłoby tu nie na miejscu.

Dla mnie tematy głodu i TFH były mniej więcej tak samo odległe. Mówiło się o nich tak jak o setkach innych rzeczy. Zapewne gdzieś istniały i kogoś dotyczyły. Nie obchodziły mnie ani mniej, ani bardziej niż innych zdrowych.

Pochodziłem z dobrego domu. Zacząłem naukę, kiedy miałem trzy lata, i skończyłem doktorat już w wieku dwudziestu siedmiu. Szybko zrobiłem karierę, a kiedy mogłem powiedzieć, że jestem królem życia, spadłem na samo dno jak w cikliwym amerykańskim filmie.

Nie wiedziałem, kiedy i jak się zaraziłem, ale mój przypadek niczym nie różnił się od setek opisów w Internecie. Najpierw osłabienie, zmęczenie, obniżona odporność. Później bóle brzucha, wzdęcia, biegunki, wymioty.

Na koniec wyrok.

Oczywiście zapamiętałem to wszystko zupełnie inaczej. Najgorsze miesiące mojego życia po latach rozpadły się na pojedyncze scenki.

Siedziałem nad nową prezentacją i chociaż był środek dnia, oczy mi się zamykały, a rozsypane słowa nie chciały układać się w zdania.

Urlop na Karaibach, oczywiście w pięciogwiazdkowym hotelu, z wynajętą na ten czas dziewczyną o nieskończone błękitnych oczach.

Kolejny dzień wymiotów, a potem kolacja w drogiej knajpie, bo byłem tak głodny, że nie chciałem się zastanawiać, jak to się skończy.

Lekarz wręczający skierowanie na badanie, kiedy człowiek jeszcze myśli, że to jakaś bzdura. Przecież mnie to na pewno nie dotyczy...

Czytałem już książki napisane przez chorych, którzy barwnie opisywali swój strach, ból i wewnętrzzną walkę. Utwierdziło mnie to tylko w przekonaniu, że mój osobisty dramat był po prostu banalny i nie pozostawiał miejsca na... No właśnie, na cokolwiek oprócz kolejnego dnia i kolejnej porcji koktajlu.

\*

– Rikard? Tak się cieszę, że zdecydowałaś się przyjść.

Z trudem zapanowałem nad odruchem cofnięcia się w drzwiach. Odkąd Monika zaprosiła mnie do siebie, nie przestawałem się zastanawiać nad prawdziwym celem tego spotkania. W pierwszej chwili pomyślałem, że naiwna dziewczyna chce bliżej poznać swoich pracowników, zgodnie z korporacyjną modą.

Oczywiście, większości managerów wspólne wyjście na pizzę z zespołem przychodzi nieco łatwiej, ale ktoś ambitny mógł robić dobrą minę do złej gry. Romankowa dostała najgorszy team, jaki można było sobie wyobrazić, ale jednocześnie miała okazję udowodnić, że poradzi sobie z najtrudniejszym zadaniem.

Cała moja teoria legła jednak w gruzach, gdy drzwi otworzyła kobieta w pełnym makiażu i ze starannie ułożonymi włosami, ubrana

tylko w koszulę, ledwie sięgającą do pól uda.

Cofnęła się, wpuszczając mnie do swojego mieszkania, a ja gorączkowo zastanawiałem się, czy czytałem kiedyś o dewiacji albo chorobie, która mogłaby popchnąć zdrowego człowieka w ramiona osoby dotkniętej TFH.

Rozejrzałem się z lekką obawą. Na szczęście łóżko pozostało taktownie ukryte w ścianie, światło nie było przytłumione, a wesoła muzyka nie wprowadzała romantycznej atmosfery. Monika zostawiła mnie w pokoju i przeszła do kuchni.

Właśnie, do kuchni – nie do przyklejonego gdzieś na doczepkę aneksu, a do pełnowymiarowego pomieszczenia, które nie pełniło żadnej innej funkcji. Zerkałem za nią ciekawie. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że ona gotuje. Dawno zapomniane odgłosy, przebijające się nieśmiało przez wesołą melodię, uderzyły mnie nagle z taką siłą, że cofnąłem się i zatrzymałem na czymś dziwnym.

To coś za mną, to był stół. Oczywiście widziałem w swoim życiu setki stołów, ale od dziecka żadnego w prywatnym mieszkaniu.

Nie mogłem już dłużej udawać, że nic się nie działo. Co innego zignorować strój Moniki, a co innego nie zwrócić uwagi na to, że blisko połowę powierzchni jej mieszkania zajmowała kuchnia i stół. Przypomniała mi się urwana opowieść o zniknięciu chorego z naszego działu i po raz pierwszy pomyślałem, że powinienem był zapytać, co się wtedy stało...

Zwariowałem chyba. Czy ja sobie właśnie wyobrażałem, że młoda managerka zabija albo porywa chorych? Przecież to nie miało najmniejszego sensu. Wolałem jednak nie wiedzieć, jakie było prawdziwe wyjaśnienie tej sytuacji.

Zastanawiałem się, czy nie przeprosić grzecznie i wyjść, gdy mój wzrok padł na papiery na blacie. Nie wyglądały jak przypadkiem pozostawiona koperta, lecz plik dokumentów ułożonych w taki sposób, bym je znalazł i nie

miał wątpliwości, czego dotyczą.

Data sprzed pięciu lat. U góry kartki napis „Monika Romankowa”, tuż obok czarno-biała twarz bez uśmiechu, bez makijażu, z zapadniętymi policzkami. Kobieta patrzyła ze zdjęcia wzrokiem matowym, pozbawionym nadziei, tym samym, który tak dobrze znałem z lustra.

Pod spodem ciąg kolumn, liczb, procentów. Wynik pozytywny. Wiedziałem to, nim doszedłem do ostatniej strony. Zbyt wiele razy oglądałem wyniki swojego testu, by nie rozpoznawać każdego przecinka, każdego nawiasu, który oddziela człowieka od dotychczasowego życia.

Myślałem, że po tych kilku latach nic już mnie nie poruszy. Teraz jednak byłem wściekły. Spojrzałem w stronę krzątającej się kobiety i chciałem ją uderzyć. Nie byłem nawet pewien, czy gdyby mi się udało, to dałbym radę przestać.

Oddychałem ciężko, lecz wiedziałem, że wyjdę teraz grzecznie – upokorzony i rozgoryczony. Wbrew temu, co mówiła marna fałszywka, dziewczyna była zdrowa, a to oznaczało – silniejsza ode mnie.

Nikt po pięciu latach TFH nie mógłby wyglądać tak jak ona.

Właśnie teraz, w najgorszej możliwej chwili, Monika weszła do pokoju, niosąc dwa talerze parującego jedzenia. Uśmiechnęła się szeroko, zupełnie jakbym nie stał przed nią blady i drżący, jakby moja dłoń wcale nie zgniatała jej czarno-białej twarzy z zapadniętymi policzkami.

– Przepraszam za małe opóźnienie. Kolacja gotowa – oświadczyła.

– To nie jest zabawne – wycodziłem przez zęby.

Niemal się zdziwiłem, słysząc własne słowa. Powinienem przecież ją zwyzywać, cisnąć jej te papiery w twarz, zasypać dołeczki w rumianych policzkach! Czy naprawdę nie byłem już zdolny do buntu?! Czy te lata godzenia się na wszystko pozbawiły mnie całej godności?

– Usiądź, gulasz stygnie – powiedziała

łagodnie.

Poczułem, że łzy napływają mi do oczu z bezsilności. Czy mogło być coś bardziej upokarzającego? Skierowałem swoje kroki do drzwi. Miałem wrażenie, że podłoga ucieka mi spod stóp jak ruchomy chodnik, który raz biegnie w lewo, a raz w prawo.

– Pamiętasz sprawę Wekmana? – spytała Monika.

W tym momencie po raz pierwszy pomyślałem, że jednak znajdę w sobie siłę, żeby się odwrócić i rzucić na nią. Nawet jeśli odeprze mój atak, to przynajmniej przestanie się uśmiechać.

Oczywiście, każdy pamiętał sprawę Wekmana – jednego z pierwszych ludzi dotkniętych TFH w czasach, gdy choroba jeszcze nie miała nazwy. Na początku przypadków było tylko kilka, rozrzuconych po całym świecie i nawet systemy komputerowe WHO nie potrafiły ich połączyć. Wekman, którego prawdziwe nazwisko znikło gdzieś pod przydomkiem nadanym przez bezmyślne media, był jednym z takich pacjentów. Błąkał się od lekarza do lekarza, od badania do badania, umierając jednocześnie z głodu w świecie, gdzie codziennie wyrzuca się tony jedzenia.

Nic dziwnego, że oszalał. Zaczął jeść ludzi. Starannie dzielił każde ciało, pakując je do słoików tak, aby nic się nie zmarnowało. Twierdził, że to jedyny pokarm, którego jego organizm nie odrzuca. Oczywiście naukowcy zgodnie uznali, że to teza wariata, nie mająca nic wspólnego z prawdą. Mężczyzna został schwytany i skazany, lecz nigdy nie trafił do więzienia. Koktajl jeszcze wtedy nie powstał, więc Wekman ledwie dożył ogłoszenia wyroku. Zmarł z głodu pod okiem najwybitniejszych lekarzy.

Ze względu na wygląd skazańca proces nie był transmitowany, a media nie miały żadnego dostępu do oskarżonego. Mimo to rzuciły się na tę historię jak sępy, swoim zwyczajem beztrudno kodując w wyobraźni masowego odbiorcy obraz

szaleńca-kanibala chorego na TFH.

Kilka lat później prowadziły kampanie społeczną przeciwko temu wizerunkowi.

– A jeśli on miał rację? – słyszę głos Moniki. – Czy gdyby nauka potwierdziła, że chorzy mogą jeść ludzkie mięso, to powiedziano by nam o tym?

Chociaż się nie odwracam, zapach parującego jedzenia nagle zaczyna drażnić moje nozdrza, zupełnie jakbym wcześniej go nie czuł.

Nie, nie, nie, nie, nie... – mój umysł zacina się na tym jednym słowie w obawie przed zdaniami, które mogą je zastąpić.

– Czy gdyby badania wykazały, że za trzydzieści lat chorzy przestaną być mniejszością, powiedzieliby nam o tym? – kontynuuje Monika.

Wesoła muzyczka nadal wypełnia pokój.

– Oczywiście są też minusy. Przenieśmy

cię do innego kraju i nigdy nie będziesz mógł tutaj wrócić – oświadcza nagle dziewczyna.

Słyszę, jak stawia oba talerze na stole, odsuwa krzesło i zaczyna jeść. Dociera do mnie każdy najmniejszy szczegół tych dźwięków, zupełnie jakby w pokoju panowała absolutna cisza.

– Czy ci normalni mają wątpliwości? Czy oni się wahają, nim zniszczą nam życie? – pyta znów Monika, a w jej głosie pobrzmiwa echo dawnej złości.

Nie, nie, nie, nie, nie... – powtarza mój umysł.

Widzę przed sobą drzwi. Jeszcze tylko trzy kroki. Dopiero, próbując je zrobić, zauważam, że upuściłem wyniki testu. Kartki rozsypały się zupełnie jak moje życie dwa lata temu.

Wracam do stołu. Walcząc z mdłościami, przełykam pierwszy kęs.

REKLAMA



 **Ostatnia  
Tawerna**

[www.ostatniatawerna.pl](http://www.ostatniatawerna.pl)  
Twoje fantastyczne miejsce w sieci!

# Oko Cyklonu

CZĘŚĆ PIĄTA

Paweł Majka

Osadzili pojazd w niewielkiej kotlinie wśród gór. Jej dno wypełniało jezioro, wystarczająco głębokie, by niemal całkiem zdołali się w nim ukryć. Na szczęście wystający ponad wodę fragment pojazdu mógł z powodzeniem udawać kawałek skały.

Wszystko tu wyglądało identycznie jak na Ziemi Oka Cyklonu osiem tysięcy lat przed narodzeniem Chrystusa. Rzeźba terenu, flora i fauna. Z jednym wyjątkiem – nie znaleźli żadnych ludzi. Sondy Ciszobłyska wędrowały po orbicie planety, szukając bez powodzenia oznak cywilizacji, choćby najprymitywniejszych. Jedyną pozytywną stroną takiego obrotu spraw był fakt, że nie napotkały także śladu po przybyciu Tianowicza. Gdyby już tu był, zostawiłby, jak oni, statek i sondy na orbicie. Nie znaleźli po nich choćby śladu.

Odkąd wylądowali, Hasnek i Iwan oddalali się od Tany. A może to ona oddalała się od nich? Nie była już pewna. Z pewnością tracili do niej zaufanie, w miarę jak coraz więcej czasu spędzała z Samiasem Kodi Vau. Nie sądziła, by uznali ją za zdrażczynię, ale z pewnością

przestali dopuszczać do swoich sekretów.

Początkowo zbliżyła się do niego, mając nadzieję, że zaradzi coś na jej sny. Stawały się coraz intensywniejsze i coraz bardziej niepokojące. Prawie nie śniła już historii strzępojaźni ze swojego różańca. Odważyła się wreszcie skontaktować z nimi bezpośrednio, ale wiewiórka, która przybyła na spotkanie pod drzewem, odpowiadała jej samymi zagadkami. Tana nie wiedziała już, czy strzępojaźnie oszukują ją, czy też same nie wiedzą, co się dzieje i boją się do tego przyznać. Gdyby awaria różańca okazała się poważna, groziłaby im może nawet ostateczna „śmierć” – skasowanie wszystkich danych. Tana zastanawiała się czasem, co wtedy stałoby się z nią. Była przyzwyczajona do korzystania z pomocy strzępojaźni od dziecka, nie wiedziała, czy byłaby w stanie żyć bez nich. Z dwojga złego wolała już przyzwyczaić się do dziwnych snów i szeptanych sugestii wplatających się w jej myśli. Zaczynała uważać, że dzięki nim nie tylko nic nie traci, ale wręcz postrzega świat pełniej i dokładniej. Z rozbawieniem wspominała dawną Tanę i jej naiwność.

Na mgławicę nie mogła liczyć. Tojo więcej czasu spędzał na współodczuwaniu z Ciszoblyskiem i niekończących się sesjach wymieniaania wrażeń. Odrywał się od nich z najwyższą niechęcią i niemal wyłącznie dla Hasneka. Tanę traktował nie tyle nieufnie, co irytująco pobłażliwie.

Pozostał jej tylko Kapitan Innych. Milczących, jakby pozbawionych własnych osobowości Wierzących, nie potrafiła traktować jak równych sobie. Miała też nadzieje, że Inny użyje jednej ze swoich tajemniczych mocy i uleczy ją.

– Nie mam takich możliwości – wyjaśnił, w jego głosie brzmiał prawdziwy żal. – Wy i my różnimy się zbyt mocno. Nic nie wiem o tych istnieniach w was...

– Strzępójniami.

– Właśnie. Ta koncepcja nie przestaje nas zdumiewać. Uwięzić życia i trzymać je zamknięte w człowieku, skazanym w przyszłości na dzielenie ich losu.

– Nie rozumiem, co miałyby być dziwnego w przekazywaniu doświadczenia?

– Dawniej wystarczyło do tego książki...

Roześmiała się, gdy zrozumiała, że zażartował. Od tamtego dnia polubiła go i zaczęła spędzać z nim więcej czasu, by jak lepiej poznać Innych. Hasnek i Iwan zinterpretowali to oczywiście po swojemu. Uznali, że uwodzi kapitana. Miała ich gdzieś, Karola z jego zazdrością i Iwana z kiepsko ukrywaną mizoginią. A jeśli Inny nawet rzeczywiście troszkę ją pociągał? Cóż, spędzili na dnie jeziora już czterysta lat... Przez ten czas kobieta może chyba zapragnąć czegoś... więcej?

Któregoś dnia, kiedy miała dość oficjalnego tytułowania, zapytała z pozorną złością:

– Znamy się już trzysta lat! Może zacząłbyś mówić do mnie, z łaski swojej, po imieniu?

– Trzysta lat? – Roześmiał się. – Aż tyle?

W lądowniku strumień czasu zwalniał w zależności od potrzeb ekspedycji. Zwykle jeden dzień równał się mniej więcej trzydziestu

latom na zewnątrz, takie zwolnienie pozwalało nadażyć z obserwacją. Czasami różnice zmniejszano, czasem zwiększano. Ale nawet jeśli w rzeczywistości minął miesiąc, to też było coś.... Zwłaszcza, że nieczęsto opuszczali wcale nie tak znów przestronne wnętrza pojazdu. Co jakiś czas część ekspedycji wyruszała na mały zwiad na zewnątrz. Wracali ledwie po sekundzie lub dwóch, zawsze zmęczeni, brudni, nieogoleni. Najdłuższa z takich wypraw trwała dwa tygodnie czasu zewnętrznego.

– Wylądowaliśmy w złym miejscu – denerwował się Hasnek. – Jak niby mamy wypatrzeć tutaj jakąś cywilizację?

– Cywilizacji wypatrują sondy – tłumaczył cierpliwie Samias Kodi Vau. – My badamy warunki tego świata. Możemy się przenieść gdzie indziej, profesorze, jeśli pan sobie tego życzy. Ale, na wszelki wypadek, będzie musiało to być równie odludne miejsce. Nie chcemy przyczynić się do ewentualnego przełomu i stać się przyczyną odnogi czasowej.

– Wiem, wiem – zżymał się Hasnek. – Znam uniwersalne zasady nie gorzej od pana! Ale jakie tu, do cholery, możemy spowodować rewolucje? Stworzyć cywilizację ptaków, kozic lub niedźwiedzi?

– To wcale nie takie odludzie – wtrąciła się Tana. – W XX wieku będzie stało tu schronisko. Przetrwa trzysta lat.

– Skąd możesz wiedzieć takie rzeczy? – zdziwił się.

– Jedna z pozaróżańcowych strzępójniami mi powiedziała – wyjaśniła i roześmiała się.

– Mamy sporo czasu do XX wieku – mruknął. – Tana, naprawdę wydaje mi się, że te sny źle na ciebie wpływają. Jeśli chcesz porozmawiać...

– Nie, nie chcę – przerwała mu. – Już sobie z tym poradziłam.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Już ich nie mam. Tych snów.

– Kłamczucha. – Kapitan odczekał aż Hasnek odejdzie, zanim, uśmiechnięty, wygłosił

diagnozę. – Codziennie opowiadasz mi o swoich nowych snach.

– Naprawdę? Codziennie? Musisz być tym strasznie znudzony.

– Prawdę mówiąc... – zawiesił głos, a potem uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Ani trochę.

– Czy to, co dostrzegam w twoich oczach, to łobuzerskie błyski, kapitanie?

– Czy moje kapitańskie, pełne łobuzerskich błysków czy dostrzegają w twoich chęć do flirtu?

– To ty ze mną flirtujesz.

– Ja?

– Ty.

Tana się roześmiała.

\*\*\*

– Flirtują ze sobą, Iwan. – Hasnek nie ukrywał rozgoryczenia. – Jeszcze miesiąc temu ja byłem jej facetem, a on szpiegującym ją wrogiem. A teraz flirtują ze sobą, a ja jestem tym, który przeszkadza.

– Nigdy nie byłeś „jej facetem” – parsknął Iwan, nie przestając dłużyć widelcem w czymś, co wedle zapewnień etykiety na pojemniku, miało być znakomitym obiadem. – Byłeś jej okazją do zrobienia kariery. Nie oszukuj się. Wykorzystała cię.

– Wykorzystała?

– Jest kobietą. Ma to we krwi. Ale pal sześc. Nie niepokoi cię, że przestała opowiadać nam o snach? Bała się ich, wariowała od tego. A teraz nic.

– Twierdzi, że już się skończyły.

– Aha. Karol, nie mieszkamy w pałacu, trudno tu o prywatność. Tana każdej nocy rzuca się we śnie, jakby dręczyły ją koszmary. Jestem przekonany, że ciągle śni. Teraz tylko to ukrywa, w każdym razie przed nami.

– Twierdzisz, że mówi wszystko jemu?

– Karol, obudź się! Zobacz, co się dzieje z naszą ekspedycją. Siedzimy na jakimś zadupiu, pozwalając ich maszynom robić wszystkie badania. Owszem, ty badasz tutejszą Stałą, ale robisz

to już od czterystu lat. Co jeszcze możesz w niej wypatrzeć? Ja analizuję dane z sond i biokreću. Są zadziwiające, przynajmniej. Tutaj powinien wykształcić się człowiek, ale go nie ma. Wszystko jest jak na Ziemi, oprócz tego jednego elementu. Jakby ktoś stworzył świat pochodny poprzez niedopuszczenie do ewolucji *homo sapiens*. Ale ty twierdzisz, że to niemożliwe.

– Ten świat ma najmniejsze z poznanych rozrzedzeń, Iwan. Jeśli on jest pochodny, to nie wiem jakie wartości rozrzedzenia mielibyśmy znaleźć w jego świecie startowym.

– W porządku. No więc siedzimy tutaj, ty badasz Stałą, ja dane z całego tego dziwnego świata, a Inni kradną nam załogę.

– Kradną załogę?

– Tanę uwodzi kapitan. Tak osłabła od tych snów, że nawet tego nie zauważa. Zresztą, jest kobietą, one są podatne na emocje. Z kolei mgławicę uwodzi ten cholerny biokreć. Toż prawie się od niego nie odrywa. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby był już bardziej po ich, niż po naszej stronie.

– Zaraz pomyślę, że popadasz w paranoję.

– Ja nie mogę popaść w paranoję, Karol. Mam blokady. Przy najłżejszych wahaniach psychiki przejmie mnie biomp. To wszystko dane i analiza. Uważaj na siebie. I porozmawiaj z Taną. Wybadaj, naciągnij na zwierzenia. Spróbuj ocenić w co teraz gra.

– Myślę, że najpierw porozmawiam z Tojo.

– Jak chcesz. Sam się przekonaj.

\*\*\*

Zadziwiające, ale im więcej Tojo otrzymywał możliwości od bazy danych Ciszoblyska, tym bardziej pociągały go wydarzenia w łądowniku. Biokreć otworzył mu oczy. Pokazał mu, jak bardzo ograniczone było postrzeganie mgławicy, zamkniętej w labiryntach potencjalności. Mgławice patrzyły na siebie jak na mikrobogów, panów możliwości. Uważały się za odwzorowania wieloświata, mikrokosmosy, oddające złożoność makrokosmosu. Były

wszechświatami obdarowanymi umysłem. Rzeczywistość zewnętrzna mogła dla nich równie dobrze nie istnieć.

Ciszoblysk pokazał Tojo, jak bardzo się mylił.

Mgławica prawie płakała, gdy biokręt otworzył przed nim nowe możliwości. Czowała wzruszenie, ale i smutek na myśl o więzieniu, w jakim wciąż tkwiły miliony jej braci i sióstr. Postrzeganie Innych, ofiarowane mu przez

biokręt, było dla nich niedostępne.

– Tojo? Tojo, obudź się, do cholery! Potrzebuję cię!

– Nie śpię, profesorze. – Jeszcze niedawno wybuchał gniewem, gdy ludzie zmuszali go, by skupiał na nich część uwagi. Obecnie nie miał już nic przeciwko temu. Właściwie przez cały czas śledził płataninę ścieżek ich losu, ciesząc się jej bogactwem i podziwiając, jak wplata się

w piękny wzór wszechświata. Przepelniało go zadowolenie z faktu, że znalazł się z nimi w tym miejscu. Doskonale bawił się obserwując niezgrabność i naiwność towarzyszy podróży w wyciąganiu wniosków, lecz równocześnie obdarzał ich pełnym wyrozumiałości i czułości uczuciem, z jakim istota wyższa może przyglądać się poczynaniom osobników, którzy znajdują się na znacznie niższym stopniu rozwoju. – Jestem. Słucham.

– Iwan twierdzi, że dzieje się tu coś niepokojącego.

– Iwana ciągle coś niepokoi. Takim go stworzono. Choć tym razem... No cóż, przy swoich umysłowych i emocjonalnych ograniczeniach może tak właśnie reagować na zachodzące tu wydarzenia i przeczucia jak wszystko się rozwinie. Jego gama środków wyrazu i postrzegania świata jest tak żałośnie uboga.

Dawniej bawiła Hasneka miłość własna mgławic. Teraz zaczynała go ona męczyć.



Monika Szymanska

– Ograniczeniach, tak? Zabawne, Iwan twierdzi, że dostrzega coś, co umyka nam wszystkim.

– To oczywiste. Każdy z nas myśli tak o sobie. Bez poczucia wyższości ludzie załamują się. Pewna arogancja jest niezbędna dla stabilności waszej psychiki.

– Dziękuję, że raczyłeś się podzielić ze mną tą obserwacją, Tojo. W twoich ustach brzmi to wyjątkowo interesująco. – Profesor nagle zaczął mówić szeptem, co dodatkowo rozbawiło mgławicę, wszak ów klon Ciszobłyska, jakim był lądownik, i tak wszystko słyszał. – Tojo, Iwan uważa, że Inni mogą mieć ukryte zamiary. Sądzisz, że starają się wpływać na ciebie poprzez twój stały kontakt z biokrętem. Zyskują twoją... – zawałał się, szukając właściwego słowa – ...przyjaźń. Przyjaźń i zaufanie. Ale w rzeczywistości oszukują cię.

– To bardzo mało prawdopodobne, profesorze.

– Tojo, wiem jak bardzo jesteś pewny swoich możliwości. Ale...

– To bardzo mało prawdopodobne, ponieważ Ciszobłysk otworzył przede mną niemal w pełni swoją bazę danych. Gdyby mnie oszukiwał, gdyby coś szykowali, znalazłbym to. Obliczył, nawet na podstawie szczątkowych danych, ukrytych w mrowiu innych.

Hasnek potrzebował chwili, by znaleźć lukę w tej argumentacji.

– Użyłeś słowa „niemal”. Czyli nie wszystko ci ujawnił.

– Pewien obszar pozostaje dla mnie zamknięty.

– To może być kluczowe, Tojo. Tam mogą kryć się informacje, które zmieniłyby twoje nastawienie.

Dawniej Tojo nawrzeszczałaby w tym momencie na profesora, tak bardzo rozżościłaby go jego ignorancja. Jednak teraz nauczył się cierpliwości i wyrozumiałości. Dlatego odczuł tylko mieszaninę żalu i rozbawienia. Zdziwiło go i ucieszyło, jak bardzo może współczuć

tym nieszczęsnym ślepym istotom. Już nie był mgławicą. Osiągnął wyższy poziom, stając się innomgławicą, najprawdopodobniej jedyną istotą w wieloświecie, która potrafiła rozumować jak Inni i jak ludzie. Spozstrzegał teraz abstrakcyjne potencjalności, ale nie odrzucał ich, lecz przyjmował ze spokojem i pokorą. Dlatego to, co Inni ukrywali przed nim, nie drażniło już jego ciekawości. Cieszył się tajemnicą i możliwością jej obserwowania.

– To zbyt mało, by mnie oszukać, profesorze. Potrafiłbym obliczyć pełny obraz sytuacji na podstawie szczątkowych danych. Tropów, z których istnienia Ciszobłysk nie zdawałby sobie sprawy.

– Ale przynajmniej, że ukrywają coś przed tobą!

Nowa cierpliwość Tojo wydawała mu się nieskończona. Ale, prawdę mówiąc, wolałby, żeby profesor już sobie poszedł. Chciałby porozmawiać z Taną, ale teraz ona zaczęła go ignorować. Obserwował jednak, jak się zmienia i wiedział, że jej ewolucja nie dobiegła jeszcze końca. Kobieta nie była jeszcze gotowa. Musiał być cierpliwy.

– Tak i nie, profesorze. Ukrywają i nie ukrywają. Zamknęli dla mnie część wiedzy, ponieważ chcą, abym sam ją odkrył. Pobudzają tym zachodzące we mnie zmiany, moją ewolucję. To jak zachowanie nauczyciela, który nie podaje uczniowi wyniku działania. Jego celem nie jest oszukanie ucznia, ale stymulowanie jego rozwoju.

– Twierdzisz, że cię uczą?

– Przyznaję, to była kaleka analogia, starałem się jednak użyć jak najprostszej, by był pan ją w stanie zrozumieć. Och, nie chciałem pana obrazić! – dodał szybko, widząc jak Hasnek poczerwieniał.

Kontakty z prymitywnymi istotami były jednak trudne. A przecież litował się nad profesorem, tak pełnym lęków i zagubionym; formułującym wnioski nie na podstawie

rzeczywistych przesłanek, lecz własnych pragnień. Chciał go pocieszyć. Wyjaśnić, że jego zdaniem Inni naprawdę nic przed nim nie ukrywają. Nie mieli powodu. Zakładali, że nikt z nich nie powróci z tej wyprawy, żeby zdać komukolwiek relację i podzielić się zdobytą wiedzą.

Otworzył już usta, kiedy wewnątrz lądownika rozległ się przejmujący dźwięk alarmu.

– Człowiek! – zawołał kapitan. – Zbliża się do nas człowiek!

\*\*\*

– Biokręt automatycznie wyłączył spowolnienie czasu – raportował Samias Kodi Vau. – Nic nie przegapimy, ani on nam nie umrze. Spójrzcie, idzie tamtym grzbietem. Kiepsko wybrał, bo to wyjątkowo ostre i niebezpieczne podejście. Zatrzymał się.

– Kto to jest? – zapytał Hansek. – To znaczy, czy wiemy o nim cokolwiek? Wydaje się, że to *homo sapiens*, ale...

– Dam zbliżenie. Spójrzcie, zatrzymał się. Jest wyraźnie zmęczony. Waha się. Jeszcze bliżej.

Postać mężczyzny wypełniła ekrany. Wydawał się stary. Bardzo stary. Długie siwe włosy opadały mu na ramiona. Był szczupły, ale najwyraźniej silny. Bagaż, który niósł na plecach, wyglądał na ciężki. Mężczyzna ugiął się nieznacznie pod jego ciężarem.

– Bagaż! – zwrócił uwagę Iwan. – Spójrzcie na to, co ma na plecach! Nic wam nie przypomina? On jest jakiś... nowoczesny?!

\*\*\*

„Wyszukaj cechy charakterystyczne bagażu.” – polecił biokomputerowi Iwan.

**Standardowy plecak firmy Keller, typ:  
Uruk-Hai. Model oparty na modelu  
wojskowym. Bardzo popularny.**

„Twarz! Zbadaj jego twarz!”

**Szukam. Mam.**

– Rany boskie! – zawołał po chwili – To Tianowicz!

– Tianowicz? – Hansek posłał mu pełne niedowierzania spojrzenie. – Niemożliwe...

– A jednak. Przyjrzyj mu się, Karolu! Kapitanie, może pan dać zbliżenie na twarz? Dzięki! Karol, popatrz! Owszem, jest siwy, ma długą brodę i wygląda o dobre dwadzieścia, trzydzieści lat starzej. Ale to on! Kapitanie, czy pański komputer może zrobić zdjęcie, odjąc brodę, skrócić włosy i wygładzić zmarszczki?

– Dziesięć sekund. Już.

– Tianowicz... – szepnął Hasnek, wpatrując się ze zdumieniem w powstałe zdjęcie. – Naprawdę on! Ale jak to się mogło stać?

Mężczyzna na grani usiadł, wyciągnął spod odzienia fajkę i spokojnie ją zapalił. Gdy zaciągnął się dymem, uniósł wzrok. Wydawało się, że spojrzał prosto w obiektyw przyglądającej mu się z orbity kamery.

– Idziemy po niego! – zdecydował Hasnek. – Natychmiast! My idziemy, kapitanie, nie pan i pańscy ludzie! Niech wyjdzie mu na spotkanie ktoś, kogo zna. Tana, zostaniesz tutaj!

– Trochę strome to podejście... – ocenił agent, gdy już znaleźli się na zewnątrz. – Może zostawisz to mnie?

– Może ci się przydać pomoc. Poradzę sobie. Idziemy.

Na szczęście podejście, choć strome, nie wymagało od nich umiejętności wykwalifikowanych wspinaczy. Wystarczyło być ostrożnym. Niemniej dotarcie na grań zajęło im godzinę. Tianowicz opierał się o swój sponiewierany plecak i wciąż palił fajkę.

– Hasnek – odezwał się pierwszy, gdy podeszli do niego. Widział ich już wcześniej, ale nie ruszał się z miejsca. Obserwował ich mizerną wspinaczkę, potknięcia Hasneka i wypraszane przez niego krótkie postoje. – I Trbask. W końcu raczyliście przybyć. Tysiąc lat na was czekam. Cieszę się, że wreszcie jesteście.

I rozplakał się.

# Gry w uniwersum Warhammera 40000

Krzysztof „Jaxa” Rudek

W majowym numerze mieliście okazję zapoznać się z uniwersum „Warhammera 40000” – z jego historią, realiami i klimatem oraz z grami RPG osadzonymi w mrocznym mileniu, w którym istnieje tylko wojna. W tym numerze opowiem o grach komputerowych i planszowych należących do tego uniwersum. Oczywiście nie o wszystkich – gdybym chciał je opisać, artykuł byłby pewnie dwukrotnie dłuższy. Te, o których dowiecie się w dalszej części, wybrałem, kierując się trzema kryteriami. Są to gry albo po prostu bardzo dobre (*Relic, Space Marine, Dawn of War*), albo nowe (*Battlefleet Gothic: Armada, Forbidden Stars*) albo ważne w historii marki (*Fire Warrior, Final Liberation*).

## Gry komputerowe

Większość ludzi rozpoczęła swoją przygodę z „Warhammerem 40000” właśnie od gier komputerowych. Od początku istnienia marki na rynku pojawiło się kilka tytułów, które stały się doskonałymi ambasadorami dla świata Imperium Ludzkości. Niektóre, mimo upływu kilku ładnych lat od premiery, nadal bronią się w porównaniu z nowymi grami – więc jeżeli chcecie poczuć klimat świata, polecam się z nimi zapoznać.

### Seria *Dawn Of War*

Najważniejsza chyba seria w historii komputerowego „Warhammera 40000”. Składają się na

nią dwie gry i pięć dużych dodatków (*Winter Assault, Dark Crusade* i *Soulstorm* do pierwszej części oraz *Chaos Rising* i *Retribution* do drugiej). Pierwszą wydano w 2004 roku, a drugą w 2009. Kilka miesięcy temu zapowiedziano trzecią.

Obie gry zasadniczo (gdyż w dodatkach jest możliwość zagrania innymi frakcjami) skupiają się wokół zakonu Krwawych Kruków i ich walki z zazwyczaj przeważającymi siłami wroga. W trybie multiplayer mamy dostęp do większej liczby ras (w pierwszej części z dodatkiem *Soulstorm* do dziewięciu, a w *Retribution* do sześciu), którymi możemy toczyć bitwy z przeciwnikami po drugiej stronie kabla.

Pierwsza część jest dość klasycznym RTS-em (z tym, że surowce zastąpiono punktami kontrolnymi), druga ma charakter bardziej taktyczny (jednostek jest mniej, zwłaszcza w kampanii jednoosobowej).

*Dawn of War* zapisał się w historii gier komputerowych nie tylko ze względu na świetną mechanikę, ale również dzięki niezwyklej fabule i klimatycznym cutscenkom.

### *Space Marine*

Ta trzecioosobowa gra akcji to drugi najważniejszy tytuł wśród gier z uniwersum Młotka. Wcielamy się w niej w kapitana Ultramarines Titusa, wysłanego na planetę Graia jako awangarda szturmującego odebrać ją orkom. Świata tego nie można zniszczyć, na jego powierzchni znajdują się bowiem fabryki

produkujące tytany, legendarne imperialne maszyny zagłady. Po wylądowaniu kapitan Titus i jego dwóch towarzyszy zostają odcięci od wsparcia z orbity i muszą poradzić sobie sami z hordą zielonoskórych. W trakcie walk okazuje się, że inwazja orków to jedynie wierzchołek góry lodowej. O co chodzi tak naprawdę? Musicie przekonać się sami.

Gra jest niezwykle dynamiczna i emocjonująca, a dzięki temu także bardzo przyjemna. Mimo że zebrała dość średnie noty, jest pozycją obowiązkową dla każdego fana uniwersum.

### **Fire Warrior**



Gra ta, wydana w 2003 roku, jest pierwszoosobową strzelanką (FPS-em) i jedyną chyba w naszym zestawieniu, gdzie głównej roli w trybie singleplayer nie odgrywa poddany Imperatora. Zamiast tego wcielamy się w młodego przedstawiciela rasy Tau o imieniu Kais, należącego do wojowniczej kasty Ognia. Zostaje on wysłany, by uratować z rąk imperialnego gubernatora Meylocha Severusa, przedstawiciela rządzącej Tau kasty Niebiańskich. Jak to zwykle bywa, to dopiero początek kłopotów, gdyż bardzo szybko okazuje się, że gubernator jest wyznawcą Chaosu.

*Fire Warrior* był w swoim czasie bardzo przyjemną grą, jednak nieco się zestarzał. Zarówno silnik graficzny, jak i mechanika odstają od dzisiejszych standardów. Warto się z nim jednak zapoznać, gdyż pokazuje zupełnie inne podejście do świata „czterdziestki” – takie, w którym to Imperium jest złe, a xenos dobry.

### **Final Liberation**

To jedna z najwcześniejszych gier z uniwersum. Stworzono ją w rewelacyjnym w swoim czasie studiu SSI. Jest to turowa strategia w rzucie izometrycznym, będąca adaptacją gry bitewnej *Epic*, czyli „Warhammera 40000” w skali makro. Wcielamy się w niej w dowódcę imperialnych sił wysłanych na planetę Volistad, by wyzwolić ją spod panowania orków. Gra charakteryzuje się przeciekawym systemem rekrutacji nowych jednostek w oparciu o kontrolowane tereny oraz dużą różnorodnością formacji, które możemy wykorzystać na placu boju (w tym tytany oraz legendarne superciężkie czołgi Baneblade).

### **Chaos Gate**



Produkcja ta jest tylko o rok młodsza od *Final Liberation* i za nią również odpowiada studio SSI. To gra taktyczna, w której prowadzimy do walki oddział Ultramarines pod wodzą kapitana Krugera. Ich celem jest pokonanie kosmicznych marines Chaosu z legionu Głosicieli

Słowa. Gra charakteryzuje się nowatorskim – jak na swoje czasy – systemem doświadczenia i niesamowitą muzyką, doskonale wpasowującą się w klimat „Warhammera 40000”. Mimo że została wydana przed prawie dwudziestu laty, nadal można w nią bez trudu zagrać, gdyż w 2015 roku wydano ją na platformie GOG wraz z odpowiednimi usprawnieniami, aby działała na nowoczesnych komputerach.

### **Space Hulk**

Obie tak nazwane gry (jedna z 1993 roku, a druga z 2013) to adaptacje kultowej planszówki pod tym samym tytułem. Prowadzimy w nich grupę zakutych w ciężkie pancerze terminatorów kosmicznych marines z zakonu Krwawych Aniołów, wysłanych, by eksplorować tytułowy *space hulk*, czyli swego rodzaju statek widmo wypłuty przez Osnowę. Na pokładzie znajdują się genokradzy, czyli hybrydy ludzi i Tyranidów. Obie gry są idealnym odwzorowaniem planszówki. Mają ten sam system scenariuszy, mechanikę akcji. Ta pierwsza do dziś siłą rzeczy zestarzała się potwornie, a ta nowa jest potwornie okrojona i by w nią sensownie pograć, należy kupić komplet DLC. Jeżeli podoba wam się idea Astartes walczących turowo z Tyranidami, to dużo lepszym pomysłem jest moim zdaniem gra *Deathwatch*.

### **Deathwatch**

Grę tę wydano początkowo na platformę iOS, a następnie pojawiła się też na pecechach. Jak sam tytuł wskazuje, opowiada ona o Adeptus Astartes należących do organizacji *Deathwatch*, czyli elitarnego bractwa specjalizującego się w walce z obcymi. Podobnie jak *Space Hulk*, jest to turowa gra taktyczna, lecz w przeciwieństwie to tamtej dała mi uczucie większej wolności w podejmowaniu decyzji, gdyż nie byłem uwiązany do sztywnych zasad zaczerpniętych z planszówki. Gra ma również

rozbudowany system awansu postaci i ich przezbierania oraz przyłączania do oddziału nowych bohaterów. Uzbrojenie i rekrutacja opierają się na kartach, które wyciągamy ze specjalnych skrzynek kupowanych za wirtualną walutę otrzymywaną po udanym ukończeniu misji (w wersji iOS skrzynie te można też kupić za realną walutę). Gra jest dość łatwa, lecz sprawia wiele przyjemności.

### **Battlefleet Gothic: Armada**

To adaptacja niewspieranego już przez wydawcę bitewniaka *Battlefleet Gothic* i jednocześnie najnowsza gra wywodząca się z uniwersum „Warhammera 40000”. Tym razem wcielamy się w dowódcę imperialnej Floty i naszym zadaniem jest obrona sektora Gothic przed Chaosem, Orkami i Eldarami. Fabularnie gra opowiada o wydarzeniach mających miejsce podczas 12 Czarnej Krucjaty, gdy Abaddon poprowadził flotę z Oka Chaosu do Sektora Gothic, by przejąć kontrolę nad tajemniczymi Czarnymi Fortecami.

W grze zarządzamy flotą zarówno w skali makro (jej rozbudowa, unowocześnianie oraz dobieranie składu grupy wysyłanej na konkretną misję), jak i w skali mikro, gdzie osobiście prowadzimy do walki gigantyczne, często wielokilometrowe okręty.

*Battlefleet Gothic: Armada* spotkało się z bardzo ciepłym przyjęciem, zwłaszcza ze strony fanów uniwersum, i polecam ją jako zdecydowanie godną zagrania.

## **Gry planszowe**

Poza tymi przeznaczonymi na komputery, na uniwersum składa się wiele gier umożliwiających zabawę „na żywo” przy stole. Są to oczywiście przede wszystkim bitewniaki, ale również dużo planszówek i karcianek. Są też gry łączące elementy planszowe z bitewnymi. Warto w nie zagrać, nie tylko dlatego, że ich akcja toczy się w czterdziestym milenium, lecz również

dlatego, że wiele z nich ma świetne mechaniki, które zapewnią zabawę na wiele wieczorów.

### **Relic: Tajemnica sektora Antian**

Grę *Talisman* nazywaną czasem *Magią i mieczem* zna chyba każdy wielbiciel planszówek. *Relic: Tajemnica sektora Antian* to przeniesienie tej znanej i lubianej mechaniki do świata „Warhammera 40000”. Bardzo udane przeniesienie. Względem oryginału gra wprowadza wiele ciekawych zmian, takich jak zróżnicowany rozwój postaci, trzy talie Zagrożeń (czyli *Talizmanowych Przygód*), Relikwie i Misje, które należy wykonać, by owe Relikwie zdobyć.

W grze wybieramy jedną z dostępnych postaci i podróżując dookoła planszy, staramy się rozwiązać tytułową tajemnicę sektora Antian – czyli wypełnić założenia jednego z licznych scenariuszy. Gdy rozszerzymy *Relica* o dwa dostępne dodatki, czyli *Nemesis* i *Komnaty Terry*, to otrzymamy ciekawe zasady walk pomiędzy graczami oraz całkowicie nowy rodzaj, mających własną mechanikę, postaci, czyli grające przeciw zwykłemu imperialnym graczom *Nemesis*.

Mimo że gra ma duży współczynnik losowości oraz rozegranie pełnej partii może zająć potwornie dużo czasu, jest to moim zdaniem jedna z najlepszych planszówek, w jakie miałem okazję zagrać.

### **Forbidden Stars**

*Forbidden Stars* to rozbudowana gra strategiczna. Podczas rozgrywki wcielamy się w dowódcę jednej z czterech frakcji walczących o kontrolę nad subsektorem Herakon. Każde ze stronnictw (a są to Ultramarines, Pożeracze Światów, Eldarowie ze światostatku Iyanden oraz orki z klanu Zuych Słońce) charakteryzuje się zupełnie innym podejściem do rozgrywki (na przykład Eldarowie świetnie radzą sobie, walcząc w przestrzeni, Ultramarines mają

przewagę w trakcie gry defensywnej), co wymusza zastosowanie innej taktyki, by osiągnąć cel, jakim jest podbój kluczowych planet. W grze walka toczy się zarówno w przestrzeni, jak i na planetach, a same bitwy łączą elementy losowe z przemyślaną strategią. Najpoważniejszą wadą gry jest cena, gdyż kosztuje ona prawie 400 złotych. Jednak jej zawartość z naddatkiem rekomenduje wydane pieniądze.

### **Warhammer 40000: Conquest**

*Conquest* to karciana gra strategiczna. Naszym celem jest przejęcie kontroli nad wypełnionym bogactwami sektorem Traxis. Do walki staje siedem frakcji (z oboma dużymi dodatkami dziewięć) i toczą one bój o kolejne planety sektora. W grach karcianych najważniejsze są dwie rzeczy – odpowiednie zebranie talii i mądre zastosowanie jej w trakcie rozgrywki. Talię zbieramy, kupując wychodzące co jakiś czas dodatki (do *Conquesta* wyszło ich już 12). W tradycyjnych grach w tzw. boosterze znajdujemy losowe karty, w *Conquencie*, który należy do nurtu LCG (*Living Card Games*), w każdej paczce są te same karty. Dzięki temu ciężar składania talii przenosi się z kupowania jak największej ilości boosterów, by zdobyć wymarzone karty, na odpowiednią optymalizację talii w oparciu o zawsze ten sam zestaw.

### **Space Hulk**

Gra ta jest jedną z najbardziej tradycyjnych dla franczyzy „Warhammera 40000”. Pierwsza edycja, wydana w 1998 roku, uzyskała status kultowej i dziś jest praktycznie nie do zdobycia. Czwarta, obecnie dostępna na rynku, jest łatwiejsza do kupienia, choć i z tym mogą być problemy. Tak jak pisałem przy okazji komputerowej wersji *Space Hulk*, w grze wcielamy się w terminatorów (zwanymi pieszczołliwie „terminosami”) Krwawych Aniołów eksplorujących wyrzucony z Osnowy wrak pełen genokradów. Rozgrywka ma charakter turowo-taktyczny

i jest asymetryczna – mały, ale żywotny oddział terminatorów musi odeprzeć atak słabszych, ale liczniejszych genokradów. Jeżeli lubicie tego typu rozgrywki, to *Space Hulk* spodoba wam się na pewno.

### **The Horus Heresy: Betrayal at Calth**

Akcja kolejnej figurkowej gry taktycznej ze świata „młotka” toczy się w trakcie Herezji Horusa, czyli w trzydziestym millenium. Na planecie Calth spotykają się siły Ultramarinesów i Głosciceli Słowa. Marines spod znaku omegi nie są jednak świadomi tego, że podwładni Lorgara przyłączyli się do Horusa i szykują im krwawą łaźnię.

*Betrayal at Calth* przeznaczony jest dla dwóch graczy, którzy prowadząc siły jednego z legionów, będą próbowali wykonać założenia któregoś z sześciu scenariuszy. Gra charakteryzuje się dynamiczną (ale potwornie losową) mechaniką walki i fenomenalnie przygotowanymi figurkami kosmicznych marines z czasów Wielkiej Krucjaty.

### **Deathwatch: Overkill**

Najnowsza z figurkowych gier taktycznych wydanych przez Fantasy Flight Games. Jest ona w pewien sposób krzyżówką *Space Hulk* i *Betrayal at Calth*. *Deathwatch: Overkill* opowiada o starciu pomiędzy tytułową Strażą Śmierci a Kultem Genokradów, który opanował górniczą planetoidę Ghosar Quintus. Podobnie jak w wypadku *Space Hulk*, rozgrywka jest asymetryczna. Dzięki temu gracz prowadzący Kult musi się nieźle nagimnastykować, żeby rozprawić się ze Strażą. Mechanika to bardzo przyjemne połączenie tej bitewniakowej z bardziej planszówkową. Gra wymaga jednak dość dobrego zapoznania się z zasadami, gdyż dzięki temu łatwiej jest nam prowadzić bardziej rozbudowaną taktycznie grę, zamiast prostackiego ostrzeliwania się z dużej odległości.

### **Space Hulk: Anioł Śmierci**

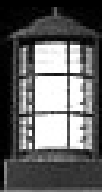


Na koniec zostawiłem sobie *Aniola Śmierci*. Jest to niekolekcjonerska, kooperacyjna gra karciana bazująca na pomysły z dużego *Space Hulk*. Gracze wcielają się (jak łatwo się domyślić) w terminatorów Krwawych Aniołów walczących na pokładzie Space Hulka z genokradami. Tym razem jednak naszym przeciwnikiem jest sama gra – która okazuje się mocno losowa i nawet dobre rozplanowanie taktyczne może się skończyć porażką. Dodatkowo ze względu na małą liczbę pomieszczeń regrywalność jest ograniczona. Na szczęście dzięki dodatkom (niestety nie najtańszym) część z tych problemów została rozwiązana i teraz można grać w *Aniola Śmierci* z prawdziwą przyjemnością.

### **Podsumowanie**

„Warhammer 40000” to olbrzymia franczyza, pozwalająca bawić się nie tylko przy stołach z figurkami, ale również przed ekranami komputerów oraz ze znajomymi przy grach planszowych i RPG. Wiele frajdy daje przecież zarówno wcielanie się w służę Imperium, jak i ich śmiertelnych wrogów, a dodatkowo można poznać spory kawałek tego fascynującego uniwersum.

KRZYSZTOF „JAXA” RUDEK



**POLICE PUBLIC CALL BOX**



POLICE TELEPHONE  
**FREE**  
FOR USE OF  
**PUBLIC**  
SERVICE & ASSISTANCE  
PROVIDED IMMEDIATELY  
DURING ALL CALLS  
RESPOND TO ALL CALLS  
**PULL TO OPEN**



# Fandom większy w środku

O polskich fanach *Doctora Who*<sup>1</sup>

Magdalena Stonawska

<sup>1</sup>Wyobraź sobie, czytelniku, następującą scenę. Centrum handlowe, pełen zbędnych pokus sklep z zagranicznymi różnościami. Dwie młode kobiety zatrzymują się przed półką na stoisku z zabawkami i z trudem opanowują pisk podekscytowania. Między klockami a figurkami superbohaterów czai się znajomy, ale niespodziewany kształt ni to robota, ni to potwora; obły plastikowy korpus z mnóstwem okrągłych wypustek, sond i trzepaków. Dziewczyny patrzą na cenę i miny im rzedną. Dziś nawet kosmiczne potwory nie są na kieszeń zwykłego śmiertelnika. Co teraz? Mogą sięgnąć po oszczędności i przez resztę miesiąca żywić się ryżem. Mogą, jak przystało na dorosłe, poważne osoby, wyjść ze sklepu i zaraz zapomnieć o pokusie. Mogą też napisać o tym post na Facebooku, zgromadzić grupę kilkudziesięciu osób i wspólnie dokonać zakupu... Przez kolejne miesiące kosmita ma wędrować od domu do domu, znosić sesje zdjęciowe w charakterystycznych miejscach, patronować spotkaniom i, być może, robić rozeznanie przed sprowadzeniem swoich

kumpi, z którymi zniecka dokonają ostatecznej eksterminacji gatunku ludzkiego.

Idea Wędrującego Daleka<sup>2</sup> to moim zdaniem jedna z najlepszych rzeczy, jakie stworzyli polscy fani *Doctora Who*. Łączy klasyczną, narodową polską tradycję peregrynacji artefaktów z odrobiną fanowskiego obłędu. Jak to zazwyczaj bywa, inicjatywa przeżywała wloty i upadki i nie obyło się bez komplikacji, ale każdy, kto się natknął na Wędrującego Daleka, na pewno nigdy o tym nie zapomni, bo sama jego obecność dawała poczucie przynależności do wspólnoty dzielonego szaleństwa, którą nazwać można również fandomem. (W tym miejscu powinien nastąpić elaborat na temat tego, czym jest fandom, co na to teoria *fan studies* i czy jakiegokolwiek generalizowanie ma sens. Nie jest to jednak ani to miejsce, ani ten czas – zostaliśmy więc przy zastrzeżeniu, że wszystko zależy od punktu widzenia, a teraz będziemy mieć do czynienia z moim, subiektywnym, choć podpartym obszernymi badaniami<sup>3</sup>).

Fandom jest fascynujący, bo jest niedoskonały. W fanowskim środowisku modne bywa odcinanie się i przypisywanie mu najgorszych cech – najczęściej przez osoby, dla których

1 Tych, którzy nie czują się dostatecznie zaznajomieni z fenomenem *Doctora Who* albo generalnie nie mają pojęcia, o co chodzi, redakcja zachęca do lektury artykułu Simona Zacka *Poszedł Simon do Doktora z czwartego numeru „Smoko”*. A potem z powrotem tutaj. ;)

2 <https://www.facebook.com/TravellingDalek/>

3 <https://jagiellonian.academia.edu/MagdalenaStonawska>

fandom jest przestrzenią działania, bo dla tych spoza niego rzadko bywa czymś więcej niż marginalnym dziwactwem. Fandom (konkretnego produktu popkultury lub szerszy, na przykład fantastyczny) jest skłócony, fanatyczny, szalony, niemądry. W różnych formach funkcjonuje od niepamiętnych czasów (zapomnijcie o *Sherlocku Holmesie* i fanach science fiction, ja stawiam na *Genji monogatari*) i zawsze był kontrowersyjny. Dziś jednak fandomy serialowe wzniosły to na nowy poziom. W fantastycznym świecie szanuje się miłośników literatury i czytelników komiksów, kiwa głową ze zrozumieniem, gdy ktoś wzdycha, że spędził kilkadziesiąt godzin przy grze komputerowej. Ale seriale to inna liga. Fani *Sherlocka* to szarańcza, *Gra o tron* to mainstream, a *Marvel Cinematic Universe* (też serial, czyż nie?) przyciąga do kin piszczące fanki wabione urodą aktorów i homoerotycznymi podtekstami. Oglądanie telewizji, choć trudno w to uwierzyć w epoce Netflixa, ciągle się nam kojarzy z bierną, niezbyt ambitną rozrywką, chociaż to przecież medium, które dynamicznie się zmienia, a skupieni wokół niego aktywni odbiorcy są nie mniej twórczy niż inne fanowskie grupy.

Zważywszy na to wrażenie, że nikt nie gardzi fandomem tak, jak sami fani, gdy poprosiłam polskich whovian o określenie, jaki jest ich fandom, zaskoczyło mnie, jak – mimo wszystko – pozytywną mają opinię na jego temat. Postrzegają go jako środowisko przyjazne i inspirujące, nieco szalone, ale w pozytywny sposób i choć nękanie kłótniami, to nie chowające urazy i w ogólnym rozrachunku dosyć zgodne, a przede wszystkim niezwykle zaangażowane, entuzjastyczne i twórcze.

No właśnie – twórcze. Zastanawialiście się, dlaczego zaczęłam od Wędrującego Daleka? Stanowi on ilustrację jednej z głównych cech polskich fanów *Doctora Who*: choć zamieszkują nieograniczony serialowy wszechświat, są na permanentnym głodzie. Polskie stacje ich nie

kochają – serial nie jest regularnie ani z sensem emitowany. Polski dystrybutor ich nie kocha – nie ma wydania na DVD. Producenci gadżetów i wydawcy ich nie kochają. Nawet inne fandomy nieszczególnie ich kochają. W oceanie nieszczęść jedyne, co pozostaje, to wziąć sprawy we własne ręce i śmiało kroczyć przed siebie z miną, jakby działało się zgodnie z planem. *Allons-y* i do przodu! Osoby skupione wokół serialu o kosmicznym wariacie z wehikulem czasu są trochę jak ich ulubiony bohater: ekscentryczne, stanowcze, zdeterminowane i czasami do bólu irytujące. Wydaje mi się, że dobrze wychodzą na tym, że zawsze mają trochę pod górę, bo są dzięki temu samodzielne, kreatywne i przekorne. Wędrujący Dalek był swoistym okrzykiem rozpacz. Jesteśmy tu, BBC, zauważ nas! Niedawno hucznie obchodzono rocznicę – ta wielka, pradawna machina znana jako *Doctor Who* skończyła 50 lat i ciągle dobrze się trzyma, a my ją kochamy, podobnie jak nasi brytyjscy pobratymcy. W odróżnieniu jednak od nich, nie mamy ani ułamka możliwości, którymi oni się cieszą. Zryw fanowskiego afektu nie może zrealizować się zakupem gadżetu, spotkaniem aktora na konwencie, śledzeniem planów zdjęciowych. Natknięcie się na cokolwiek związanego z serialem to cud, którym trzeba się pochwalić, by pławić się w cudzej zazdrości. Można, oczywiście, zrobić zakupy za granicą, ale prawdziwą wartość przynoszą długie łowy, a wygrzebana w lumpeksie zabawka daje satysfakcję większą niż jakikolwiek zakup online. Wbrew części badaczy nie uważam konsumpcji za istotny element fanostwa – ale w sytuacji jej niemal całkowitej niemożliwości stanowi dobrą ilustrację tego, jak tożsamość może się kształtować poprzez deprywację. Samodzielność polskich whovian bierze się stąd, że chcieliby, a nie mogą – więc zakasują rękawy i tworzą. Nie ma w sklepach gadżetów? Zróbmy je sobie sami. Nie możemy spotkać twórców? Zacznijmy sami tworzyć. Nie ma

uroczystych pokazów i premier? Zorganizujemy sobie konwent. Czujemy się niekochani przez BBC? Skupmy się wokół tej myśli, zbudujemy wokół niej coś, co ją przyćmi.

Nie jest to tylko cechą polskich fanów – moment deprywacji przeżywali fani na całym świecie, choć znacznie wcześniej. Dla Polaków to nowe uczucie, bo też serial w polskiej świadomości zaistniał dopiero niedawno. Nie mamy dziadków i rodziców, którzy wspominają z rozrzewnieniem, jakim szokiem była dla nich przemiana Williama Hartnella w Patricka Troughtona albo jaką grozę budzili w nich Dalekowie, gdy pojawili się po raz pierwszy. Nie mamy poczucia, że dołączając do grona fanów *Doctora Who*, wpisujemy się w tradycję jednego z najdłużej działających ruchów fanowskich. I już w tym miejscu wiele tracimy, bo dla wielu polskich fanów *Doctor Who* jest po prostu jednym z wielu oglądanych seriali. Może tym bardziej kochanym, ale niewyróżniającym się zbyt mocno spośród innych współczesnych produkcji. A przecież jest zupełnie inny – jest bardzo stary, nieskończony i nieskończenie poplątany. Pół wieku to dla serialu wieczność, zwłaszcza dla science fiction, które tak łatwo się dezaktualizuje. Huczne obchody w Wielkiej Brytanii odbijały się echem na całym świecie, również w Polsce. Wtedy bowiem, w 2013 roku, polscy fani *Doctora Who* byli naprawdę widoczni, przybywało ich w straszliwym tempie i ujmowali swoim entuzjazmem. Brakowało jednak w świętowaniu rocznicy pełnego uzmysłowienia sobie, wokół czego krążą obchody – nie wokół odcinka rocznicowego i powrotu do roli Doktora Davida Tennanta, ale niedowierzania, że można jeden serial utrzymać przez pięćdziesiąt lat i ciągle robić go z sensem.

Pierwszy odcinek *Doctora Who*, zatytułowany *An Unearthly Child*, został wyemitowany przez BBC 23 listopada 1963 roku. Legenda głosi, że odpowiedzialność za jego niską oglądalność ponosi sam John F. Kennedy, którego

śmierć w przeddzień premiery przyćmiła ją, przykuwając uwagę brytyjskich widzów raczej do faktów niż fantazji (dla ścisłości dodam jednak, że przyczyn było więcej i były one dość prozaiczne). Szczęśliwie *Doctor Who* miał zdeterminowanych i upartych twórców, którzy doprowadzili do pierwszego z licznych precedensów w historii serialu: namówili BBC na wyemitowanie powtórki. O ile jednak cztery pierwsze odcinki nie wzbudziły wielkiego entuzjazmu, to kolejna historia, opowiadająca o konflikcie dwóch ras w postapokaliptycznej scenerii obcej planety, wstrząsnęła społeczeństwem pamiętającym jeszcze doskonale wojnę światową, zachwyciła zgromadzone przed telewizorami dzieci i zadecydowała o sukcesie produkcji i narodzinach jej fenomenu. O pierwszych latach serialu opowiada doskonały film *Przygoda w czasie i przestrzeni* (*An Adventure in Space and Time*, 2013, BBC), warty uwagi również osób, które *Doctora Who* nie znają lub nie zdołały się do niego przekonać, bo wspaniale przedstawia ówczesne realia i opowiada zaskakująco ekscytującą historię. Zamiast czytać moją historyczną narrację, w ramach zadania domowego obejrzyjcie ten film.

Charakterystyczną cechą serialu jest to, że od ponad pół wieku opowiada historię jednego bohatera. Doktor wielokrotnie zmieniał twarz, a wraz z nią cechy charakteru, strój i manieryzmy, ale pozostawał tą samą postacią o nieskończeniu rozciągliwym życiorysie. Wraz z kolejnymi aktorami wcielającymi się w główną rolę zmieniał się format serialu, stylistyka, grupa docelowa, udało mu się jednak zachować ciągłość aż do 1989 roku, kiedy nie podjęto decyzji o zamówieniu dwudziestego siódmego sezonu, w którym w roli Siódmego Doktora wróciłby, obecnie znany głównie z roli w ekranizacji *Hobbita*, brytyjski aktor Sylvester McCoy.

Zawieszenie serialu było ciosem dla widzów, nie oznaczało jednak końca fandomu – wtedy fani, pozbawieni bezpośredniego



fol. Mateusz Kozielecki

bodźca, zabrali się za kompensowanie sobie tego na różne sposoby. Powstawały kluby i grupy dyskusyjne, nieusatsfakcjonowani widzowie własnymi siłami kontynuowali przygody Siódmego Doktora, a później także wątki poprzednich inkarnacji, w powieściach, które wkrótce patronatem objęło BBC. W 1996 roku podjęto próbę wznowienia serialu we współpracy z amerykańską stacją Fox. Powstał film, z Paulem McGannem w roli Ósmego Doktora, poruszający temat ówczesnego lęku przed przełomem tysiącleci. Nie był jednak pod żadnym względem filmem dobrym i zrezygnowano z planu kontynuowania go w formie telewizyjnej serii. Musiało minąć kolejnych dziewięć lat, by serial mógł wrócić i to bez kombinowania – jako regularna produkcja telewizyjna zamówiona i emitowana przez BBC One. Za sterami stanął Russell T. Davies – jeden z fanów, którzy dekadę wcześniej pisali licencjonowane fanfiction i z zamiłowaniem do nieemitowanego już serialu zdecydowali się spróbować swoich sił w telewizji. Miał już wówczas na koncie kilka cenionych produkcji, w tym kultowy serial *Queer as Folk* (1999–2000). Uruchomił maszynę, która gładko się toczy do dziś. Obecnie Whoniversum zмага się z pożegnaniem Dwunastego Doktora (Peter Capaldi) i showrunnera ostatnich kilku serii, Stevena Moffata. Czas wielkich zmian budzi niepokój, fani wiedzą

jednak, że to właśnie zmiany są tym, co utrzymuje *Doctora Who* przy życiu od tak dawna i wbrew wszelkim przeciwnościom i wierzą, że serial dzięki temu jest potencjalnie nieśmiertelny. Tego też mu życzą – zdecydowana większość nie wyobraża sobie, żeby kiedykolwiek mógł się skończyć. Zostać anulowany? Tak. Mieć coraz dłuższe przerwy między seriami? Może. Ale definitywnie się zakończyć? Nie ma takiej możliwości.

Serial to jednak zaledwie wierzchołek góry lodowej. Niemal od początku towarzyszyły mu dodatki; od okolicznościowych publikacji, przez paski komiksowe i nowelizacje odcinków zastępujące nieistniejące wówczas kasety VHS, po regularne serie powieści, sezony słuchowisk i tomy komiksów oraz powiązane z serialem gadzety. Najlepiej chyba ilustruje to fakt, że Doktor Paula McGanna – ten, który pojawia się w amerykańskim filmie – jest inkarnacją, która zajmuje pierwsze miejsce pod względem liczby historii, których jest bohaterem. Jak to możliwe? Ma własne serie słuchowisk, komiksów i powieści. Nie fanfiction, tylko oficjalnych, licencjonowanych publikacji opowiadających o jego przygodach. Wszystko to jest odpowiedzią na zapotrzebowanie – nie opowiadano by historii, gdyby nie miał ich kto słuchać, ale przez to bycie fanem Whoniversum to raczej życiowe powołanie niż przejściowa pasja.

Jednak patrząc realistycznie, jest mało prawdopodobne, by widz miał tyle determinacji, by poważnie rozważyć ogarnięcie całego *Doctora Who*. Nawet pomijając barierę językową, która w polskim kontekście jest istotna, jest tego zwyczajnie za dużo – a ciągle wydawane są nowe opowieści. Młody polski fandom skupia się na nowych seriach (których już niedługo będzie dziesięć, co już samo w sobie robi wrażenie), a całą resztę traktuje raczej jako ciekawostkę i plan na nieokreśloną przyszłość. Zaangażowanie w doktorowe Expanded Universe wymaga determinacji i wiedzy. Uporządkowana konsumpcja nie wchodzi w grę – każdy kłusuje na swoich własnych zasadach, wybierając z ogromu to, co ma szansę najbardziej go zainteresować, przez co trudno pewnie byłoby znaleźć dwóch członków fandomu, dla których doświadczenie o nazwie „ogarnianie *Doctora Who*” oznaczałoby pochłonięcie tych samych tytułów, różnią się więc wiedzą i poglądami na temat tego, co stanowi o istocie serialu. Każdy fan ma swoje własne Whoniversum.

Kiedy pada pytanie, skąd popularność *Doctora Who*, myślę, że chodzi właśnie o tę różnorodność i głębię, a zarazem elastyczność. Ale także o to, że ten serial jest niezwykle bogatym źródłem kulturowych aluzji i nowatorskich pomysłów, które można analizować w nieskończoność z niezliczonych punktów widzenia. Oraz o to, jak łatwo na jego bazie zbudować kod komunikacyjny błyskawicznie integrujący widzów w sekretne stowarzyszenie porozumiewające się językiem dziwnych aluzji i niezrozumiałych żartów. Wiedza o serialu rozprzestrzenia się głównie pocztą pantoflową. Większość fanów dowiedziała się o nim od bliskiej osoby, a następnie poniosła kaganek dalej. Łatwo wejść w ten świat, gdyż ma wiele bram. Nie trzeba zaczynać od początku (1963) ani drugiego początku (2005), ani nawet dowolnego innego początku (2010, 2014). Można wskoczyć w sam środek, kierując się dowolnymi

kryteriami i nawet najwybredniejszy widz, jeśli wykaże się cierpliwością, znajdzie w tym serialu coś, co do niego przemówi.

Mimo świadomości ogromu, z którym w jakimś momencie trzeba się zmierzyć, zdecydowana większość fanów pozostaje przy ostatnich seriach, przystających stylem i formą do innych współczesnych produkcji telewizyjnych. Przerwy między krótkimi sezonami często trwają ponad rok i trzeba czymś zapełnić pustkę. Można innym serialem – wtedy jednak w fanowskim sercu może dojść do próby sił – albo poszukiwaniami i twórczością. Fani siostrzanej produkcji, *Sherlocka*, długie przerwy między emisjami śmiesznie krótkich serii wypełniali własną kreatywnością – dogłębnymi analizami, fanfiction, sztuką i różnymi przejawami fanowskiego szaleństwa. Fani *Doctora Who* zdają się być nieco mniej analityczni, ale nie mniej kreatywni. Powstają teksty i grafiki, publicystyka i miejsca dyskusji, niezwykle dla fanów istotne. Najpierw było forum (Doctor Who Polska<sup>4</sup>), później drugie forum i blog (Whomanistyka<sup>5</sup>), a następnie wybuch aktywności na Facebooku. Szlaki przetarła obecnie największa grupa, Obywatele Gallifrey. Z czasem powstawały kolejne, w tym Pod kopułą, powiązana z największą tematyczną stroną w polskim internecie, wyrosłym z Obywateli portalem Gallifrey<sup>6</sup>. Zgromadziła się wokół niego grupa fanów zainteresowanych aktywnym tworzeniem, przede wszystkim tekstów publicystycznych i recenzji. Dostarczają polskich wersji wywiadów i wiadomości ze świata serialu i jego okolic oraz propagują swój ulubiony serial na konwentach. W tym środowisku narodziła się idea Whomanikonu<sup>7</sup>, krakowskiego konwentu o *Doctorze Who*, którego druga edycja odbędzie się w dniach 1–2 kwietnia tego roku. Spotkanie

4 <http://drwhoforum.pl>

5 <http://whomanistyka.blogspot.com/>

6 <http://gallifrey.pl>

7 <http://whomanikon.pl>

na żywo jest świętem – codziennością jest internet, a fandom najwygodniej jest dzielić na podgrupy, biorąc pod uwagę miejsca wirtualnych zgromadzeń.



foto. Loe Gingerstorm

Whomanikon poprzedzony był kilkoma latami narastania whoviańskiej aktywności na konwentach; widoczność fanów *Doctora Who* rośnie mniej więcej od 2013 roku. Nie ma już chyba w tej chwili większego konwentu, na którym doktorowa tematyka nie jest poruszana. Najbardziej rzucają się w oczy cosplayerzy; szczególnie na Pyrkonie co roku nie sposób zliczyć czerwonych fezów, kolorowych szalików, muszek i niebieskich strojów z wzorem TARDIS – podstawowych fanowskich atrybutów. To są też momenty największej fanowskiej radości, bo whovianie błyskawicznie się rozpoznają; mają poczucie, że znają się od lat, choć spotkali się na poprzedniej prelekcji. Bez względu na to, czy ktoś zatrzymał się na powierzchni Whoniversum czy wniknął w głąb, może się w takiej grupie doskonale bawić, bo też na każdym poziomie można znaleźć coś interesującego i poruszającego. Widać to doskonale w konwentowych programach. Z jednej strony pojawiają się prelekcje dotyczące treści – na przykład serialowych potworów, z drugiej – dogłębnějšíe analizy, chociażby

psychologii bohaterów czy recepcji wątków antycznych, a nawet jeszcze dalej – stosowanie wyspecjalizowanych narzędzi analitycznych, na przykład stylometrycznych, albo wręcz mocniej oderwane od serialu próby odnoszenia go do innych kwestii, przykładowo historii etnografii. Wszystkie poziomy zainteresowania ze sobą współgrają.

W internecie bywa trochę mniej przyjemnie niż na żywo. Podczas spotkań animozje często spychane są na dalszy plan, ale w sieci fani *Doctora Who* znani są ze swoich mocnych – choć nie zawsze mocno podbudowanych – opinii na każdy temat związany z serialem. Rzadko jednak różnice zdań przeradzają się w kłótnie, a wszystkie obozy i konflikty funkcjonują bardziej na zasadzie memu niż faktycznej nienawiści. Ciekawe jest to, jak wiele miejsca poświęca się szukaniu lokalności w tym na wskroś brytyjskim przecież serialu. Widać to w różnych formach grupowej działalności twórczej, dyskusjach i kodzie komunikacyjnym. Fani chcieliby w serialu zobaczyć nawiązanie do Polski, powracającym tematem dyskusji jest najlepszy cel dla Doktora w polskiej historii, toczą się niekończące się spory o niuanse w tłumaczeniu czy polski sposób opisu serialu. Specyficznie polskie wątki w dyskusjach i zwyczaje spajają członków fandomu równie mocno, co sam serial – przybliżają go do nich i dokładają fanom kolejny element, który ich łączy. Niektórzy uważają polski fandom serialu za odnogę fandomu globalnego, różniącą się od niego tylko językiem komunikacji, ale raczej nie jest to prawdą – polscy fani nadbudowują na serialu i anglojęzycznej kulturze fanowskiej własne wątki, które są dla ich fanowskiej tożsamości bardzo istotne, a do dorobku fandomu globalnego sięgają rzadziej.

Każdy członek grupy ma unikatowy zestaw zainteresowań, aktywności i potrzeb realizowanych poprzez uczestnictwo w fanowskiej wspólnocie. *Doctor Who* wydaje się idealny

jako baza dla takiej patchworkowej zbiorowości, w której każdy jest zupełnie inny i każdy, odbierając tę samą treść, wyciąga z niej coś innego. Trudno oczekiwać, że zaangażowani odbiorcy serialu, który jest tak ogromny i różnorodny, nie będą również sami niezwykle zróżnicowani. Są więc tacy, którzy z zachwytem oglądają każdy odcinek i tacy, którzy od pięciu serii uprawiają *hatewatching*; tacy, którzy oglądają nowe odcinki w miarę ich pojawiania się i tacy, którzy oglądają nie po kolei lub za punkt honoru postawili sobie oglądanie serialu od samego początku (spoiler: zapewne im się to nie uda). Są osoby bardzo młode, dla których bariera językowa jest na razie nie do przeskoczenia i osoby dwujęzyczne, które w ilościach hurtowych pochłaniają słuchowiska i komiksy. Są wreszcie tacy, którzy poza oglądaniem odcinków niewiele robią i tacy, dla których serial jest ważny, ale znacznie ważniejsze – wszystko, co dzieje się wokół niego, a więc społeczność i jej aktywności.

Fandom – nie tylko ten, ale zwłaszcza ten – jest problematyczny, bo niesamodzielny, rozproszony i ma płynne granice. Nikt nie jest w pełni w niego zanurzony. To grupa szukająca i konstruująca znaczenia z tego, co dla większości społeczeństwa jest bezwartościowe i nieistotne. Podoba mi się nazywanie fandomu *światem weekendowym* – w takim ujęciu jest on miejscem, do którego możemy się udać, by zająć się tym, co istotne – istotne dla nas, personalnie, nie według społecznych norm i oczekiwań. Jak stwierdziła jedna z moich respondentek, „Nie chodzi o to, by się oderwać od ważnej rzeczywistości, ale o to, by przez chwilę pozajmować się czymś, co jest naprawdę zajmujące i istotne”. To jest właśnie sednem fandomu. Jest *inną* wspólnotą, do której można przynależać i nie stracić indywidualności, do której można łatwo się przyłączyć i wyjść bez żadnych konsekwencji, za pomocą której można konstruować część swojej tożsamości

lub nie – niemal wszystko, co związane jest z taką formą przynależności, jest negocjowalne i zależy od indywidualnej decyzji.

Jest jeszcze jeden ważny aspekt fandomu *Doctora Who*: to miejsce, w którym można się realizować, odpocząć od presji, znaleźć azyl – co odgrywa niebagatelną rolę na przykład w życiu osób nieheteronormatywnych, których w tej grupie, według badań, jest niemal 25%, czyli o wiele więcej, niż wynosi społeczna średnia. Fandom to miejsce, w którym można szczerze się cieszyć, angażować się, nawiązywać kontakty szybko i bezpośrednio, współdziałać, kreować, zdobywać nowe zainteresowania i pasje, odkrywać, szukać bliskości. Okazało się, że w przypadku *Doctora Who* kwestie światopoglądowe odgrywają dość istotną rolę; serial przyciąga osoby o filozofii życiowej niesprzecznej z tą prezentowaną przez głównego bohatera, grupa fanowska postrzegana jest więc jako bezpieczna przestrzeń ekspresji światopoglądu. Fandom jest równocześnie azylem dla marzycieli i mniejszości.

Fandom to grupa *ad hoc*, wspólnota doraźna, do której czasami się przynależy mocno, czasami wcale, w której ma się ogromne możliwości, ale nie musi się z nich korzystać. Fandom jest od tego, by być, kiedy jego członkowie go potrzebują, a nie przeszkadzać im, gdy zwyczajają inne tożsamości, codzienne życie, inne zainteresowania. Jest jednak zawsze otwarty na nowych członków i tych starych, którzy nagle sobie o nim przypominają; na dyskusje i kontrowersje, szalone inicjatywy i ambitne projekty. Wędrujący Dalek obecnie gdzieś zaginął. Nie zdołałam dowiedzieć się, gdzie przebywa. Być może kurzy się na czyjejś półce, zapomniany, bo emocje opadły i entuzjazm przeniósł się gdzie indziej, jestem jednak przekonana, że wróci i znów będzie krążyć z rąk do rąk, przyjmowany uroczysto jako symbol czegoś bardzo trudnego do zdefiniowania, ale jasnego dla wszystkich, którzy tego doświadcniają.

MAGDALENA STONAWSKA

# Najlepszy konwent odbędzie się na mojej kanapie

Artur Nowrot, Karolina Fedyk

KF: ...a ja będę siedzieć na niej i popijać gorącą czekoladę, rozmawiając z internetowymi znajomymi, komentując prace ulubionych artystów i śledząc newsy dotyczące gier. Choć spotkamy się na jednym komunikatorze, to będziemy rozrzućeni po wszystkich możliwych strefach czasowych i w pewnym momencie któreś z nas znów zorientuje się, że zasiedziało się do czwartej nad ranem. Cóż, powyższy scenariusz jest daleki od ideału, lecz przypuszczam, że dla wielu to najlepszy – jedyny – sposób utrzymywania kontaktu z tą częścią fandomu, z którą się identyfikują. Częścią, która skupia swoją uwagę na serialach i mniej popularnych książkach czy komiksach; która chętnie sięga po subwersywne media i fanfiki; która woli raczej bawić się materiałem źródłowym niż strzec go niczym oka w głowie. Do niedawna ten fandom był efemerydą – dopiero w ciągu ostatnich kilku lat zobaczyłam na „tradycyjnych” konwentach uczestników noszących tumblrowe wianki, a w programach wydarzenia stworzone przez nich i z myślą o im podobnych fanach. A może ta grupa w ogóle nie istnieje? Czy skupiam się teraz tylko na moich znajomych z mediów społecznościowych? I jeśli tworzymy fandom, lub subkulturę w jego obrębie – co nas określa?

AN: Tyle pytań, od czego tu zacząć! Spróbujmy od początku.

Wydaje mi się, że rzeczywiście w Polsce tworzy się nowy model fana i chyba najlepiej

będzie porównać go ze „starym” polskim fandomem fantastycznym, który powstał w latach 70. Był to u swoich początków fandom skupiony przede wszystkim na literaturze, w przeważającej mierze złożony z mężczyzn i, jako część kontrkultury, stojący w opozycji nie tylko do szeroko pojętego mainstreamu, ale też do komunistycznego *status quo*<sup>1</sup>. Fandom ten cechuje się do dziś, jak sądzę, dużym poczuciem ciągłości: fani z lat 70. i 80. w kolejnych dekadach stawali się uznanymi twórcami. Nowi fani dołączają do istniejących już klubów lub przyjeżdżają na konwenty i w ten sposób stają się częścią społeczności.

Realia się jednak zmieniły. Dojrzewa obecnie pokolenie, które nie pamięta ani komuny, ani nowego, wspaniałego świata polskiego turbokapitalizmu lat 90. Dla tych ludzi Internet jest tak naturalny jak powietrze i zapewnia dostęp do całej masy tekstów kultury z najróżniejszych obszarów świata i najróżniejszych mediów, a kultura geekowska to nie margines, którego być może należy się nieco wstydzić, ale pełnoprawna i wszechobecna część kultury popularnej i kultury w ogóle. Nie są oni zawsze ani całkowicie odizolowani od fandomu, o którym pisałem wcześniej (konwenty to nadal świetne miejsce spotkań nie tylko dla fanów

<sup>1</sup> Zob. np. A. Wierzchowska, *Literacka subkultura? Polski fandom w latach osiemdziesiątych*, w: *Spółczesność polskie w latach 1980–1989*, red. N. Jarska, J. Olszok, Warszawa 2015.

z różnych rejonów Polski, lecz także odmien-nych obszarów popkultury), ale taka sytuacja zaowocowała na pewno wytworzeniem nowych przestrzeni fanowskich, zarówno wirtualnych, jak fizycznych, i pojawieniem się nowych grup fanów, często przywiązanych nie do fantastyki w ogóle, ale do konkretnego medium czy tekstu kultury (książki, serialu).

Jedną z najistotniejszych dla mnie kwestii jest to, że nowy fandom tworzą przede wszystkim kobiety – do dziś dobrze pamiętam relację z Serialkonu, której autor narzekał, że program jest za bardzo na nie nastawiony. Czy myślisz, że płeć to istotny czynnik różnicujący fandom?

KF: Przede wszystkim chciałabym podkreślić, że wskazałeś bardzo ważne aspekty tego fandomu: jego skupienie się na społecznościach internetowych (co teraz, jak sądzę, ulega zmianie, ale zaczęło się od blogów i forów oraz spotkań w przestrzeni wirtualnej), łatwy dostęp do mediów, o którym wspomniałeś, i młody wiek. Choć zmagania z sowieckim reżimem wciąż stanowią ważną część naszej narodowej tożsamości, to młodsze pokolenia stoją przed innymi wyzwaniem – i szukają tekstów kultury, które będą odzwierciedlać ich rzeczywistość. Ci fani widzą swoje fascynacje i lęki odzwierciedlone raczej w wielokulturowej scenerii z seriali BBC lub dystopiami takich jak *Igrzyska śmierci* niż w retellingach historii Polski.

Zaś co do struktury płciowej fandomu – myślę, że to odpowiedź na czasy, gdy (niekoniecznie liczna, choć niestety wyraźna) część „starego” fandomu nie była przyjazna kobietom. Pomijając Inglota zakazującego kobietom uczestnictwa w Letnich Obozach Fantastyki, zdarzało się podejrzewanie fanek o bycie „fake geek girl”. Powszechne było przekonanie, że dziewczyny nie interesują się fantastyką – a jeśli już to robią, to należy traktować je szczególnie: albo z nieufnością, albo stawiając na piedestale. Tymczasem kobiety chciały być po prostu fan-kami i naturalną kolejną rzeczą było, że zaczęły

tworzyć swoje własne przestrzenie, nawet jeśli oznaczało to wyjście poza główny nurt fando-mowego dyskursu. Te dwie grupy fanów istniały w Polsce równolegle; nie jesteśmy zresztą w tym wyjątkowi, podobna sytuacja miała miejsce na przykład w amerykańskim fandomie „Star Trek”. Teraz struktura fandomów zmienia się i jesteśmy świadkami pewnej konwergencji, choć niedawne badanie polskiego fandomu *Participatory Poland*<sup>2</sup> wykazało, że fanki wciąż są trak-towane jako nietypowe zjawisko.

Dużo mówimy o płci, ale ten nowy fandom nie broni wstępu nikomu. Jeśli jednak musia-łabym wskazać jakieś kryterium – byłaby nim kreatywność. I swobodne podejście do kultury. A może w tym wypadku te dwa pojęcia ozna-czają jedno i to samo?

AN: Nie chciałbym sugerować, że jeden z fandomów jest bardziej kreatywny od dru-giego, ale na pewno istnieją różnice w tym, jak ta kreatywność się przejawia. Starszy fan-dom mocno skupia się na recenzjach (można o tym przeczytać np. w we wspomnianym ra-porcie *Participatory Poland*) i tekstach bazują-cych przede wszystkim na faktach, historiach czy przewodnikach po franczyzach, gatunkach, motywach (taki rodzaj publicystyki dominuje np. w „Nowej Fantastyce”). Nowy preferuje ra-czej fanfiki i bardziej osobiste eseje, opowiadają-ce o powodach lubienia postaci lub dokonujące interpretacji komiksów, seriali, książek...

Mówiąc krótko, różnica pokrywa się moim zdaniem z powstałym na DreamWidth podzia-łem na fandom afirmatywny (bardziej hierar-chiczny, skupiony na oryginalnych tekstach) i transformatywny<sup>3</sup> (nieformalny, przekształ-

2 J. Janik, J. Kucharska, T.Z. Majkowski i in., *You forgot Poland: Exploratory Qualitative Study of Polish SF and Fantasy Fandom*, <http://henryjenkins.org/2013/12/participatory-poland-part-five-you-forgot-poland-exploratory-qualitative-study-of-polish-sf-and-fantasy-fandom.html>, dostęp 27.12.2016.

3 obsession-inc, *Affirmational fandom vs. Transformational fandom*, <http://obsession-inc.dreamwidth.org/82589.html>, dostęp 10.01.2017.

cający teksty w twórczy sposób). Być może właśnie to swobodne podejście, o którym wspominasz, jest głównym czynnikiem różnicującym – w końcu kiedy młodszy fandom dzieli się oryginalną i fanowską twórczością w Internecie, starszy debatuje nad tym, czy książki opublikowane w vanity pressach zasługują na nominacje do Zajdla.

Ten potencjał transformacyjny owocuje też w moim odczuciu bardziej krytycznym podejściem do mediów i większą otwartością na innowacje. Widać to bardzo dobrze we wszelkich dyskusjach o reprezentacji – to zwykle nowy fandom ma w tym zakresie większe oczekiwania i bardziej entuzjastycznie wita nietradycyjne postacie i opowieści.

Nasuwają mi się pytania: jak wyglądają interakcje między tymi fandomami? I czy w ogóle wprowadzanie takich podziałów ma sens? Może powinniśmy dążyć do większego zjednoczenia?

KF: Nie chcę dzielić fandomu – ale nie chcę też negować różnych potrzeb, jakie istnieją w jego obrębie. Często słyszy się opinie, że kiedyś

fandom był tylko jeden, jednomyślny, apolityczny i dla wszystkich, a teraz jest na siłę i niepotrzebnie dzielony. Autorzy tych słów – choć niewątpliwie mają dobre intencje i zależy im na wspólnocie – zapominają, że ten niedysiejszy jeden fandom nie dla wszystkich był przyjazną grupą; po prostu osoby, które czuły się tam źle albo nie mówiły o swoich doświadczeniach, wycofywały się ze społeczności. Zwrócenie na nie uwagi nie dzieli, a wzbogaca. Dla mnie szczególnie interesującym aspektem twórczości nowego fandomu i skupienia na osobistym doświadczeniu jest etyka dzielenia się. W tej grupie gros energii twórczej nakierowany jest na innych; wymienianie się fanartami, robienie sobie prezentów, pisanie fanfików na życzenie. Obecnie chyba każde większe polskie miasto organizuje fandomowe mikołajki. Dla uczestników tego i podobnych wydarzeń fandom polega na współtworzeniu.

Interakcja między tymi dwoma fandomami jest najbardziej widoczna na konwentach – coraz częściej nowy fandom wprowadza konkursy i panele skierowane do siebie,



Evelicim porpor reptam

Elzbieta Glowacka

do swojej widowni. Nierzadko spotyka się to z lekceważeniem ze strony „starej gwardii”, choć coraz więcej jest osób, które do pewnego stopnia uczestniczą w obu fandomach. Ostatecznie te grupy nie wykluczają się wzajemnie, wbrew temu, na co może wskazywać nasz dobór słów.

Po namyśle stwierdzam: warto też dodać, że żadna z tych grup nie jest jednomyślna. Oba fandomy mają swoją wewnętrzną dynamikę, a ich uczestnicy prezentują rozmaite przekonania.

Osobiście chciałabym zobaczyć więcej tych interakcji. Wierzę, że stary fandom może dużo zyskać, jeśli otworzy się na nowe, różnorodne głosy – i jeśli nauczy się, że ucisanie krytycznych opinii szkodzi rozwojowi kultury, także tej popularnej. Nie tak dawno w Internecie rozgorzała dyskusja o reprezentacji kobiet w książkach Stanisława Lema – wielu jej uczestników zdawało się nie rozumieć, że można cieszyć się jego tekstami i doceniać je, jednocześnie będąc świadomym tych problematycznych aspektów. Z drugiej strony, nowy fandom nie ma struktury, wydaje się wręcz rozproszony (choć, z rosnącą popularnością SerialConu i Whomanikonu, i to się zmienia), przez co często nie zostaje w ogóle zauważony. Podejrzewam, że niewielu nowych fanów rozważa nominowanie tekstów do Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla – choć przecież mogliby w ten sposób zwrócić uwagę na swoją ulubioną fantastykę.

Co o tym sądzisz? I jak wyobrażasz sobie przyszłość fandomu – lub fandomów?

AN: Jestem introwertykiem, więc podoba mi się pewna kameralność nowego fandomu – wolę spotkania w niewielkim gronie przyjaciół od potężnych gromad fanów. Mniejsze grupy zapobiegają poczuciu przytłoczenia i bardziej sprzyjają rozmowie – o wiele łatwiej jest skupić się na sobie nawzajem, gdy kilka osób siedzi przy stoliku z kawą niż w wielkiej sali wykładowej, gdzie jeden człowiek zajmuje centralne

miejsce. Mam więc nadzieję, że w przyszłości tożsamość nowego fandomu bardziej się wykrystalizuje (to coś, co warto docenić w starym fandomie, który posiada widoczne struktury i w związku z tym może łatwo przyciągać nowych ludzi). Bardzo bym chciał, żeby niniejszy artykuł się do tego przyczynił, skłaniając innych do refleksji nad tym, w jaki sposób uczestniczą w fandomie i jaki sposób uczestnictwa jest dla nich najbardziej komfortowy – być może w ten sposób powstaną nowe sposoby organizacji.

Chciałbym też jednak, żeby nowy fandom nie izolował się nadmiernie. Mam nadzieję, że wszyscy nadal będziemy utrzymywać kontakty online, wspierać się nawzajem na Patronice, organizować mini – i mikrokonwenty (a także konwenty typowych rozmiarów, bo dlaczego nie), że będziemy nadal formować więzi i znajdować nowe powody do ekscytacji. No i że będziemy uczestniczyć w życiu starego fandomu – możemy się od siebie wiele nauczyć.

KAROLINA FEDYK – Pochodzi z Krakowa, choć natura nomady wzięła górę nad sentymentem wobec rodzinnego miasta.

Przeplata zainteresowania naukowe z literackimi. Lubi kawę, sowy, uczyć się języków obcych i robić na drutach. Pisze w dwóch językach; jej teksty ukazały się w „Strange Horizons”, „Esensji”, „StarLine” i „Smokopolitanie”. Tweetuje jako @karigrafia.

ARTUR NOWROT – Górnolślązak mieszkający w Krakowie. Pisze i tłumaczy poezję i prozę. Współpracował z „Poltergeistem”, „Magazynem Miłośników Komiksu KZ”, „Pulpozaurem”, „Popmoderną” i „Widmami”. Interesuje się kulturą Wielkiej Brytanii, lubi czytać realizm magiczny z różnymi proporcjami realizmu i magii. Na blogu Wysznupane.blogspot.com publikuje poezję i mikroopowiadania.



# Tam, gdzie zaczyna się magia

Karolina „Hypatia” Fido

Karolina Fido, z wykształcenia anglistka, swoją przygodę z larpami zaczęła w 2010 roku.

Z początku brała udział w niewielkich inicjatywach lokalnych, z czasem zaś zaczęła udzielać się na dużych konwentach. Obecnie z przyjemnością eksploruje różne style gry i podróżuje po Europie, biorąc udział w zagranicznych larpach i wymieniając się doświadczeniami z graczami z całego świata. Zagrała w pięciu odsłonach larpa **College of Wizardry** i od 2015 roku aktywnie uczestniczy w życiu CoW-owej społeczności. Liczne rozmowy w środowisku skłoniły ją do przeprowadzenia serii wywiadów ze współgraczami i przedstawienia ich opinii w artykule, dzięki któremu być może uda się przybliżyć czytelnikom zarys fenomenu larpa, który już trzeci rok cieszy się ogromną popularnością.

*College of Wizardry* to larp organizowany na zamku Czocha przez międzynarodową grupę twórców działających pod szyldem Dziobak Larp Studios. Pierwsze trzy edycje osadzone były w świecie Harry’ego Pottera, jednak od czwartej edycji gra odbywa się w autorskim uniwersum, współtworzonym przez organizatorów oraz graczy. Coraz większa liczba wolontariuszy z różnych krajów bierze udział w tworzeniu ciekawego, spójnego świata luźno inspirowanego twórczością J.K. Rowling, jednak posiadającego swój własny, unikalny klimat.

W samym larpie jednorazowo uczestniczy ponad 120 graczy, których grę wspiera armia pomocników i bohaterów niezależnych. Doświadczenia dopełniają autentyczne zamkowe wnętrza z sekretnymi korytarzami, lochami i wieżą, a także imponujące kostiumy, rekwizyty i efekty specjalne przygotowane zarówno przez organizatorów, jak i przez samych graczy.

W listopadzie larp miał swoją dziesiątą odsłonę, a bilety na kolejne edycje wciąż

rozchodzą się jak świeże bułeczki – nie tylko wśród nowych ludzi, zachęconych opowieściami znajomych, ale także wśród osób, które już zasmakowały w świecie CoW-a i nie mogą doczekać się, aby do niego powrócić. Dlaczego? Co sprawia, że *College of Wizardry* cieszy się tak ogromną popularnością i że gracze wciąż nie mają go dość?

## POSTACIE

Przed wszystkim twórcy larpa dają uczestnikom ogromną swobodę w decydowaniu o rolach, które przypadnie im grać. Formularz zgłoszeniowy pozwala zaznaczyć swoje preferencje odnośnie wymarzonej postaci – można zdecydować, czy chce się grać uczniem czy nauczycielem, pierwszorocznikiem czy kimś starszym, który dom interesuje nas najbardziej albo którą z pięciu ścieżek przyszłej kariery nasz bohater chciałby zszlifować. To właśnie w tym momencie można również zdecydować, czy chcemy otrzymać rolę od organizatorów, czy

napisać swoją. Po wypełnieniu ankiety i przetworzeniu jej wyników otrzymujemy podstawowe informacje o postaci – rok, ścieżkę (kierunek studiów) oraz ewentualny dom (chyba że gramy pierwszorocznym studentem, który do domu zostanie przydzielony dopiero na larpie). Oprócz tego, jeśli zażyczyliśmy sobie gotową postać od organizatorów, otrzymujemy również opis naszego bohatera. Taka informacja zawiera krótki zarys tła, pochodzenie postaci, a także trzy istotne kategorie – ciemną i jasną stronę osobowości postaci, proponowane relacje, które gracz może stworzyć przed larpem, oraz pytania, dotyczące osobowości postaci, na które gracz sam wymyśla odpowiedzi.

„Świetnym rozwiązaniem jest możliwość, że – jeżeli rola nie przypadnie mi do gustu – mogę ją sobie zmienić w dowolnym momencie. Raz na przykład otrzymałam rolę sztywnego kujona z bogatej rodziny, a w głębi ducha chciałam zagrać imprezową studentkę, która nagminnie spóźnia się na zajęcia i za skarby świata nie potrafi poprawnie zawiązać krawata. Nikt nie robił żadnego problemu z faktu, że zmieniałam osobowość postaci. Organizatorzy zachęcają nas do takiego dopasowania bohaterów do własnych oczekiwań, aby mieć z gry jak największą frajdę. Za to między innymi uwielbiam CoW – za zaufanie, jakim obdarzają nas twórcy” – graczka z Danii, CoW 3 i 7.

Role, które można odgrywać, to studenci trzech różnych lat, pięciu domów oraz pięciu różnych specjalizacji. Poza tą pulą są także postacie nauczycieli oraz innych osób z kadry szkolnej – woźny, psycholog szkolny czy reporter. Granie ucznia całkowicie różni się od odgrywania nauczyciela – dynamika między postaciami jest inna, inne są również prawa, obowiązki, a nawet zasady mechaniki.

„Pierwszorocznik zwykle przegrywa magiczny pojedynek ze starszym studentem, ot taka jest umowna zasada. Zdarzają się wyjątki, jak na przykład członkowie klubu pojedynków

albo studenci trenowani prywatnie przez nauczyciela, ale zwykle im niżej jesteś w szkolnej hierarchii, tym słabsze są twoje umiejętności w określonej dziedzinie. Nauczyciel automatycznie wygrywa pojedynek ze studentem, chyba że z powodów fabularnych sam zdecyduje, że powinien przegrać. W ten sposób budujemy określoną hierarchię i autorytet konkretnych postaci” – graczka z Niemiec, CoW7.

„Takie rozwiązanie pozwala także wyeliminować postacie typu Mary Sue. Jeśli jesteś juniorem, który dopiero co przybył do szkoły, to raczej nikt nie uwierzy, że swoimi umiejętnościami przewyższasz profesorów, chyba że ma to jakieś fajne uzasadnienie fabularne i jest okupione solidnymi wadami w innych dziedzinach, a inni gracze nie będą mieli nic przeciwko takiemu rozwiązaniu. Ja na przykład gram genialnego wynalazcę, takiego trochę magicznego MacGyvera, który potrafi sklecić artefakt z paru zapalek i machnięcia różdżką. Problem w tym, że bez tych urządzeń jestem fatalnym czarodziejem i nawet najprostsze czary kosztowały moją postać lata praktyki. Takiego bohatera świetnie się gra, bo jego słabości wymuszają konieczność budowania relacji z innymi postaciami, a talent nadaje mu unikalności” – gracz z Danii, CoW8.

## FABUŁA

Podczas gdy wiele rodzimych larpów przyzwyczało nas do sytuacji, w której fabuła tworzona jest przez organizatorów gry, tak w przypadku *College od Wizardry* fabułę tworzą sami gracze. Owszem, istnieją wątki napisane przez organizatorów i wprowadzane do gry przez NPC-ów, jednak jeżeli gracze nie są nimi zainteresowani, wątków tych absolutnie się nie forsuje. Istnieją one jako tło dla wydarzeń wprowadzanych w życie przez samych graczy oraz jako alternatywa dla osób, które wyczerpały potencjał własnych wątków i chciałyby wziąć udział w przygodzie zorganizowanej

przez NPC-ów. Jest to również swego rodzaju „zabezpieczenie przed nudą”.

„Jeżeli zacznę szwendać się wieczorem po lesie, mam niemal jak w banku, że trafię na jakieś wydarzenie z udziałem NPC-ów – na przykład spotkam łowcę nagród, który poszukuje jakiegoś zbiega, albo pogoni mnie banda magicznych stworów. To jest magiczna szkoła położona w sercu magicznego lasu. Tu nie ma opcji się nudzić” – gracz z Finlandii, CoW6 i 8.

Niczym w starych, dobrych RPG-ach miejscem, gdzie gracz spotkać może NPC-ów, czekających na postacie gotowe podjąć ich wątki, jest przyzakmowa tawerna. To tam wiszą listy gończe za osobami, które można później spotkać na korytarzach, tam sączą piwo przybysze spoza szkoły, tam też nauczyciele i studenci mogą wspólnie świętować rozpoczęcie nowego semestru.

„To właśnie w tawernie po «godzinie policyjnej» siedzą prefekci, którym znudziło się ganianie niereformowalnych pierwszoroczniaków po całym zamku. Świetne sceny dzieją się wszędzie, niemal całą dobę, ale tawerna jest zdecydowanie najbardziej klimatycznym miejscem. Na przykład pewnego razu, opróżniwszy dwie butelki cydru, zdobyłem się na odwagę i zaprosiłem na bal dziewczynę pochodzącą ze starego, magicznego rodu. Popatrzyła na mnie jak na coś, co przykleiło jej się do buta, po czym przywaliła mi czarem. W rezultacie musiałem wypełznąć z tawerny na czworakach, niczym robak, którym w jej oczach byłem – oczywiście ku uciesze gawiedzi dookoła” – gracz z Danii, CoW7.

Na zamku roi się od wątków stworzonych przez graczy, a każda postać ma sekrety, których strzeże, dramaty, z którymi próbuje się uporać, przyjaźnie, które pielęgnuje oraz antagonizmy, które przysparzają jej kłopotów. Od „nastoletnich” problemów typu gnębienie przez nauczyciela, zauroczenie osobą nieodwzajemniającą uczuć, czy gorączkowe poszukiwanie partnera na bal, po „epickie”

konflikty, na przykład członkostwo w tajnym stowarzyszeniu maczającym palce w zakazanej magii, ochronę szkoły przed zewnętrznym zagrożeniem, czy też polowanie na artefakty wzmacniające czarodziejskie moce – w wątkach można przebierać do woli.

Są również słabsze strony takiej, a nie innej konstrukcji gry. Na larpie zdecydowanie lepiej bawią się gracze, którzy przyjeżdżają na zamek z wcześniej ustalonymi koneksjami. Oczywiście, jeżeli ktoś nie ma czasu bądź ochoty angażować się w tak zwany *pre-play*, zawsze może stworzyć relacje na warsztatach przed larpem, jednak tego typu powiązania zwykle nikną w cieniu przygotowanych wcześniej przyjaźni i antagonizmów, nad którymi gracze potrafią pracować tygodniami, a nawet miesiącami. Udział w pięciu edycjach larpa *College of Wizardry* i niezliczone rozmowy z graczami z różnych kultur utwierdziły mnie w przekonaniu, że o ile CoW to larp niesamowicie otwarty zarówno na doświadczeniych graczy, jak i na zupełnych „świeżaków”,



fol. Karol & Agnieszka

o tyle nie poleciłabym go ludziom, którzy nie mają czasu bądź chęci na budowanie relacji przed wydarzeniem. Takie osoby niekoniecznie będą źle się bawiły na samej grze, jednak po jej zakończeniu może pozostać z nimi poczucie, że wiele ich ominęło.

„Na moim pierwszym CoW-ie bawiłem się słabo. Miałem wrażenie, że wszyscy dookoła tworzą żywą społeczność, której częścią nie jestem. Grałem juniora przed przydziałem do domu, a więc nie posiadałem nawet komfortu z przynależenia do żadnej mikro-społeczności. Po larpie byłem zły na współgraczy, na organizatorów, ale chyba najbardziej na siebie. Wiedziałem o portalach społecznościowych, na których inni tworzyli relacje, ale uznałem, że mam lepsze rzeczy do roboty, niż «wgrzyzać» się w postać i świat na miesiąc przed larpem. Na kolejnej grze nie popełniłem już tego błędu. Świetnie się bawiłem, ustalając powiązania z innymi postaciami, biorąc udział w rozgrywanych tekstowo przygodach i współtworząc klimat zamku na długo przed przekroczeniem jego murów. Po rozpoczęciu larpa miałem całą armię znajomości i rozpoczętych wątków, dzięki czemu gra była dla mnie niesamowitą przygodą. Współczuję graczom, którzy pojawiają się na larpie bez przygotowania, bo nie wiedzą, jak wiele tracą. Z drugiej strony organizatorzy utrzymują, że wystarczy mieć różdżkę i dobre chęci, a reszta wyczaruje się sama. Nie, nie wyczaruje się” – gracz z Danii, CoW5 i 8.

„Czochoobook, czyli portal społecznościowy dla magów studiujących na zamku Czocha, to niesamowicie przydatne narzędzie do budowania relacji. Posiada jednak pewne wady – na przykład zdarzają się eskalacje konfliktów, które powinny znaleźć swoją kulminację dopiero na larpie. Opowiem na swoim przykładzie – zbudowałam antagonistyczną relację z postacią, która miała za zadanie po cichu podkopywać mój autorytet w klubie, gdzie oboje należeliśmy, jednak już po tygodniu

cichy konflikt przerodził się w otwartą wojnę, dzieląc naszych wspólnych znajomych na dwa obozy. Z jednej strony wątek wyewoluował w coś ciekawego, z drugiej jednak rozrósł się do rozmiarów, na jakie nie byłam przygotowana. To zresztą nie jedyny przypadek, gdy relacje eskalowały przez Czochoobooka. W takim przypadku najlepiej jest zatrzymać się i cofnąć do momentu, kiedy sytuacja wciąż była dla nas komfortowa, nawet jeśli usuwamy w ten sposób ciekawy wątek. Bardzo łatwo zapędzić się, gdy mamy do dyspozycji medium dające nam tygodnie, czy nawet miesiące na wczucie się w rolę. Gracze tak mocno zaangażowali się w budowanie relacji, że połowa z nich miała parę na bal jeszcze przed rozpoczęciem larpa, bo poumawiali się wcześniej na portalu” – graczka z Niemiec, CoW7.

## SZKOLNE ŻYCIE

Studenci, którzy po raz pierwszy przekroczą próg zamku Czocha, będą zdumieni tym, jak niewielką kontrolę nad treścią prowadzonych tam zajęć ma dyrektor bądź dyrektorka szkoły. Nauczyciele sami decydują, jak wyglądają ich lekcje, a jeśli któryś student poskarży się na prowadzącego zajęcia, dyrektor jedynie rozłoży bezradnie ramiona i powróci do popijania wina w pokoju nauczycielskim, przekazując reszcie kadry anegdotę o strapionym studencie. Dzięki takiemu podejściu nauczyciele mają wolną rękę w wymyślaniu przeróżnych zadań dla studentów, przez co ich podopieczni mogą na zajęciach walczyć z wampirami, być poddawani magii krwi, przeżywać traumatyczne wspomnienia z dzieciństwa, ale również wypełniać wielostronicowe testy czy słuchać opowieści snutych przez nauczyciela. Większość lekcji ma za zadanie wyposażać studentów w narzędzia pozwalające wzbogacić ich grę; nowe czary, magiczne przedmioty, które sami stworzą, lub tajemnice, które sobie nawzajem wyjawią, pomagają popchnąć do przodu ich wątki osobiste.

Nierzadko także stawiają uczniów przed moralnymi dylematami, a ich skutki daje się odczuć w dalszej części gry, kiedy wprowadzają zamęt do relacji między postaciami.

To właśnie na lekcjach zdobywa się i traci największą liczbę punktów, które później dodawane są do puli danego domu w walce o Puchar Domów. Rywalizacja o punkty jest dość zaciekle nie tylko pomiędzy postaciami, ale także pomiędzy graczami.

„Zdecydowana większość graczy wywodzi się z kultury, którą potocznie nazywamy nordycką szkołą gry. Są oni nastawieni bardziej na przeżycia wewnętrzne niż przygodę i lubią grę w stylu *play-to-lose*. Być może ta idea by się sprawdziła, gdyby nie to, że wszyscy studenci walczą o Puchar Domów, a więc o nagrodę, będącą niejako kulminacją larpa i oddzielającą wygranych od przegranych. Taki zabieg stoi w opozycji do filozofii *play-to-lose*. Przez pewien czas próbowałem odgrywać pyskującego nauczycielom, zbuntowanego lenia, któremu nie chciało się odrabiać pracy domowej, ale kosztowało to mój dom tak wiele punktów, że zacząłem odczuwać rosnącą frustrację współgraczy. Właśnie tak – nie tylko postaci miały mi za złe spadek naszego domu w rankingu, ale i sami gracze. To nie był tylko mój problem. Sporo postaci negatywnych musiało przytemperować swoje zachowanie, a plany otwartych konfliktów spełzały na niczym, bo gracze obawiali się utraty punktów. Ten system nie jest chyba do końca przemyślany” – gracz z Holandii, CoW4.

Puchar Domów budzi mieszane uczucia od pierwszej edycji larpa. Organizatorzy upierają się, że działa on świetnie, jednak zdania graczy są podzielone. Niektórzy mają ogromną frajdę z odgrywania szkolnego życia, gdzie poprawne odpowiedzi i kreatywność nagradzane są punktami, a wszyscy studenci z danego domu jednoczą się we wspólnej walce o Puchar. Inni narzekają, że presja zdobywania punktów – albo przynajmniej nietracenia ich

w nadmiernych ilościach – ogranicza ich grę.

„Można twierdzić, że larpa się nie wygrywa, ale to nie do końca prawda. Zwycięzcy Pucharu Domów czują się zwycięzcami larpa, a przegrani wysłuchują przytyków, które może i są żartobliwe, ale niesamowicie frustrują, kiedy wiesz, że twój dom nie wygrał głównie dlatego, iż jego gracze tak dobrze odgrywali swoje negatywne postaci, że dom ciągle tracił punkty za ich ekscesy. I super, że wygrał dom X, ale to oznacza, że albo mieli tam samych lizusów i kujonów, albo gracze zrezygnowali z odgrywania negatywnych stron swoich postaci w obawie o punkty. Trochę słabo, kiedy czynnik pozagrowy, taki jak satysfakcja z wygranej, wpływa na twoją grę i nie pozwala ci do końca cieszyć się swoją postacią” – gracz z Finlandii, CoW7.

## MECHANIKA

*College of Wizardry* posiada prostą i intuicyjną mechanikę, której główne założenie polega na wzajemnym zaufaniu graczy i przestrzeganiu zasady *fair play*. Magia opiera się na trzech rodzajach gestów – zamach i wycelowanie różdżką w osobę przed nami imituje atak, rozrzucenie ramion na boki oznacza obronę, zaś pantomima odsuwania obiektu w którąkolwiek stronę sugeruje zepchnięcie przeciwnika na bok. Istnieje pula przykładowych czarów, z których można korzystać, jednak ich znajomość nie jest wymagana.

„Ciekawym elementem mechaniki jest zasada, że to cel czaru decyduje, czy i w jaki sposób czar zadziałał. Jeśli zaatakuję kogoś, krzyżąc *Ignitio!*, a ktoś nie zrozumie, że chodziło mi o atak ogniem, może zareagować w dowolny inny sposób. Jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby ktoś udawał, że nie oberwał – tu wszyscy grają dla stworzenia ciekawej historii, a nie po to, żeby «wygrać». Po larpie gratulujemy sobie epickich scen, w których nasze postaci dostały po tyłku od swoich przeciwników. Jedną



fol. Kamil Wędzicha

z moich ulubionych był moment, kiedy razem z innymi ciemnymi typkami zasadziłem się na kilkoro pierwszoroczniaków, ale zanim zdążyliśmy dobrze ich spruć, pojawiła się banda pseudobohaterów i kompletnie nas złoila, a potem doniosła na nas woźnemu. Za karę przez kolejną godzinę musieliśmy wyręczać zamkowe gobliny w usługiwaniu studentom i wymienianiu papieru toaletowego w łazienkach” – gracz z Niemiec, CoW8.

Czasami zdarza się, że sceny są zbyt intensywne i gracze czują się przytłoczeni fizycznie lub emocjonalnie. Wtedy wchodzi mechanika „cięcia” (*cut*), polegająca na przerwaniu sceny i wyjaśnieniu, co danej stronie sprawiło dyskomfort.

„Jako dzieciak byłem okropna dla rówieśników i potwornie ich gnębiłam. Nienawidzę sobie o tym przypominać i nigdy nie chciałabym odgrywać roli dręczyciela, dlatego raz na CoW-ie zdarzyło mi się użyć «cięcia», kiedy zauważyłam, że agresywne słowa mojej postaci wzbudziły dyskomfort u drugiej osoby. Po przerwaniu sceny okazało się, że wszystko było w porządku i moja rozmówczyni specjalnie mnie prowokowała, żeby zintensyfikować scenę, ale wołałam przerwać i upewnić się,

że wszystko gra, niż znów wyrządzić komuś krzywdę” – graczka z Norwegii, CoW5.

Mechanika CoW-a wprowadza jeszcze jedną zasadę – na larpie nie da się zabić innej postaci, chyba że osoba ją grająca zdecyduje, że śmierć to najlepsze fabularne rozwiązanie w danej sytuacji. Ta zasada eliminuje możliwość zabicia bohatera, który przeszkadza nam w osiągnięciu celu i zachęca do poszukiwania innych metod poradzenia sobie z przeciwnikiem. Kreatywność graczy w tym zakresie nie zna granic. Od makiawelicznych planów, popychających wroga w samo serce kłopotów aż po kłątwy, zaczarowane listy i zniesławiające plotki – wszystko to sprawia, że graczom nawet nie przyjdzie na myśl życzyć jakiejś postaci śmierci. Po co eliminować kogoś z gry, jeśli można zgotować mu takie „atrakcje”, że nie tylko my będziemy się dobrze bawić, ale również nasz przeciwnik oraz obserwatorzy?

„Moja postać miała milion powodów, żeby ukatrupić swojego kuzyna, ale jaką tamten gracz miałby z tego zabawę? Postanowiłem więc zrobić coś innego. Przekupiłem juniorów z jego domu, aby przekazywali mu listy, po których otwarciu obrywał coraz to inną kławtą. Raz pod ich wpływem zaczął wydzierać się na

nauczyciela, raz na kolanach przysięgał goblinowi dozonną miłość, a innym razem wyznawał wszystkim napotkanym osobom, że jest wilkołakiem. Zarówno ja, jak i drugi gracz świetnie się bawiliśmy” – gracz z Danii, CoW8.

## SPOŁECZNOŚĆ GRACZY

Zdarza się, że emocje postaci przenikają do emocji samych graczy, powodując tak zwany *bleed*. U graczy CoW-a ta przypadłość jest niemal chroniczna. Nie ma edycji larpa bez dni, tygodni, a czasem miesięcy wspomnienia, jak fantastyczna była gra i jak bardzo gracze tęsknią za swoimi postaciami oraz za sobą nawzajem. Na grupach facebookowych powstają wątki, zrzeszające osoby mieszkające w danej okolicy w celu organizacji spotkań, ludzie wymieniają się domowymi adresami, aby wysłać sobie listy i drobne upominki, a najbardziej gorliwi gracze planują nawet spin-offy.

„Kiedy spędzasz miesiące na zapoznawaniu się z innymi graczami i ich postaciami oraz poświęcasz niezliczone godziny na rozmowy o wspólnych wątkach, prędzej czy później temat schodzi na twoje życie osobiste, a wasza znajomość się pogłębia. Dzięki temu larpowi poznałam niesamowitych ludzi z całego świata. Są ciepłi, otwarci, pomocni – już wiem, że każdy zarobiony dolar zostanie dodany do puli środków na kolejną wycieczkę do Europy – jeśli nie na larpa, to chociaż na spotkanie z ludźmi, których poznałam na CoW-ie” – graczką z Kanady, CoW3 i 7.

„Najpierw przychodzi szok kulturowy. Jak oni dziwnie grają w larpy! Ich filozofia to najpierw gracz, potem fabuła, a na końcu postać, czyli zupełnie inaczej, niż w moich rodzimych kręgach. Musiałem zupełnie przestawić się z myślenia «jakby tu wygrać» na myślenie «jak sprawić, żeby inni mieli jak największą frajdę z grania ze mną». Inni gracze niesamowicie mi pomogli – chociaż byłem zupełnie nowy, natychmiast przyjęli mnie do swojego grona,

pomogli zbudować wątki i rozwinąć moją postać. Nigdy nie bawiłem się na żadnym larpie tak dobrze, jak na CoW-ie, a to wszystko dzięki współgraczom” – gracz z USA, CoW7.

„Kiedy po ciężkim dniu w pracy włączam komputer i znajduję przemiłą prywatną wiadomość od kogoś z drugiego końca świata, swoje zdjęcie z larpa przerobione na mem, albo link do Google Hangouta, nastrój natychmiast mi się poprawia. W kwietniu mamy spotkanie w Londynie, w lipcu kolejne w Kopenhadze. Wspominamy sobie najlepsze sceny, najciekawsze wątki, najbardziej charakterystyczne postaci z larpa, ale przede wszystkim cieszymy się swoim towarzystwem” – graczką z Norwegii, CoW6 i 8.

„To był mój pierwszy larp w życiu i na pewno nie ostatni. Ten zamek, ta atmosfera, ci fantastyczni ludzie – coś takiego zwykle zdarza się raz w życiu, jednak w przypadku Rollespilsfabrikken i Liveformu mamy szansę tego doświadczyć kilka razy do roku. Ostatni raz tego typu otwartości zaznałam jako dziecko, przystępując do harcerstwa. Tutaj jest podobnie – poznajesz ludzi, którzy dzielą twoje zainteresowania i zyskujesz przyjaciół na całym świecie. To nie są trzy dni larpa i koniec. CoW to początek wieloletniej przygody” – graczką z Niemiec, CoW7.

*College of Wizardry* jest obecnie jednym z najpopularniejszych larpów w Europie. Doczekał się licznych spin-offów, m.in. w Danii, w Norwegii czy w USA, a baza jego fanów wciąż rośnie w liczbę. Ten larp to doświadczenie warte spróbowania choć jeden raz, nie tylko dla samej gry, która pomimo wysokiego progu wejścia jest fantastyczną przygodą, ale przede wszystkim dla społeczności, gdyż jej otwartość i przyjazne nastawienie sprawia, że magia *College of Wizardry* daje o sobie znać na wiele dni przed larpem i trwa jeszcze długo po jego zakończeniu.

KAROLINA „HYPATIA” FIDO

# Haker nie magik

Magdalena Kucenty

Miejska legenda głosi, że polscy hakerzy włamali się kiedyś na serwery Pentagonu i odkryli, że chińscy hakerzy grają na nich w Ponga. Brzmi bardzo wiarygodnie, prawda? A najzabawniejsze jest to, że w większości hollywoodzkich filmów wątki hakerskie wyglądają jeszcze idiotyczniej.

## Kim jest haker?

Wedle definicji z Wikipedii „haker” to: „osoba, która wyszukuje i ewentualnie wykorzystuje dziury bezpieczeństwa w oprogramowaniu komputerowym. Może też dzięki nim uzyskiwać dostęp do zabezpieczonych zasobów (...)”<sup>1</sup>. Jest to spore uproszczenie. Takie ogólne sformułowania jak „ewentualnie wykorzystuje” i „może też” wynikają chociażby z faktu, że w ciągu ostatnich lat definicja co rusz ulegała zmianom. Toczono bój o to, żeby „ci źli” mieli odrębną nazwę, by nie psuć wizerunku całego środowiska. W efekcie istnieje teraz podział na hakerów i crackerów, gdzie pierwsi to specjaliści z ogromem wiedzy, „entuzjaści technologii”<sup>2</sup> – jak zabawnie określono ich na Gadżetomanii, a drudzy to tacy stereotypowi włamywacze, dla których obejście zabezpieczeń to pierwszy krok do celu (np. kradzieży). Są jeszcze *script kiddies*, czyli dzieciaki z minimum wiedzy, które używają istnie-

jących już, opracowanych przez kogoś narzędzi hakerskich. Albo jeśli ktoś tak woli: dzielimy hakerów na white hatów i black hatów, gdzie ci pierwsi nie chcą nikomu zaszkodzić, a często pomagają (np. zgłaszając firmom, że mają błędy w oprogramowaniu), a ci drudzy zdecydowanie szkodzą, z reguły by zarobić. I znów mamy tu do czynienia z uproszczeniem, dzielimy świat na czarne i białe, jednak żeby nie przedłużać, przejdźmy do sedna mojego artykułu.

## Kim jest haker według Hollywoodu?

Magikiem. Nie mam na to innego słowa.

Kojarzycie przecież, jak wygląda hakowanie w filmach? Siedzi sobie taki ultra nerd przy klawiaturze, uderza w losowe klawisze, gada jakieś pseudotechniczne bzdury i rach-ciach włamuje się do Pentagonu!

Myślicie, że przesadzam? Chcecie dowodów? Proszę bardzo. Oto siedem grzechów głównych Hollywoodu w portretowaniu hakera.

### 1. Efekty 3D

W latach dziewięćdziesiątych panowała moda na 3D. Twórcy filmowi dostali do rąk nowe zabawki, których nadużywali bezlitośnie. Chociażby żeby przedstawić, jak będzie wyglądało hakowanie w przyszłości. I tak w *Kosiarzu umysłów* (1992) to po prostu rzut animowaną

1 <https://pl.wikipedia.org/wiki/Haker>

2 <http://gadzetomania.pl/11106,haker-cracker-phreaker-czym-roznia-sie-od-siebie-sieciowi-przestepcy>

kostką (na oko k20) wewnątrz wirtualnego świata. Z kolei w filmie *Johnny Mnemonic* (1995) hakowanie sprowadza się do układania trójwymiarowych puzzli, które w razie pomyłki rażą prądem (widać w przyszłości ludzie zapomnieli, czym są izolatory i uziemienie). A już absolutnym klasykiem jest kultowa scena z *Hakerów* (1995), w której bohaterowie włamują się do superkomputera Gibson, grając w trójwymiarową, jakby kosmiczną... strzelankę? Słyszymy nawet wystrzały z lasera, to charakterystyczne „piu, piu”, które jakimś cudem słychać nawet w próżni. Co więcej, tytułowi hakerzy bardzo często uderzają w klawiaturę bez widocznego efektu. To znaczy: żaden tekst nie pojawia się na ekranie, kiedy to robią.

W nawiązaniu do tego filmu spopularyzowało się nawet powiedzenie „hack the Gibson”. Z reguły ma sarkastyczny wydźwięk i nawiązuje właśnie do takich „profesjonalnych” metod hackingu. Może jednak być też pozytywnie użyte, np. na określenie wysoce zabezpieczonego systemu, wręcz niemożliwego do zhakowania.

No dobrze, a co z nowszymi filmami lub serialami? Czy hollywoodzcy twórcy nauczyli się czegoś? Tak, teraz animacje są ładniejsze.

Mamy więc takie perełki jak w najnowszej serii bondowskiej: w *Skyfall* (2012) haker z MI6 używa czegoś, co w zamiśle twórców miało bodaj wyglądać jak projekcja sieci neuronowej, a w praktyce przypomina raczej futurystyczną włóczkę. Dla mnie to już jest hakowanie przez duże H, absolutnie nie dla dzieci – w końcu włóczka stanowi raczej atrybut starszego pokolenia.

A co z serialami? Cóż, nie jest wcale lepiej. Przykładowo w jednym z odcinków *Castle* (2009–2016) widzimy, jak dwóch hakerów „walczy” ze sobą, układając animowaną kostkę Rubika i przerzucając się wideo z kotami. Pozostawiam Wam do oceny, ile jest w tym sensu.

Przejdźmy do następnego grzechu, dobrze?

## 2. Technobabble

Czyli technobelkot, którym aktorzy rzucają co jakiś czas, by widz nie żywił wątpliwości, że ma do czynienia z profesjonalistami.

Zabawnym przykładem na to jest scena z *Parku Jurajskiego* (1993), gdzie nastoletnia Lex Murphy (grana przez Arianę Richards) wypowiada kwestię: „It’s a Unix System. I know this<sup>3</sup>”, a potem bierze się do hakowania. Według tej logiki, jeśli wiesz, z jakiego typu systemem masz do czynienia (to Windows!), już jesteś zawodowym hakerem. Co ciekawe, aktorka użyła w tej scenie interfejsu 3D, który faktycznie powstał. File System Navigator (fsn; wymawiane „fusion”) to eksperymentalna aplikacja do przeglądania plików w 3D. Aplikacja, co warto nadmienić, która zupełnie się nie przyjęła, bo jest po prostu bardzo... niewygodna. Co tylko potwierdza, jak bzdurne są te wszystkie trójwymiarowe puzzle, kostki Rubika itd.

Ale dobrze, skupmy się na omawianym grzechu.

Serial *CSI: Kryminalne zagadki Nowego Jorku* (2004–2013) to istna kopalnia technicznego belkotu. Mamy tutaj chociażby przykład hakowania gry (*Gears of War*) za pomocą HTML-a (który widać na zbliżeniu kamery). Dla niewtajemniczonych HTML to język tworzenia stron internetowych i do hakowania nadaje się równie dobrze, co stare skarpety. Innym przykładem jest sytuacja, gdy pani detektyw „techniczna” mówi o tworzeniu GUI w Visual Basicu, żeby znaleźć adres IP jakiegoś hosta w internecie. GUI to interfejs graficzny, Visual Basic to język programowania i można stworzyć jedno w drugim, tylko że samo w sobie nie ma to nic wspólnego z szukaniem czyjegoś adresu sieciowego. Najlepiej w tym celu użyć wiersza poleceń albo po prostu Google’a. Istnieją strony, które po podaniu nazwy hosta wypływają nie tylko jego IP, ale również lokalizację

3 A po polsku: „To system Unix. Znam to”.

na świecie. Natomiast stwierdzenie, że zrobi się do tego GUI, to jakby oznajmić, iż trzeba upiec ciasto, zanim wyniesie się śmieci. Co ma piernek do wiatraka?

Zresztą nie powinnam się takim drobnostkom dziwić, zważywszy że w *CSI* były nawet takie cuda, jak ganieanie i przesłuchiwanie przestępcy w grze *Second Life*. Widocznie zbrodniarz tak bardzo uzależnił się od wirtualnego żywota, że nie potrafił się wylogować.

Z kolei w serialu *Numb3rs* (2005–2010) warto zwrócić uwagę na scenę, w której Amita Ramanujan, grająca specja od komputerów, tłumaczy dwóm detektywom, że IRC (Internet Relay Chat) to istne zagłębienie hakerskie. Według niej hakerzy porozumiewają się na IRC-u „gdy nie chcą, by ktokolwiek ich usłyszał”. Potem porównuje to do handlu narkotykami

na środku morza. W animacji, która pojawia się na ekranie, kiedy aktorka „technobelkocze”, dwie łodzie podpływają do siebie, wymieniają towary, a potem nie zostaje po nich nawet ślad. Mamy tu też wykresy, jakieś całki, sumy i pochodne, by wszystko wyglądało bardzo mądrze i przede wszystkim technicznie. A w gruncie rzeczy kobieta mówi o zwykłym... czacie.

W temacie technobelkotu nie mogę jeszcze pominąć znanej polskiej perełki. W filmie *Haker* (2002) pada kultowa już fraza, a mianowicie: „Emacsem przez sendmail”. Tak właśnie bohater próbuje obejść zabezpieczenia systemu, co można porównać do włamywania się do czyjegoś domu przez skrzynkę na listy. Emacs to zwykły notatnik, a sendmail to serwer poczty. Prawdopodobnie więc McFly (grany przez Bartosza Obuchowicza) wysłał maila



do administratora systemu: „Ej, wpuść mnie”, a ten śmiał mu odpisać „nie”.

Można się pocieszyć, że w rzeczonym scenie obok pseudotrudnych zwrotów pada również prawidłowo użyte słowo „exploit”, do którego wrócimy jeszcze w dalszej części tekstu, a które jest fachowym terminem na określenie „dziury bezpieczeństwa”, jak to z kolei niezbyt fortunnie zostało ujęte w Wikipedii (patrz definicja na wstępie). Ujmując rzecz bardziej poprawnie, są to błędy/luki w oprogramowaniu, które pozwalają hakerowi na dostanie się do systemu i zdobycie uprawnień administratorskich.

### 3. Krzaczkę, widzę krzaczkę, krzaczkę widzę

Lenistwo hollywoodzkich twórców objawia się także w formie krzaczków. Istnej lawiny symboli, które razem nie znaczą nic, ale przecież mówią wszystko („Tutaj się hakuje, ludzie! Z drogi!”).

Na tym polu znowu popisuje się seria *CSI*, a tak dokładnie *CSI: Cyber* (2015–2016), które według zapowiedzi producentów miało pokazać, jak hakowanie wygląda naprawdę. A co w rzeczywistości dostali widzowie?

Cóż, stary, dobry HTML... Dla odmiany udający sterownik drukarki. Albo środowisko programistyczne, które zaznacza na czerwono kod, który jest „zły”, czyli „hakerski” (cokolwiek miałoby to znaczyć), a na zielono taki „neutralny” bądź „dobry”. Proponuję dodać jeszcze kilka kolorów, podzielić części programu na chaotyczne i praworządne i możemy ruszać z sesją RPG.

Najzabawniejszym „krzakiem” jest dla mnie jednak scena z filmu *Bez reguł* (2010). Na zbliżeniu kamery widać, że nadzwyczaj wyluzowany (biorąc pod uwagę sytuację, w której się znajduje) specjalista rozbraja bombę nuklearną za pomocą Excela. Jeśli jakimś cudem ktoś nie wie – Excel to użyteczny program do tworzenia

arkuszy kalkulacyjnych, wykresów i tabel. Bardzo przydatny na przykład w księgowości. I, jak widać, do rozbrajania niebezpiecznych ładunków. Wystarczy wpisać w dowolnym wierszu ciąg znaków „rfgklingkj/km” i po kłopotcie.

Dla mnie bomba! Trzeba to zapamiętać.

### 4. Nie do końca grzech, czyli Nmap dobry na wszystko

Nmap to program komputerowy, który służy do skanowania portów i wykrywania usług w sieci. Daje też możliwość identyfikacji systemów operacyjnych na skanowanych hostach. Ogólnie mówiąc, to bardzo przydatne narzędzie dla hakerów. Wyobraźcie sobie, że chcecie włamać się do ściśle chronionego fortu. Nmap pozwala Wam na zdobycie planów budynku, a także informuje, gdzie są wszystkie wejścia i kto stoi na ich straży. Ale pamiętajcie, że to dopiero początek. Przecież nie weszliście jeszcze do środka – dopiero zdobyliście plany. Teraz możecie zacząć podejmować kolejne kroki. Niekiedy wiele kroków. Innym razem zamek w tylnych drzwiach budynku jest tak stary i wadliwy, że wystarczy spinacz, by go otworzyć. A w przełożeniu na systemy informatyczne: oprogramowanie, które działa na danym serwerze, jest tak nieaktualne, że możecie wykorzystać odkryte już exploity, o których dowiecie się chociażby z Google’a.

I właśnie to robi Trinity w sequele *Matrixa*.

Mianowicie, aby zhakować miejską sieć energetyczną, włącza Nmapa (wersja 2.54BETA25) i znajduje podatny na atak serwer SSH (czyli taki, na który można się załogować). Potem korzysta z exploita: SSH1 CRC32 z roku 2001, by wejść do systemu. Co ma sens. I wcale nie potrzeba ogromnej wiedzy, by to zrobić. Wystarczy umieć obsługiwać wyszukiwarkę internetową ;) Problem w tym, że od

czasu *Matrixa Reaktywacji* (2003) Nmap spularyzował się wśród filmowców trochę bezmyślnie. Z pominięciem całej reszty kroków, podczas których haker rzeczywiście „łamię” zabezpieczenia.

A oto znaleziona przeze mnie lista produkcji, w których wykorzystano Nmapa:

*Matrix Reaktywacja* (2003), *Dredd* (2012), *Elysium* (2013), *W umyśle wroga* (2012) – użyty do skanowania ludzkich umysłów, *Fantastyczna Czwórka* (2015), *Who Am I – No System Is Safe* (2014), *Ultimatum Bourne'a* (2007), *Szklana pułapka 4.0* (2007), *Dziewczyna z tatuażem* (2011), *G.I. Joe: Retaliation* (2013), *The Listening* (2006), *Liga Sprawiedliwych: Zagłada* (2012) (animacja), *Porwanie* (2011) – **zbliżenie życiem wzięte z *Matrixa*, 13 game sayawng** (2006), *Battle Royale* (2000) – **japoński film wyprzedził *Matrixa*, ale oczywiście nie był tak popularny**, *Broken Saints* (komiks), *Chott@bycz* (2006), *Bloody Monday* (2008–2010) i moje ulubione...

*HaXXXor: No Longer Floppy*.

Tak, proszę państwo. Nmapa użyto też w pornosie.

## 5. Dramatyczne wizualizacje

Teoretycznie można by to podciągnąć pod grzech pierwszy. Wydzieliłam jednak dramatyczne wizualizacje jako osobny podpunkt. Dlaczego? Ze względu na rzeczony dramatyzm. Muzyka dudni jak na otwarcie piekieł, paski postępu wyglądają, jakby odliczały koniec świata (co często się w zasadzie na ekranie dzieje), kopiowanie pliku to najdramatyczniejsze przeżycie z możliwych (pamięta ktoś *Mission: Impossible?*), a hakowanie sprowadza się do wciśnięcia jednego klawisza i patrzenia, jak resztę robi program (choć czasami aktorzy dalej uderzają w klawiaturę – bez większego ładunku, składu i sensu). Przykładów jest mnóstwo, więc wybiorę tylko dwa, które rozbawiły

mnie szczególnie. Pierwszy to końcowa scena z filmu *Jądro Ziemi* (2003). Haker o pseudonimie „Rat” wchodzi do kafejki internetowej, uruchamia napisany przez siebie program hakerski (ma nawet własne logo ze szczurkiem, żeby nie było wątpliwości co, kto i jak) i hakuje cały Internet. Serio, cały. Skąd to wiemy? Dzięki dramatycznej wizualizacji, oczywiście.

Nie twierdzę, że nie można napisać programu do hakowania, bo można. Nie twierdzę również, że nie da się dodać do takiego programu animacji, bo się da. Tylko po co? W rzeczywistości to na ogół tak po prostu nie wygląda. Weźmy na przykład te nieszczęsne paski postępu. Programy do łamania haseł i inne tego typu narzędzia istnieją, tyle że zazwyczaj opierają się na metodzie prób i błędów. Nie wiadomo, za którym razem odgadną hasło czy znajdą jakąś dziurę w zabezpieczeniach. Pasek postępu ewentualnie pokaże, ile prób z puli możliwych zostało już wykonanych (chociażby przy wprowadzaniu wszystkich pozycji ze słownika), natomiast program zakończy działanie, kiedy trafi na właściwe hasło lub znajdzie exploit, a nie, gdy pasek dojedzie do końca. Chyba że „hakowanie” się nie powiedzie. Albo kiedy ostatnia próba będzie tą udaną, co jest z kolei mało prawdopodobne.

A już w zupełną konsternację wprawiło mnie to, co zostało pokazane w *Dniu Niepodległości* (1996). Pasek postępu „UPLOADING VIRUS” informuje o ładowaniu wirusa na czymś tam w statku... kosmitów. Tak, kosmitów. UFO atakuje Ziemię, przewyższa ludzkość technologią i ogólnie ma nas jak na widelcu. Bohaterowie filmu są jednak w stanie napisać program, który działa na nieokreślonym sprzęcie tamtych. To jakby próbować dogadać się z ośmiornicą, mówiąc do niej po polsku. Jej system nie będzie rozumiał naszego języka. Jeśli ktoś pracował kiedykolwiek przy integracji systemów, wie, o czym piszę. Często przecież dwie aplikacje napisane w tej samej

firmie mogą mieć problem z dogadaniem się. Skąd pomysł, że udałoby się z ziemskim softem i technologią kosmitów?

W wersji reżyserskiej *Dnia...* pojawiło się wprawdzie wytłumaczenie, że cała ludzka technologia wywodzi od tegoż UFO i dlatego wirus zadziałał, ale dla mnie to jeszcze pogarsza sprawę. Bo kiedy oni nam tę technologię przekazali? Lata temu? Może wieki? I od tego czasu ani ich, ani nasze systemy nie uległy zmianie? Spróbujcie uruchomić nowszą grę na Windowsie 95, to zrozumiecie, co mam na myśli i dlaczego tą dodatkową sceną twórcy jeszcze bardziej się pogrążyli. Zresztą, nie jest to odosobniony przypadek. Filmowcy z premedytacją przekłamują wizerunek specja komputerowego.

Dlaczego?

Cóż, bo nie potrafią zrobić tego realistycznie i ciekawie zarazem. Smutna prawda jest taka, że praca hakera nierzadko bywa żmudna, pozbawiona fajnych animacji i dla zewnętrznego obserwatora po prostu nudnawa.

A takim UFO to moglibyśmy co najwyżej nagwiżdżać.

## 6. Szybko, szybciej, jeszcze szybciej! A okienek coraz więcej!

Tutaj nawiązuje do tych filmowych ujęć, w których postać hakera jakimś cudem nadąza za milionem wyskakujących okienek na ekranie komputera. Znowu przykładów można by podać mnóstwo. Ale według mnie wystarczy taki jeden, który łączy absurd ich wszystkich.

Po Internecie krąży taki filmik: *2 IDIOTS 1 KEYBOARD*. Skąd to?

Cóż, twórcy serialu *Agenci NCIS* (2003-obecnie) zbyt mocno chyba wzięli sobie do serc przysłowie: „Co dwie głowy, to nie jedna”. Idąc o krok dalej, przyjęli za oczywiste, że „co cztery ręce, to nie dwie”. Kiedy serwer w siedzibie agencji zostaje opanowany przez hakerów,

Abby Sciuto (grana przez Pauley Perrette) próbuje przeciwdziałać atakowi, waląc zapamiętane w klawiaturę i wodząc wzrokiem za wyskakującymi okienkami. Krzyczy jednocześnie, że nie nadąza, więc z pomocą przychodzi jej agent Timothy McGee (Sean Murray) – korzystając, a jakże, z tej z samej klawiatury!

Pomijam już fakt, że aktorzy uderzali w losowe klawisze, ale naprawdę nie trzeba być geniuszem, by dostrzec tu maleńki problem. Ani znać się na komputerach. W obecnych czasach większość pięciolatek zdaje sobie sprawę, że wspólne pisanie na jednej klawiaturze nie ma sensu. A ukoronowaniem tego całego absurdu jest pojawienie się szefa agentów, któremu udaje się przerwać atak poprzez wyciągnięcie wtyczki z gniazdka – wnioskując po kształcie, jest to wtyczka od monitora...

Czyli co z oczu, to z serca? Wystarczy odwrócić wzrok, a złodziej przestanie okradać nam dom? Nie wiem. Trudno odnaleźć jakąkolwiek logikę, którą mieliby kierować się twórcy *Agentów NCIS*. Bo tutaj po prostu logiki brak.

## 7. Haker może wszystko

Grzech łączący w sobie pozostałe. Co by się nie działo, jakich dziwów nie dokonywałyby aktorzy, jak losowe i bezsensowne nie byłyby ich działania, efekt z reguły jest ten sam – sukces! Cyfrowe zapory sypią się jak powojenne mury, odgadnięcie czyjegoś hasła trwa tyle, co mrugnięcie, a zaszyfrowane dyski odkrywają swoje tajemnice niczym dobrze opłacona prostytutka.

Przykłady?

W *Szklanej pułapce 4.0* znajdziecie wszystkie grzechy razem wzięte. Hakerzy kontrolują światła uliczne, linie gazowe, kanały telewizyjne, telefony, giełdę, pociągi, samoloty, wojskowe jety... W skrócie: całe Stany Zjednoczone leżą im u stóp. Jak tego dokonali? Cóż, dokładnie nie wiemy, ponoć „przygotowali się” do ataku. Problem w tym, że kiedy dzieje się

coś nagle, bez czasu na przygotowanie, to i tak wystarczy dwa ruchy hakera, by np. miał podgląd z każdej kamery w budynku. Co nie jest niemożliwie, ale nie w takim tempie...

Ogólnie znajdziemy tu wszystkie siedem grzechów w komplecie: tak zwane palenie klawiatury, tonę krzaczków, migające na czerwono errorry, pseudotechniczny bełkot, screeny z Nmapa, a nawet zabawną animację przy kasowaniu pieniędzy z konta. Robiliście kiedyś przelew, prawda? Cała suma znika od razu, nie?

Nie według *Szklanej pułapki 4.0*. Tutaj każdy dolar leci w sieć samiuteńki jeden jak ten palec, aż licznik zjedzie do zera. Wtedy słyszemy dźwięk zamykanej kasy. Ka-ching!

Chyba tylko jednemu filmowi udało się przedstawić hakera jeszcze mniej realistycznie, jeszcze bardziej idiotycznie. I to zaledwie w minutę.

Scena z *Kodu dostępu* (2001): Stanley Jobson (grany przez Wolverina) zostaje osaczony. Bezwzględny gangster wie „skądś tam”, że najlepsi crackerzy na świecie potrzebują 60 minut na włamanie się do systemów Departamentu Obrony USA, ale Wolverinowi daje na to tylko 60 sekund. Na dokładkę biedaczkę ma pracować z przyłożoną do głowy spluwą, kiedy jedna z dziewczynek gangstera „robi mu dobrze”. Trzeba przyznać, że zastosowano tu przełomowe techniki motywacyjne, ponieważ chaotyczne, bezsensowne działania hakera kończą się absolutnym sukcesem.

Optymistyczny akcent, nieprawdaż? Dzięki technikom motywacyjnym na najwyższym poziomie, „chcieć” zaczyna literalnie znaczyć „móc”.

## Chlubne wyjątki

Na szczęście w całym tym morzu ignorancji znalazłam jednak chlubne wyjątki. Takie filmy jak *Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet* (2009) albo serial *House of Cards* (2013–) pokazują obraz hakera z ograniczeniami, człowieka nie magika, choć bez wdawania się w większe

szczegóły. Dzięki temu unikają przynajmniej rażących błędów. Zawsze to coś.

Byłam wręcz mile zaskoczona, gdy w którymś odcinku *House of Cards* haker grany przez Jamesa Simpsona dał jednemu z bohaterów po prostu pendrive'a, przy pomocy którego ten miał zainfekować serwer rządowy. Na urządzeniu znajdowała się aplikacja, zaprogramowana tak, by uruchomić się automatycznie po włożeniu pendrive'a do gniazda USB. To jest jak najbardziej realna i aktualna metoda ataku.

Z kolei filmy *23* (1998) i *Social Network* (2010) całkiem nieźle przedstawiają, jak hakowanie wyglądało przed laty, kiedy Internet dopiero raczkował i jeszcze nikt nie zaprzętał sobie głowy jakimiś tam zabezpieczeniami. W tym względzie szczególnie polecam tę pierwszą, niemiecką produkcję. Choć przewijający się w niej wątek Iluminatów trochę mnie bawił, to trudno odmówić racji, że z hakerstwem jest trochę jak z wojną – bodźcem do działania są pieniądze albo czynniki ideologiczne. A najlepiej jedno i drugie. Film *23* dobrze oddaje realia lat osiemdziesiątych, gdy legendarni hakerzy stawiali pierwsze kroki (nierządko nocą, bo wtedy opłaty za dostęp do Internetu były niższe). I słusznie sugeruje, że robili to dla zabawy, dla idei albo dla dochodów.

Co jeszcze?

Cóż, jest całkiem świeży *Haker* (2015). Mimo pewnych uproszczeń przedstawiono w nim realne metody włamań, a bohaterowie używają prawdziwych komend linuxowych. Protagonista korzysta nawet z ataków socjotechnicznych. Polegają on oszukiwaniu ludzi poprzez kłamstwo, manipulację i perswazję. W świecie, w którym wydajemy miliony na zabezpieczenia sieci i systemów, człowiek często okazuje się największym exploitem. Sfałszowanym mailem lub krótkim telefonem można wyciągnąć ściśle strzeżone informacje, których nie dałoby się inaczej zdobyć. Szkoda tylko, że o ile na polu informatycznym wszystko w *Hakerze*

się mniej więcej klei, o tyle fabuła filmu jest po prostu słaba. Pełna dziur logicznych, dłużyzn, drewnianego aktorstwa i typowych dla Hollywoodu klisz. Przynajmniej moim zdaniem.

Ale bez obaw, na koniec zostawiłam najlepsze. Wisienkę na torcie chlubnych wyjątków. *Crème de la crème* ekranowego hakerstwa.

*Mr. Robot.*

Serial, który udowadnia, że można przedstawić hakera realistycznie i zarazem wciągająco. Jego twórca, Sam Esmail, nie odwalił fuszerki. Wszystko od strony technologicznej zostało tutaj ukazane z ogromną dbałością o szczegóły. To między innymi zasługa konsultanta serialu Michaela Bazzella – byłego pracownika FBI, śledczego do spraw cyberprzestępczości.

Każde użyte przez hakerów narzędzie naprawdę istnieje bądź nawiązuje do istniejącego. A kiedy wydaje Ci się, że znalazłeś jakiś mały błąd (np. w jednej scenie pojawia się nieprawidłowy adres IP – ostatni oktet przekracza liczbę 255, a nie powinien), okazuje się, że ma to uzasadnienie. W tym przypadku Esmail wyjaśnił na swoim Twitterze, że był zmuszony do takiego przekłamania, ponieważ w czasie kręcenia *Mr. Robot*a amerykańskie prawo nie zezwalało na użycie rzeczywistego adresu IP w produkcji telewizyjnej.

Tylko o czym właściwie jest ten serial?

W skrócie główny bohater, Elliot (Rami Malek), cierpi na depresję i przeróżne stany lękowe, co sprawia, że jest mocno nieprzystosowany społecznie. Rekompensuje to sobie, włamując się do cudzych komputerów. Już w pierwszym odcinku jest mowa o przechwyceniu przez niego ruchu TOR – z ang. *The Onion Router*, nazwa spolszczana jako „sieć anonimowa” – i przejęciu kontroli nad węzłami brzegowymi tej sieci. Chociaż nie zostaje to opisane zbyt szczegółowo, już samo słownictwo użyte przez aktora sprawiło, że oczy urosły mi dwukrotnie. Nie mogłam uwierzyć! Ktoś odważył się użyć w serialu terminu

bardziej skomplikowanego niż „Internet” czy „komputer”. Normalnie szok. I równocześnie ogromna radość. Bo z każdym odcinkiem było coraz lepiej.

Przykłady?

W pewnym momencie Elliot zdobywa hasło mailowe swojej psychiatry. Używa do tego konsoli linuxowej, a tak dokładnie metody „brute force”. Hasło brzmi: „Dylan\_2791”, co jest złożeniem nazwiska ulubionego piosenkarza lekarki i roku jej urodzin od tyłu (bardzo realistyczny przykład, wierzcie mi, jestem adminem, widziałam parę wymyślonych przez ludzi haseł w życiu).

W innej scenie dochodzi do ataku DDOS na serwery firmy E-corp, co służy ukryciu prawdziwego ataku, polegającego na zaszcyciu rootkita na jednym z hostów (czyli pliku, który pomaga hakerowi permanentnie utrzymać kontrolę nad urządzeniem). Bardziej po ludzku: serwery zostają przeciążone zbyt wieloma zapytaniami, co ma ukryć fakt, że ktoś schował coś bardzo szkodliwego na jednym z komputerów. Sprytne, ciekawe i przedstawione tak, że nawet laik nie ma wątpliwości, co się dzieje.

A już majstersztykiem jest to, co robi Elliot z komputerem pokładowym w samochodzie pewnego gliniarza. Wykorzystując narzędzie hctool w Kali Linuxie, podszywa się pod... Zresztą, obejrzyjcie serial.

Naprawdę warto.

MAGDALENA KUCENTY - na papierze debiutowała w „Smokopolitanie” (3/2015) opowiadaniem *Koziorożec i Smok* i niedługo później trafiła do redakcji. Za ten właśnie tekst otrzymała nominację do nagrody im. Janusza A. Zajdla. Z wykształcenia magister inżynier telekomunikacji, pracuje jako admin i ma moc odbierania ludziom internetu, jeśli tylko ją wkurzą. Prywatnie skończona maruda z najcierpliwszym mężem na świecie. Lubi placki. Nie lubi kawy.

# Przewodnik po Morii, czyli Druga Ruda Mithrilu

Martyna Walerowicz

**Konwent Druga Ruda Muthrilu odbywał się od 27 do 29 stycznia w Rudzie Śląskiej. Miejszem akcji było Miejskie Centrum Kultury im. H. Bisty. Nigdy wcześniej nie byłam na konwencie, więc... zapraszam do przeczytania relacji napisanej okiem konwentowego żółtodzioba.**

### Od szczegółu...

Do uczestnictwa w konwencie skusił mnie nie tylko ciekawy program, lecz również świetna grafika stworzona przez Lili z The White Jackalope. Estetyczne i nawiązujące zarówno do fantastyki, jak i do śląskiego krajobrazu rysunki przyciągały wzrok. Naprawdę uważam, że dobrze przygotowana oprawa graficzna jest jednym z kluczowych elementów w promocji wydarzeń.

Samo wydarzenie zostało zorganizowane przez Klub Fantastyki Ruda Mithrilu, który obejmuje swoim zasięgiem nie tylko Rudę Śląską i przyległe miasta, lecz cały Górnośląski Okręg Przemysłowy. Zresztą impreza nawiązywała do kultury górniczej poprzez... możliwość zdobycia rudy mithrilu (czyli „wczuj się w rolę zachłannego krasnoluda”). Rudą były koraliki, którym przypisano różne wartości punktowe. Można je było wygrać jeszcze przed imprezą, biorąc udział w konkursach na Facebooku. Natomiast w czasie konwentu organizowano

turnieje, wiedzówki i inne konkursy, podczas których zdobywało się cenny kruszec. Ostatecznie można go było wymienić w sklepie konwentowym na nagrody, np. gry planszowe.

Dodatkowym atutem imprezy było ustawienie niedaleko wejścia automatów z darmową kawą. Był to miły gest organizatora, doceniany przez osoby, które wieczorem musiały prowadzić samochód (na przykład mnie). Ponadto na tyłach MCK znajduje się Pub Druid, więc nie musiałam się martwić o wyżywienie. Dania serwowane w przytulnej piwnicy były smaczne i tanie, a porcje obfite.



fol. Paweł Ścioberek



foto. Paweł Scibiorek

## ...do ogółu

Program konwentu również był obfity – przynajmniej z perspektywy żółtodzioba. Najpierw wysłuchałam ciekawej prelekcji Andrzeja Pilipiuka „Obyczaje pogrzebowe naszych przodków”. Ponieważ z wykształcenia jestem biologiem, informacje, które przekazywał prelegent, były dla mnie całkiem nowe i interesujące. Zapamiętam, że nasi pradziadowie wysypywali prochy babuni do wyszczerbionego garnka po zupie i że sarkofag znaczy „pożeracz ciał” (W starożytnym Rzymie służył do pozyskiwania kości zmarłych, poprzez umieszczanie w nim nieboszczyka na siedem lat. Po tym czasie kości ogołocone z tkanek miękkich wyjmowano z sarkofagu i wkładano do urn. Można powiedzieć, że były to groby wielokrotnego użytku.) Dowiedziałam się również o rytualnym gięciu mieczy, budowie kurhanów, wygrzebywaniu mózgu przez oczodół, ściągach z Księgi Umarłych i innych ciekawostkach, którymi będę mogła raczyć przyjaciół na domówkach.

Po wykładzie autora-archeologa udałam się do Sali Mangi/Anime, by dowiedzieć się czegoś o *kanji*, czyli piśmie japońskim. Zajęcia prowadził Rafał „Mendrzec” Meisel (pisane przez „en”, to nie błąd), który bardzo entuzjastycznie podszedł do lekcji, chociaż tylko ja brałam w niej udział. Wielka szkoda! Rafał naprawdę świetnie mnie prowadził przez

meandry podstaw japońskiego i znowu sporo się nauczyłam. Jeśli będę miała okazję uczestniczyć w jego kolejnych lekcjach, to na pewno się skuszę. *Arigato!*

O tym, dlaczego nie ma krasnoludów w kosmosie i co je powstrzymuje przed podbojem nowych planet, dyskutowali Paweł Majka, Robert Wegner i Marcin Przybyłek. Szczerze powiedziawszy, gdy postanowiłam uczestniczyć w tym panelu, byłam przekonana, że dyskusja będzie dotyczyła mieszania konwencji SF i fantasy, tymczasem rzeczywiście dotyczyła krasnoludów w kosmosie. „O, żółtodziobie! – zakrzyknie stary wyjadacz. – Jesteś jak Jon Snow i niczego nie wiesz!” Prawda. W każdym razie dowiedziałam się, że krasnoludy, dzięki swoim kompaktowym rozmiarom, świetnie radziłyby sobie na stacjach kosmicznych i na planetach o niskiej grawitacji. Ważnym punktem dyskusji było poruszenie tematu łamania konwencji – dlaczego czytelnicy lubią schematycznych elfów, niziołków, krasnali i trudno im przekonać się do krasnoluda, który chciałby być np. flozystą. Doświadczenie dla mnie było ciekawe i wielce pouczające.

Spotkanie z twórcami Grupy Filmowej Darwin utwierdziło mnie w przekonaniu, że jeśli tylko ma się jasno określony cel, to można go osiągnąć. Chłopaki prowadzili dwa punkty programu. Nagrania z obu można znaleźć na Youtube, na kanale „Raport obieżyświata” – fani grupy koniecznie powinni je zobaczyć. Ja uczestniczyłam w drugim spotkaniu, podczas którego pewien pan oświadczył się pewnej Oli (również do znalezienia na Youtube). Redakcja „Smokopolitana” życzy młodym powodzenia ;)

Zawsze chciałam zobaczyć konkurs cosplay. Podziwiam ludzi, którzy wykonują prace manualne... Doprawdy, ich cierpliwość musi nie znać granic! Konkurs na strój cosplay wygrał mój faworyt, Kazuya Fuse, za zbroję z anime *Jin-Roh: Wolf Brigade*. Drugie miejsce zdobyła Jodariel za prezentację w stroju z gry Pyre.

W kategorii Projekt własny nagrodę za strój dostała Lodowa Pani, a za prezentację – Dziewczynka Ciszzy z gry *Bioshock infinite*. Na scenie pojawiła się zarówno Ciri (która za strój dostała nagrodę jurora od Yugi), jak i Yennefer (w tej samej kategorii wyróżniła ją jurorka Talon). Yoru przyznała nagrodę Czerwonemu Kapturkowi z *Woolfe: The Red Hood Diaries*, a Lodowa Pani została nagrodzona przez Bish.

## Zakupy

Spośród wystawców moją uwagę przykuła Katarzyna „Vendea” Skawińska, która oferowała biżuterię i figurki wykonane z termoutwardzalnej masy polimerowej (czyli profesjonalnej modeliny odpornej na niszczenie). Artystka opowiedziała mi, że wykonanie jednej figurki zajmuje od trzydziestu minut do kilku godzin.

*– Początkowo masa jest dość twarda i samo wymieszanie odpowiednich kolorów może zająć pół godziny. Często pracę trzeba zaczynać od nowa, bo nie wszystko wychodzi za pierwszym razem – mówiła Vendea. – Niektóre elementy trzeba wypiekać osobno, gdy z powodu skomplikowanej konstrukcji nie można uzyskać całości podczas jednego procesu twórczego.*

Artystka od trzech lat prezentuje na konwentach swoje prace i zazwyczaj tam można ją znaleźć, ale gdyby ktoś chciał zapoznać się z jej twórczością, to można się z nią skontaktować przez maila: [vendea@wp.pl](mailto:vendea@wp.pl). Mnie osobiście zachwyciły szczegółowe miniaturki słodczy. Ponadto podczas konwentu można było zaopatrzyć

się w biżuterię steampunkową z Mad-Artistans i w książki za piątkę, z czego skorzystałam.

## Co było, gdzie mnie nie było

Ponieważ w Rudzie Mithrilu brałam udział tylko w sobotę, nie byłam w stanie skorzystać ze wszystkich atrakcji, o których jednak warto wspomnieć. Konwent otwierał koncert Percivala w Kopalni Guido. Poza tym w sobotę zagrały jeszcze dwa zespoły: Cronica i Żywiolak. Organizatorzy zapewnili również rozrywkę dla najmłodszych, np. wiedzówki o Disneyu czy Chibi Cosplay – przebieranki dla dzieci. W sobotę rano Monika Badowska poprowadziła wykład o fantastycznych książkach dla dzieci (żałuję, że w nim nie uczestniczyłam). A jeśli mowa o wykładach, panelach, spotkaniach z autorami, wiedzówkach, turniejach i innych, to podczas konwentu odbyło się ich sześćdziesiąt siedem – dla takiego żółtodzioba jak ja, to całkiem imponująca liczba.

## Suma summarum

Druga Ruda Mithrilu była pierwszym konwentem w którym uczestniczyłam i bardzo mi się podobała. Zarówno prelekcje, ich różnorodność i profesjonalne przygotowanie, jak i możliwość poznania ciekawych ludzi sprawiły, że na pewno nie jest to ostatnie wydarzenie tego typu, w jakim brałam udział.

MARTYNA WALEROWICZ



# Dziennik pokładowy panny Roźnowski

Magdalena Kucenty

Są książki, które pochłania się w trybie ekspresowym, które bawią i cieszą, mimo że niektóre elementy nie brzmią w nich do końca czysto. I właśnie tego typu książką jest dla mnie *Zatopić „Niezatapialną”* – steampunkowa opowieść awanturcza z elementami romansu. Lektura bez wątpienia wciągająca, napisana lekkim piórem, z przekonującymi elementami marynistycznymi i bohaterami, których nie da się nie lubić. Można by rzec: dobra książka przygodowa, ale... No, właśnie. Zawsze musi być jakieś „ale”, zaś w przypadku debiutu Anny Hrycyszyn mam ich kilka.

Po kolei: co od razu nie zagrało mi w *Zatopić „Niezatapialną”*? Cóż, tytuł. Po prostu nie mogę powiedzieć, by mi się podobał. Byłam jednak pewna, że pominię tę mało znaczącą kwestię w recenzji. To znaczy dopóty, dopóki nie przeczytałam książki do końca.

Nie będę Wam tu spoilerować, więc musicie mi uwierzyć na słowo: tytuł nie dosyć, że do najchwytliwszych nie należy, to nie oddaje tego, co w powieści jest najważniejsze. I może sprawić lekki zawód. Co nie znaczy, że jest specjalnie mylący. W końcu oś fabuły kręci się wokół parowca „Niezatapialna”, który *nomen omen* władze planują zatopić. Niemniej pościg za statkiem nie wybija się na pierwszy plan.

A co się wybija?

W zasadzie trudno powiedzieć. Na pewno ogromne znaczenie mają postaci i łączące je relacje. Główną bohaterką jest pani kapitan

Jollienesse Roźnowski (w skrócie Nes), która dowodzi w pełni – nie licząc kucharza – kobiecą załogą. I przyznam, że obawiałam się jakiejś feministycznej propagandy, lecz były to obawy całkowicie mylne. Poczulałam sympatię do piratek (i kucharza!) z „Niezatapialnej”, od połowy niektóre też zniechęciłam, ale można powiedzieć, że w pozytywny sposób. Ponieważ wciąż były dla mnie ciekawymi i realistycznymi postaciami, chciałam poznać ich dalsze losy. Raziło mnie tylko, jak z założenia perfekcyjne miały być załogantki. Heile – genialna mechanik-samouk, Kaas – uzdolniona młoda pilot, Fraan – najlepsza celowniczy w Palude, itd... Co zabawne, ich zachowanie nie było już takie nieskazitelne, bohaterki wydawały się ludzkie – problem w tym, że ich ponadprzeciętne umiejętności nie odnajdywały większego odzwierciedlenia w fabule. Bo jeśli przeczytam, że bohater jest sprytny/inteligentny, to oczekuję, że kogoś przechrzty, a najlepiej, żebym tym kimś była ja. Niemniej bohaterowie stanowią niezaprzeczalną zaletę książki, a to za sprawą niewymuszonych i przepelnionych humorem dialogów oraz różnorodności charakterów – dzięki wyrazistym cechom nie dało się pomylić jednej osoby z drugą. I nawet postaci epizodyczne zapadały w pamięć.

Na pewno istotny w debiucie Hrycyszyn jest również romans. Tutaj uklon w stronę autorki – o ile z reguły nie trawię wątków miłosnych, o tyle przy tej lekturze mój żołądek



miał się całkiem dobrze. Być może dlatego, że obyło się bez irytująco naciąganych rozterek i przyprawiającego o mdłości nadmiaru słodyczy. Jedyne, co mogę zarzucić temu elementowi powieści to fakt, że Feliks przy Nes wypada trochę blado. Z drugiej strony, nie jest to przynajmniej stereotypowy bohater męski, z tak kwadratową szczęką, że można by na niej stawiać poziomnicę. Pani kapitan z kolei to zdecydowanie najciekawsza i najbarwniejsza postać w książce – inteligenta, twarda, a jednak niepozabawiona kobiecości i głębi.

Niestety, jestem marudna, więc nie obędzie się bez następnego „ale”. Szczęśliwych zrzędzeń losu, jak na mój gust, w opowieści jest trochę za dużo. Feliks i Nes wpadają na siebie, jakby mieli w pupach magnesy o przeciwnych biegunach. Nie brakuje również innych wydarzeń/postaci przypadkowo wskakujących na wyznaczone przez autorkę miejsca.

Jednak nie to raziło mnie w *Zatopić...* najbardziej.

Największy zarzut wobec powieści Hrycyszyn zostawiłam sobie na koniec. I kluczem jest tu właśnie słowo „powieść”. Bo dla mnie jej debiut to raczej fragmenty dwóch-trzech tomów sklejone w jeden. Autorka idzie z fabułą trochę za szybko, skacze od wydarzenia do wydarzenia, tylko napominając, co działo się pomiędzy, aż z prędkością błyskawicy dociera do finału. Co więcej, wiele rzeczy jest przedstawione w retrospekcji. Innymi słowy: na początku rozdziału zostajemy poinformowani, co się stało, a dopiero potem, jak dokładnie do tego doszło. Według mnie to ryzykowny zabieg, którym bardzo łatwo zarznąć napięcie – przykładowo, skoro z góry wiem, że bohater przeżył, to podczas sceny akcji nie boję się o jego bezpieczeństwo. No i takie przedstawienie historii jeszcze bardziej nasila wrażenie, że fabuła jest dosyć fragmentaryczna. Nie twierdzę, że zostało w niej coś nierozwiązane lub pominięte. Po prostu kluczowe wydarzenia nastąpiły trochę za szybko i prosto, a w efekcie wiele informacji trzeba brać „na wiarę”.

No dobrze, ponauczkałam, a teraz podstawowe pytanie: czy warto w ogóle przeczytać *Zatopić „Niezatapialną”*? Jak najbardziej! Zwłaszcza jeśli chcecie umilić sobie parę wieczorów, odprężyć się i dać porwać przygodzie. Natomiast, czy *Niezatapialna* zostanie z Wami na dłużej? To już zależy – głównie od autorki. Bo gdyby potraktować jej debiut jako część większej całości, poprowadzoną w specyficzny sposób – nie całkiem po kolei, a momentami równolegle – to może wyjść z tego naprawdę ciekawa i barwna seria piracka. Na razie Hrycyszyn zaserwowała nam tylko fragment czegoś większego – swoisty dziennik pokładowy panny Rożnowski. I chociaż jest to zakończona opowieść, mam nadzieję, że doczekam się kolejnych historii z barwnego Palude.

MAGDALENA KUCENTY

Premiera **17 czerwca** 2017 roku



Najtaniej kupisz w  
**madbooks.pl**



**Polecają:**

**Robert J. Szmidt**

**Marcin Podlewski**

**Michał Cholewa**

REDAKTOR NACZELNY: Elin Kamińska

elin.kaminska@historiavita.pl

WYDAWCA: Fundacja „Historia Vita”

ADRES REDAKCJI: os. Akademickie 6/22, 31-866 Kraków,

redakcja@historiavita.pl, www.smokopolitan.pl

ISSN 2449-6251

REDAKCJA TEKSTÓW: Paweł Majka, Karolina Łukasik,

Katarzyna Koćma, Michał Szymański, Magdalena

Kucenty, Anna Jakubowska, Elin Kamińska, Piotr Zawada

PRZEKŁAD OPOWIADANIA: Katarzyna Koćma

SKŁAD I ŁAMANIE TEKSTU: Olga Furman-Szczotowska

WYDANIE ELEKTRONICZNE: Anna Jakubowska

KOREKTA TEKSTÓW: Michał Szymański, Katarzyna

Koćma, Magdalena Kucenty, Anna Jakubowska,

Anna Dudalo, Anna Grzanek, Natalia Tront, Samanta

Rakoczy, Sonia Kmiecik

RYSUNEK NA OKŁADCE: Graphos

ILUSTRACJE: Elżbieta Glowacka, Spell, Monika

Szymańska, Joanna Cyd Petruczenko, Gabriela

Palicka, Patrycja Smaga, Małgorzata Lewandowska,

Anna Tomiczek

PROJEKT LOGOTYPU: Adrianna Depta

PROJEKT OKŁADKI: Graphos

PROMOCJA: Martyna Walerowicz

martyna.walerowicz@smokopolitan.pl

WSPÓŁPRACA: Paweł Majka, Piotr W. Cholewa,

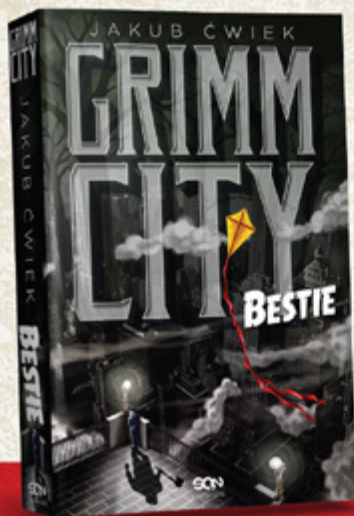
Simon Zack, Krzysztof Rudek, Błażej Kardys,

Marcin Klak, Magdalena Stonawska, Artur Olchowy,

Artur Nowrot, Marta Krajowska, Radek Rak

WSPÓŁPRACA MEDIALNA:

Nie czytasz? Nie idź z Tobą do łóżka



**Smolicie czarny kryminał,** doprawiony elementami sądowego dramatu, gdzie **zło osiada na człowieku wbrew jego woli**, niczym tłuste krople deszczu. Zapraszamy do Grimm City – miasta, w którym **rządzi strach i... opowieść.**

**Misterna, wielowątkowa i wielopoziomowa opowieść** przepętniona duchem Orientu o walce z tyranią, mechanizmach politycznych, **braterstwie i rywalizacji** zdolnej obrócić wniwecz wszystko, co cenne.



Susan Dennard z wielu klocków układa **opowieść, od której ciężko się oderwać.** Wspaniała powieść przygodowa w bogatym świecie fantasy, gdzie **tło, polityka i magia to nie tylko nakreślone naprędce zarysy.**



Książki do kupienia w salonach **empik** i na **empik.com**.